



Annie Dillard

Państwo Maytree

Przełożył MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tytuł oryginału The Maytrees

Dla CR. Clevidence

PROLOG

Dawno, dawno temu państwo Maytree byli młodzi.

Mieszkali w miejscu, które jeszcze dziś wydaje się skrywać pod ziemią zamierzchnią przeszłość - na samym czubku odsłoniętego ze wszystkich stron piaszczystego pasa Cape Cod. Półwysep był tutaj wąski, a przeciętna wysokość jego wzniesień wynosiła zaledwie cztery i pół metra. Od strony skarp Truro wił się spiralnie w lewo, po czym opadał nad wydiami ku portowi Provincetown, leżącemu w samym środku spirali. Przez pewien czas Provincetown nosiło nazwę

Cape Cod - Przylądek Dorszowy - bo na długo przed założeniem Jamestown, nie mówiąc już o Plymouth, brytyjscy rybacy napelniali tu ładownie swoich statków patroszonymi dorszami.

Żadne indiańskie plemię Nausetów, Wampanoagów, ani nawet Pametów nie osiedliło się na tej jałowej ziemi, wśród karłowatych lasów Provincetown, byli oni bowiem rolnikami.

Nausetowie zajmowali jednak tereny przy ujściach rzek, również daleko na północy, w okolicach Truro, gdzie budowali wioski gęściej niż na innych terytoriach Nowej Anglii, albowiem nie brakowało tu małży ani ostryg, a na południowych brzegach strumieni w Namskaket ziemia nadawała się do uprawy dyni i kukurydzy.

Życie państwa Maytree, podobnie jak życie Nausetów, toczyło się na tle nieruchomych gwiazd. Świat traktuje ludzi bezdusznie - tak było dawniej i tak jest również dzisiaj - lecz rzadko bywa okrutny dla jednostek. Powolne obroty sfer niebieskich wyznaczały upływ czasu, a państwo Maytree spędzali go zwykle pod gołym niebem. Wędrując z jednego słonowodnego brzegu na drugi, sycili się każdym haustem powietrza, gęstego niczym wata.

Ich piaszczysty cypel był wąziutkim pasem gołej ziemi leżącej między dwiema wodnymi potęgami, zdradzającymi szczególne upodobanie do efektów specjalnych.

Dwa razy dziennie fala przyływu zalewała piasek za chatką państwa Maytree, a w ciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni pora roku zmieniała się czterokrotnie. Podobny tryb życia jak państwo Maytree prowadzą małże, które jednak znacznie mniej czytają.

Toby Maytree wychował się w Provincetown i spędził tam niemal całe swoje życie.

Jego ojciec był jednym z kilkunastu żołnierzy ochrony wybrzeża, stacjonujących na rubieżach Stanów Zjednoczonych, na klifach nad Atlantykiem. Jak kilku innych kolegów Maytree senior wybudował kiedyś dla swojej rodziny prymitywną chatkę na gołej ziemi w pobliżu strażnicy. Maytree junior i jego matka spędzali więc zwykle lato w jednoizbowej drewnianej chatce górującej nad ogromną oceaniczną plażą i odwiedzali żołnierzy, którzy również wpadali czasem do nich. Później, po wojnie, w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, Toby Maytree był poetą. Napisał wtedy cztery długie poematy i trzy tomiki wierszy. Zachował ojcowski domek.

Jego żona, Lou Maytree, była osobą raczej małomówną. Trochę malowała na płótnie i Inie, ale wszystkie jej prace zaginęły. Łatwo przełamywała barierę intymności. Kochali się.

Chociaż nie zdawali sobie z tego sprawy, oboje wysoko cenili honor. W ich życiu miały miejsce właściwie tylko dwa wydarzenia - jedno zwyczajne, drugie spektakularne.

Ludzie mówili, i nadal powiadają, że nigdy nie zdobyliby się na to, co później zrobiła Lou. Historia państwa Maytree stała się głośna i można ją usłyszeć jeszcze dziś.

Lou i Toby często wspominali budynek poczty głównej, gdzie wszyscy miejscowi spotykali się rankiem i dodawali sobie nawzajem otuchy na cały dzień i najbliższą noc.

Państwo Maytree byli jeszcze młodzi, kiedy do Provincetown zaczęły kursować pociągi pasażerskie, wypierając powoli składy towarowe. Gdy Toby skończył osiemnaście lat, zaczął pracować z kilkoma ekipami budowlanymi na półwyspie, który trzeba było posprzątać i odbudować po wielkim huraganie.

Maytree chętnie ostrzelałby jednego czy drugiego wroga swojego kraju, ale spędził całą wojnę w San

Francisco, w tamtejszym Biurze Informacji Wojennej, gdzie pisał teksty audycji radiowych dla

żołnierzy walczących na Pacyfiku. Lou była już wtedy na studiach.

Później, kiedy się pobrali, planowali zwiedzać świat, jednak żadne z nich nie chciało poświęcić pracy na rzecz wolnego czasu.

Toby zarabiał na życie, organizując przeprowadzki dla znajomych oraz mając się najróżniejszych zajęć, kiedy miał na to ochotę. Oboje brali udział w wyborach, nie byli jednak zainteresowani problemami społecznymi, w przeciwieństwie do wielu swoich przyjaciół, zwłaszcza tych wakacyjnych, zjeżdżających na

Cape Cod na lato, którzy żywili się obfitością faktów, opisywanych w gazetach, niczym myszy żerujące na kolbach kukurydzy. Dlatego państwo Maytree nie zawsze byli na bieżąco, a ich miastowi znajomi zazdrościli im świętego spokoju.

Dom, w którym mieszkali na co dzień, należał do

Lou. Kupiła go jej matka, kiedy późniejsza pani Maytree była jeszcze dzieckiem. Lou przeprowadziła się z mamą do Provincetown z Marblehead w stanie Massachusetts, gdy ojciec, z zawodu adwokat, pewnego dnia wyjechał rano do pracy i nigdy już nie wrócił.

Żadna z nich nie wiedziała, że tamtego ranka, jak każdego innego normalnego dnia, zjedzą razem śniadanie, ale już po raz ostatni. Czy zatem człowiek nie powinien starać się zapamiętać absolutnie wszystkiego, tak na wszelki wypadek?

Państwo Maytree długo nie mieli samochodu, telewizora (choć z czasem odbiorniki telewizyjne stały się ogólnodostępne), ubezpieczenia ani oszczędności i tylko raz w tygodniu wysłuchiwali w radiu wiadomości ze świata. Wspierali datkami pieniężnymi strajkujących górników z kopalni węgla kamiennego. Kochali też swojego syna, Pete'a, ich jedyne dziecko.

Łącznie czytali około trzystu książek rocznie. Toby czytał po to, żeby się dowiedzieć czegoś o świecie, a Lou dla przyjemności. Nie można ich było uważać za bogatych pod żadnym względem, jeśli nie liczyć spęczniałych od czasu dni.

Wysoka i flegmatyczna Lou Maytree odznaczała się posagową urodą. Jej blond włosy i nieskazitelna jasna cera kontrastowały z czerwonymi strojami, które nosiła przez okrągły rok dla poprawy nastroju. Jej uprzejmość, łagodność, a zwłaszcza małomówność wydawały się relikdami dawno minionych czasów. Słuszny wzrost, duże oczy, wysokie czoło i wyprostowana postawa sprawiały, że wydawała się stanowcza.

Na starość Lou zamieszkała samotnie w jednoosobowej chatce rodziców Toby'ego, stojącej na parabolicznych w kształcie wydmach. W piątki wędrowała ich skrajem do leżącego nad zatoką miasta, gdzie robiła zakupy. Oslaniała twarz słomkowym kapeluszem.

Z każdym rokiem jej oczy zapadały się nieco głębiej, a lawendowe powieki zdawały się coraz bardziej przezroczyste.

Przez całe życie Lou charakteryzowała ironia i dyscyplina myślowa. W piątkowe wieczory pani Maytree chodziła do miasta na tańce. Ludzie mówili, że do szaleństwa przywiodły ją Toby Maytree, szczęście albo samotność. Opowiadali, że była brzydką dziewczynką albo piękną jak dziecięca gwiazdka filmowa; że odziedziczyła niesłychaną fortunę, a mieszka w nędznej norze bez bieżącej wody i elektryczności; że za dużo czyta; że nie ma ambicji i że mogła wyjść za

mąż za każdego mężczyznę, jakiego by tylko zechciała.

Typowo kobiece poczucie nieuchronności losu było jej obce. Zawsze robiła, co chciała - kto mógłby powiedzieć o sobie coś podobnego? Przez całe życie uważała, że ludzie przeceniają godność osobistą, i lubiła zjeżdżać po zboczach wydm na pupie.

Większość nielicznych i przyziemnych wydarzeń, w których uczestniczyli razem Lou i Toby Maytree, miała miejsce w stojącym przy granicznej ulicy miasta starym nadmorskim domu po jej matce - i prawdę mówiąc, w łóżku.

A łóżko mieli stare, z ramą z żelaznych rurek. Lou

Maytree pomalowała zagłówek i oparcie w nogach na biało. Co kilka lat szlifowała zardzewiałe rozety papierem ściernym i ponownie malowała je na biało. Właściwie nie było z niej więcej pożytku w domu, chociaż umiała rozsądnie wydawać pieniądze na jedzenie.

Odliczając cztery rurki od dowolnego boku łóżka i posuwając się w stronę jego środka, można było podzielić mebel na część zajmowaną przez Lou i część należącą do Toby'ego, ale oni mieli ten podział w nosie. Toby zwykle zasypiał, leżąc okrakiem na Lou, niczym pies, który obgryza rzucony mu do aportowania patyk.

Pewnego razu Toby zasnął na boku i przez sen zaczął przebierać nogami i ciężko dyszeć. Lou ścisnęła go za ramię.

- Gonisz królika?

Toby odetchnął głęboko i powiedział:

- Stepowałem.

PRZEDMOWA

Wszystko się zaczęło, kiedy Toby Maytree poznał

Lou Bigelow. Wrócił po wojnie do domu, do Provincetown. Zobaczył Lou po raz pierwszy, gdy jechała na rowerze. Czerwona chustka, biała bluzka, cera gładka niczym skorupka jajka, duże oczy, szerokie usta, szorty.

Lou zatrzymała się właśnie, żeby porozmawiać z kimś na ulicy, i oparła ciężar całego ciała na jednej nodze.

Roześmiała się, a jej urok zaparł mu dech. Wydało mu się, że już kiedyś widział tę gibką dziewczynę. Ponieważ prędzej czy później do Provincetown przyjeżdża dosłownie każdy, Toby wziął ją początkowo za Ingrid

Bergman i dopiero jego przyjaciel, Cornelius, wyprowadził go z błędu.

Maytree przedstawił się.

- Ty jesteś Lou Bigelow, prawda?

Skinęła potakująco głową, a gdy podali sobie ręce, jej pokryta piaskiem dłoń wydała mu się

gorąca niczym posypany cukrem pączek. Lou przyglądała mu się spod wysoko uniesionych brwi, patrząc śmiało w oczy. Później przypomniał sobie, że chodziła do żeńskiego liceum, a takie dziewczyny zawsze patrzą wszystkim prosto w twarz. Choć było to absurdalne, rozszerzające się szczeliny jej wielkich oczu zdawały się mówić: „Ja i moje ręce jesteśmy dla ciebie”. „Wiem”

- pomyślał, odpowiadając poznanej przed chwilą dziewczynie o smukłych rękach i nogach. „Wiem o tym i od tej chwili jestem z tobą na zawsze”.

Poczuł, jak się rumieni, i wiedział, że jego piegi przybierają teraz zieloną barwę. Lou miała szerokie wargi, duże oczy i wydatną szczękę, a przy tym była młoda, świeża, dobrze zbudowana i delikatna, jak gdyby napędzała ją energia promieni słonecznych, a nie mięśni.

Ach, poeci to głupcy, dobrze o tym wiedział. Udało mu się nie spuścić z niej wzroku. Jej gęste włosy dzielił z boku przedziałek. Właściwie nie była piękna... Chociaż nie, jednak była i bił od niej blask.

Źrenice Lou przypominały światło wylotu dwóch luf karabinowych: jakimi nabojami strzelały? Po powrocie do domu Toby nie mógł znaleźć sobie miejsca ani skupić się na książce Helen Keller.

Towarzyszył Lou do miasta, zalecając się do niej bardzo ostrożnie, bo był nią zadziwiony i chciał zaczekać, aż jego nowo powzięte poważne zamiary i rozbudzone nadzieje umocnią się albo rozwieją - a bał się, żeby do tej chwili nie nadszarpała jej zaufania.

Żadnych spacerów po plaży, pikników na wydmach, wycieczek łódką czy żaglówką.

Milczenie uczyniło

Lou jego współniczką, niewinną jak dzikie zwierzę i proroczą. Sam Maytree był

niespokojny, w jej nieruchomym spojrzeniu nie dostrzegał jednak żadnego niepokoju. Postura i szeroki uśmiech dziewczyny denerwowały go, podobnie jak jej pulchne, opuszczone wzdłuż ciała ręce i sztywny słomkowy kapelusz. Nagie ramiona Lou wydzielaly zapach rozgrzanej słońcem skóry. Poruszała się swobodnym, lekkim krokiem. Nad jej szeroko otwartymi oczami widać było dwa skrawki niebieskich powiek, których wielkości i odcienia ich właścicielce nigdy nie było dane zobaczyć. Skórę na twarzy miała przezroczystą, jasną i czystą jak niebo.

Prawie w ogóle się nie odzywała, a on zapominał przy niej języka w gębie.

Lou знаła już jego przyjaciela z chatki na wydmach, Corneliusa Blue, a także Hirma i Elaine Cairo, małżeństwo z Nowego Jorku (oboje byli profesorami uniwersytetu), zaprzyjaźnioną ze wszystkimi okolicznymi mieszkańcami pannę z mokrą głową imieniem Deary, koczującą zwykle na molo albo pod gołym niebem na wydmach, i starą Reevadare Weaver, która ciągle wydawała przyjęcia. Kiedy Lou przepychała się w tłumie na wernisażu, kupowała farbę w sklepie albo plądrowała bibliotekę, zerkając na Toby'ego, a jej usta rozsuwały się szeroko, jak gdyby wymieniała z nim jakieś żarciki. Toby'emu wydawało się, że zna to spojrzenie od dawna. Było wezwaniem, na które zawsze odpowiadał. Miał nadzieję, że dowcip polega na tym, że ta kobieta wprawdzie już mu uległa, ale podda go jeszcze niejednej akrobatycznej próbie życiowej. Jednak śmiałe spojrzenie Lou Bigelow nie kryło pytania ani odpowiedzi, tylko ogarniającą ją rozkosz, przypominającą niewinną radość Williama Blake'a albo skutki

wypalenia fajeczki opium.

Maytree krył się ze swoimi zalotami przed światem.

Kiedys na pełnym gości ganku domu państwa Cairo panna Bigelow odstawiła swoją szklanę na poręcz balustrady, a Toby zapytał, czy nie powiosłowałaby z nim trochę po zatoce. Lou odwróciła się i zmierzyła go spojrzeniem, które mówiło: „Nie bądź taki szybki Bill”. Najprawdopodobniej Toby rywalizował z całymi flotyllami i batalionami mężczyzn. Pragnął serca Lou, ona zaś wzięła jego serce w posiadanie, nic o tym nie wiedząc.

Potrząsnęła głową, spojrzała przenikliwie na

Maytree'ego i uśmiechnęła się. Ach, gdyby był malarzem, namalowałby jej zachłanną twarz, zamknięte albo roześmiane usta i wyraz skupienia w błyszczących oczach, których łuki wydłużał pas nagiej skóry między brwiami. Takich brwi nie miała nawet Ingrid Bergman.

Początkowo Toby dziwił się, słysząc, jak Lou podkreca samogłoski swoim brytyjskim akcentem, i rzadko kiedy ośmielał się na nią patrzeć.

Pewnego dnia być może zabierze Lou Bigelow z miasta do swojej starej rodzinnej chatki na wydmach. Bał się, że słowo „chatka” spłoszy ich oboje, ale bez Lou czuł się już jak jeden kawałek taśmy izolacyjnej oderwany od drugiego i nie mógł zaryzykować popełnienia błędu.

Robert Louis Stevenson, jak przeczytał Toby w jego Listach, nazwał kiedyś małżeństwo „czymś w rodzaju przyjaźni, uznawanej oficjalnie przez prawo”.

Oczarowany tą sentencją Maytree kupił sobie czerwono nakrapiany notes, w którym odtąd prowadził notatki na temat tego burzliwego aspektu ludzkiego życia - to znaczy na temat miłości, nie małżeństwa.

Czerwono nakrapianych notesów wciąż mu przybywało, choć Toby'emu nigdy nie udało się zrozumieć zjawiska miłości. Sekstus Propercjusz napisał kiedyś o niej: „Odrzućcie to piekło”, a Maytree wynotował sobie z jakiejś książki następujące zdanie: „Jak to się dzieje, że jej nigdy nieznikający obraz ma w sobie taką moc, by w każdej godzinie pojawiać się w nowej, potężniejszej postaci o szeroko otwartych ślepiach i białych kłach, straszny niczym armia pod rozwiniętymi sztandarami?”.

Lou pozostawała poza zasięgiem Toby'ego.

Oczywiście, że zmierzyła Maytree'ego gniewnym spojrzeniem, kiedy tamtej jesieni przyszedł do niej o świcie bosy i zapytał, czy nie zechciałaby obejrzeć jego chatki na wydmach. Na niebie za plecami Toby'ego rozlewały się kolorowe smugi, a zeszywniały Orion zanurkował już w dół, wyciągając ramię niczym upadający człowiek, po czym zaczął

się rozplýwać i wtedy nawet stojące w zenicie zachodnie gwiazdy zbladły, a mewy zaczęły krzyczeć.

Dom Lou stał nad brzegiem zatoki, w mieście. Maytree zaproponował, że pójdzie z nią na spacer nad ocean - wprawdzie to niedaleko, ale tamtejsze wydmy i tak były jak z innego świata. Lubiła Samotnię

Dickensa. Mężczyźni ciągle się za nią uganiali, ale ona niezmiennie mierzyła ich gniewnym

spojrzeniem.

Oczywiście nie zaprosiła go do środka. Wyglądał niepokojąco: miał włosy koloru Marsa i pomarszczoną twarz, a poza tym był wysoki i zdenerwowany. Przypominał

wędrownego minstrela albo czerwonoooką czaplę nocną. Miał długie, szczupłe stopy i w ogóle był smukły. Na głowie nosił wędkarską czapkę z daszkiem, a do pasa miał przytroczoną wojskową manierkę. Kiedy wyjeżdżał na Zachodnie Wybrzeże, Lou była uczennicą w Marblehead w stanie Massachusetts.

- Tylko się przejdziemy - powiedział. - Na mały poranny spacer. Wcale nie musimy wchodzić do chatki.

Po jego niepewnym uśmiechu Lou zorientowała się, że Toby ma dobre zamiary. Cóż -

jego zapowiedź, że nie będzie jej namawiał do wejścia do środka, była aktem delikatności i wielkoduszności, więc się zgodziła.

Nie odwiedzała wydym już od kilku tygodni. Maytree poradził jej, żeby włożyła luźne płetwiaste skarpetki, zapewniające stopom porządną osłonę, oraz kapelusz z szerokim rondem, który mogłaby przewiązać pod brodą, i Lou posłuchała jego rady. W pierwszym brzasku zauważyła na jego czole pod czapeczką zmarszczki, przypominające szprychy słonecznego koła.

Poszła za nim przez las i dalej, na wydmy. Przemoczyła skarpetki na porannej rosie pod drzewami, a że piasek dostał się między jej palce u stóp, zatknęła skarpetki za pasek swojej spódnicy: wyschną na słońcu.

Przedzierając się pod górę przez las na otwartą przestrzeń, poczuła wreszcie dreszczyk emocji i nagle ujrzała fantastyczne szeregi wydym opasujących morze i niebo - wysokie na dziewięćdziesiąt metrów diuny, wijące się wokół horyzontu niczym ławica ryb. Jasne na brzuskach, ciemne na grzbietach - ryby płynące z wiatrem. Miejski świat odfrunął

natychmiast w dal jak uniesiony przez wiatr.

Lou zauważyła niewielkie wzniesienie między dwiema wydymami. Wyrastało za nimi, na płaskim terenie, niemal na granicy lasu, skąd przyszli. Podeszli bliżej, skąpani w cieniu o kształcie półksiężyca. Zobaczyli żagiel, zwinięty płócienny żagiel - grotżagiel.

Z boku zwoju jak nadzienie z indyka wysypywały się ciemne ludzkie włosy i widać było głowę, wspartą na zielonej boi homarowej. Była to ich przyjaciółka.

Deary Hightoe - spała smacznie, opatulona w płótno żaglowe. Lou wiedziała, że Deary, która twierdziła, że lubi zapach światła gwiazd na piasku, nocuje gdzieś na wydmach.

Cornelius zapytał ją kiedyś, czym różni się zapach światła gwiazd na piasku od zapachu księżyca.

- Zapach światła gwiazd jest ostrzejszy.

Choć było to całkiem nieprawdopodobne, na skraju lasu, nieopodal miejsca, gdzie spała Deary, Lou zobaczyła ogródek porośnięty pokurczonymi papryczkami chili i kapustą włoską. Deary obudziła się, zamrugnęła powiekami, przeciągnęła się i zaczęła turlać, aż rozwinęła

żagiel. Wtedy Lou i Maytree podeszli cztery metry bliżej, na sam skraj zbrocza, na którym koczowała Deary.

- Co was tu sprowadza o tak wczesnej porze?

Kiedy Deary mówiła i śmiała się - czyli niemal zawsze - w kącikach jej ust i wokół

dziąseł pojawiała się piana. Deary miała wówczas trzydzieści pięć lat, była więc o sześć lat starsza niż Lou, miała drobną budowę ciała i okrągłą twarz. Lou wiedziała, że w tym miesiącu Deary gra na perkusji z jakimś zespołem muzycznym w nadmorskiej restauracji, zapewne przyszła więc na wydmy po omacku, bo knajpę zamykano dopiero o drugiej w nocy. Lou postanowiła podarować Deary około stu litrów wodorostów, żeby mogła ich użyć jako nawozu pod zeschnięte warzywa. A jak

Deary może je tu podlewać? Każda kropla deszczu od razu wsiąkała w piasek, zamiast w ziemi Deary posadziła więc warzywa na podłożu ze śmieci oraz igieł, które zbierała w lesie pod sosnami, rybich ości, twardych niby ostrza harpunów liści dębu karłowatego i dwóch wyrzuconych na brzeg płaszczyk, z których jedna niczym skręcający samolot pochylała się nad główką kapusty, jak gdyby osłaniała ją przed słońcem albo karmiła.

To pustkowie było świadkiem wielu nierozwiązanych zagadek kryminalnych, w tym nawet morderstwa. Zaledwie kilka lat po pierwszym spotkaniu Lou i Maytree'ego ktoś zamordował Kobietę z Wydm. Zabójca obciął jej głowę i dłonie. Kiedy ekipa poszukiwawcza odnalazła tułów, okazało się, że ofiara została zgwałcona. Znalaziono tylko jedną odciętą rękę i nie udało się ustalić, kim była zamordowana ani kto ją zabił. Drugiej ręki i głowy nigdy nie odnaleziono.

Matka Deary w Bostonie myślała, że jej córka mieszka w zamykanym na cztery spusty domu w mieście.

Po chwili Deary rozpałała ognisko z sosnowych gałęzi, żeby zaparzyć kowbojską kawę. Głowę miała okrągłą jak kula. Rozdzielone przedziałkiem włosy dziewczyny, zaczesane za uszy, sterczały z boku niczym wieniec laurowy, a jej rękę spowijał kawałek zielonej ściereczki spięty agrafką.

- Co ci się stało w rękę?

- Jestem o krok bliżej śmierci - odpowiedziała z entuzjazmem Deary.

- A kto nie jest? - Wysoki Maytree zdawał się przyciągać dym z ogniska.

Deary założyła nogę na nogę.

- Widzisz... - zwróciła się do Lou. - Jak tylko człowiek tu przyjedzie, robi sobie krzywdę. Najpierw oparzyłam się w opuszkę palca. Potem się skaleczyłam... O tutaj, z boku.

Potem rozciąłam sobie papierem skórę między palcami, a kilka lat później jeszcze raz, obok tej pierwszej, już dawno zabliznionej ranki.

Lou dobrze wiedziała, że Deary lubi wymyślać różne dziwaczne teorie.

- Następnym razem może uderzę się w kostkę u nogi i dwadzieścia lat później przytrafi mi się to samo, tylko że nabiję sobie siniaka z drugiej strony. Ale za każdym razem czuję takie

skaleczone miejsce, a moje ciało budzi się do życia. Bo dopóki rana się nie zagoi, człowiekowi nieustannie dokucza ból uszkodzonych nerwów.

- To ma być jakiś zaszczyt czy przywilej?

- Ma się rozumieć. W pewnym sensie każda rana dopełnia ludzką świadomość.

Człowiek dopiero wtedy czuje, że naprawdę żyje. Sęk w tym, że kiedy masz pokiereszowane już całe ciało, to umierasz! - Siedząca na piasku Deary uśmiechnęła się promiennie do Lou.

- Jeśli przez jedną chwilę poczujesz ból każdym nerwem swojego ciała, choćbyś tylko skaleczyła naskórek, to znaczy, że prowadziłaś w pełni świadome życie. A potem umierasz.

Deary odznaczała się pełnym samozadowolenia, szerokim uśmiechem. Choć może się to wydać niewiarygodne, kilka lat wcześniej skończyła architekturę na MIT jako pierwsza kobieta w historii tej uczelni. Jej rodzice i dziadkowie też byli dobrze wykształceni.

Lou i Maytree zostawili ją na wydmach, zanim słońce zaczęło mocniej przygrzewać.

Gdy Deary nie mogła już ich usłyszeć, Maytree powiedział Lou, że kiedy rankiem wychodził ze swojej chatki i włączył się po wydmach, często widywał Deary śpiącą pod gołym niebem.

Czasami toczyła się w swoim żaglu nad brzegiem morza pośród nadmorskiego groszku, a podczas sztormów biwakowała nad błotnistą kotlinką na wrzosowisku.

Lou ruszyła za Tobym pod najwyższą wydmy, a on po drodze dokuczał dziewczynie beztrąsko, że ma tylu chłopaków i zalotników. Wspinaczka po sypkim piasku wydała się jej piekielnie uciążliwa, gdyż z każdym krokiem naprzód zsuwała się o pół kroku do tyłu.

Wierzchołek wydmy był bliżej, niż sądziła, i przypominał rozświetlony oczodół. W oddali pas morza spotykał się z ziemią i rozlewał wokół, ale człowiek szybko mógł tu wyschnąć na wiór, jak bohaterowie komiksów, którzy wloką się noga za nogą na pustyni - nigdzie nie było ani odrobiny cienia. Lou poczuła głód. Z wysokiej wydmy Maytree próbował jej pokazać swoją majaczącą na horyzoncie chatkę. Gdzie ona jest? Czy Toby dotknie jej dłoni, a może nawet ramienia, wskazując właściwy kierunek? Lou od wielu lat nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie na taką poufałość. Wpatrywała się w piaskowe grzebienie, wznoszące się ku niebu na tle błękitnego morza łukami przypominającymi łańcuchy, a niziutkie sosenki znaczyły miejsca, gdzie kryły się nieliczne kotliny.

U stóp wielkiej wydmy Lou zauważyła domek, wyglądający, jakby lada chwila miał

się przewrócić pod naporem piasku. W długiej kotlinie równoległej do brzegu ciągnął się nierówny szereg zarośli. Maytree wyciągnął rękę i powiedział, że kilka widocznych na horyzoncie prostokątów wielkości kart do gry - jeżeli porównać je z rozmiarami tego walącego się domku i zarośli - to dachy chatek, podobnych do jego chatki.

Skoro tak, to las musiał się składać z drzewek bonsai.

Czy ludzie w takich chatkach chodzą na czworakach?

Lou widziała z góry mapę całej okolicy: port w Provincetown, jego mola i zatokę Cape Cod z

jednej strony, a z drugiej niezmierzone morze i pole wydm. Pierwsi osadnicy w tych stronach wycinali nadbrzeżne lasy na opał i wypasali tu zwierzęta, więc warstwa orna gleby erodowała, pozostawiając na przedwiecznym cyplu wydmową Saharę. Nigdzie nie było widać żadnych skał, tylko pas piasku, który przybrzeżny prąd niósł z osypujących się klifów na południe i osadzał spiralną smugą nad morzem.

Nad obrysem Atlantyku Lou ujrzała łukowate strugi deszczu, ale wszystko, co widziała, naznaczone było bezruchem pustki. Kiedy ludzie mówili „wydmy”, mieli na myśli właśnie ten uciekający w dal brzeg martwej ciszy. Zapewne podobnie wygląda powierzchnia księżyca: ubogo.

Tracąc z oczu morze, Maytree i Lou pokonali jeszcze kilka wydm i zeszli w podmokłą kotlinę. Młode drzewka drapały Lou w łydki - nie sięgały nawet kolan - a zwilgotniałe pyłki kwiatowe oblepiały powierzchnię wody niczym farba w spreju.

Za bagnistą kotlinką natrafili na drózkę wyjeżdżoną przez auta terenowe. Pełzały przez nią węże. Tutaj znów ujrzeni zataczające się morze, na którym przelewały się szeregi odległych fal, a potem - ojej - Lou zobaczyła pod swoimi bosymi stopami zwiniętego w kłębek węża o spiczastym łbie - czyżby to był grzechotnik? Maytree rzucił się na niego, ale gad skrył się w zaroślach sumaka. Potem Maytree powiedział, że to był heterodon płaskonosy. Instynkt obronny tego zwierzęcia każe mu naśladować grzechotniki, nawet na tych terenach, na których te węże w ogóle nie występują. Toby wytarł dłonie w spodnie.

- Szkoda.

Zapatrzył się w sumaczą gęstwinę i powiedział:

- Heterodon płaskonosy zna wiele różnych sztuczek kamuflażowych.

„Doprawdy?” - Lou odpowiedziała mu w myślach, jak gdyby znudzona.

Smugi piany ciągnące się na pełnym morzu znaczyły mielizny i podwodne skały Peaked Hill Bars, czyli cmentarzyska Atlantyku, jak mawiali miejscowi i inni mieszkańcy wybrzeża. Lou usłyszała, że Maytree wymawia tę nazwę jako czterosylabową: Peak-ed Hill Bars. Wszyscy wiedzieli, że na tych zielonkawych mieliznach i skałach rozbijają się statki i giną ludzie.

Peaked Hill Bars wprawiały ją w zdumienie. Każdy szereg fal przybrzeżnych niósł ze sobą niepokój, ale właściwie nie ruszał się z miejsca, jak człowiek, który czyta w kółko tę samą linijkę tekstu. Ospale fale toczyły się pod wiatr, a kiedy opadały, podmuch unosił kłęby wodnego pyłu w przeciwną stronę.

Ze szczytu najbliższej brzegu wydmy Lou zauważyła, że ocean zmienia kolor.

Maytree brodził w trzinach, po czym zwrócił się w stronę lądu i dopiero wtedy Lou ujrzała jego chatkę. Wznosiła się krzywo na podtrzymujących ją z czterech stron resztkach drewnianych pali, wyrzuconych kiedyś na brzeg przez morze. Jej przyjaciółka, Josephine, mówiła o chatkach takich jak Maytree'ego, że przypominają wielki stos drewna na ognisko, który tylko czeka, żeby go podpalić. Maytree powiedział Lou, że chatkę zbudował jego ojciec, kiedy pełnił obowiązki ratownika na stacji

Peaked Hill Bars, i dodał, że była kilkakrotnie odbudowywana. Lou wiedziała, że gdzieś tu

musi być wychodek. Tylko gdzie?

Maytree nie podszedł do drzwi. Taras wykonany był z sosnowych desek, z których usunięto sęki, a jedyny pokój mierzył trzy i pół metra na niecałe pięć.

Lou chciała wreszcie gdzieś usiąść, zostawiła więc

Maytree'ego i przysiadła na najniższym schodku, opierając łokcie dwa stopnie wyżej.

Słońce właśnie zaszło i kolorowe niebo bladło z każdą chwilą bez żadnych ceregieli, a za plecami Maytree'ego piasek ustępował miejsca ciemnemu morzu i jasnemu niebu.

Zobaczyła, że Maytree odchodzi na bok. Trzydzieści metrów niżej na zboczu napełnił

wiadro wodą za pomocą ręcznej pompy, a kiedy wrócił, również przysiadł na najniższym stopniu, ale w przyzwyczajonej odległości od Lou. Napełnił manierkę. Całą wojnę spędził w Kalifornii za biurkiem i właśnie tam kupił tę manierkę - w Wall Drug. Wiatr rozwiewał mu koszulę na piersiach i Toby znowu zaczął dokuczać Lou z powodu jej licznych zalotników, być może dlatego, że poprzednio nie zareagowała na jego zaczepki. Był niewiele wyższy od niej. Patrzyła, jak niebieskie cienie na jego białej koszuli rozciągają się i kurczą, kiedy się porusza. Koszula przylgnęła mu do barku i żeber i oślepiła Lou bielą, dziewczyna odwróciła więc wzrok. To na pewno stara koszula jego ojca. Poczula na ramieniu muśnięcie jej rękawa.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie z przerażeniem, że mogłaby pokochać tego sympatycznego nieznanego. Znał się na wszystkim, w tym także na miłości, w której chyba nawet się specjalizował. Po zwycięstwie nad Japonią wrócił w rodzinne strony, żeby pójść na studia. Potem wyjechał jeszcze raz na Zachód, gdzie przez kilka lat pracował jako kowboj. W

wieku trzydziestu lat powrócił do domu. A ona nie zna się na niczym. Jak mógł ją wziąć za intelektualistkę?

Otworzyła usta, żeby napić się wody o metalicznym smaku, nie po to, by skorygować opinię Toby'ego na swój temat. Co mogła mu powiedzieć? Nic nie zostało jeszcze powiedziane. Na razie picie z jednej manierki było dla nich szczytem intymności.

Piersi urosły jej katastrofalnie wcześniej i szybko uzyskały duże rozmiary. Jak sięgała pamięcią, chłopcy rzucali się na nią, krzycząc coś do siebie. Podbiegali pojedynczo albo w grupie, rywalizując o to, któremu z nich uda się dotknąć jej biustu - czyli zdobyć trofeum.

Czy to właśnie ci chłopcy na zawsze zniechęcili ją do mężczyzn? Kiedy Lou uczyła się w szkole z internatem, uważała, że wszyscy osobnicy płci męskiej młodszy od jej nauczycieli nie znają wstydu ani szlachetnych pobudek, nie mówiąc już o uczuciach wyższych - ba, myślała, że nie mają żadnego życia wewnętrznego. Przypominali jej elektryczne samochodziki z wesołego miasteczka.

Koledzy ze szkoły rzadko szukali jej towarzystwa.

Ze względu na jej urodę i „bufory godne Betty Grabie”, jak mawiał jeden z nich, sądzili, że partnerów do tańca Lou wystarczy na kilka najbliższych lat. Na studiach zakochała się w szalonym wiolonczeliście, Primo Dialu, który grał w orkiestrze na stojąco. Kiedy z nut wynikało, że ma sześć albo osiem taktów ciszy, Dial brał pulpit i wiolonczelę i nie spuszczał wzroku z

nut, przenosił się w inne miejsce. Nowy dyrygent, który przyjechał z Europy, wyrzucił go za to z orkiestry. Wtedy Primo zaczął grać na skrzypcach, harmonii i harmonijce ustnej. Lou nigdy wcześniej nie słyszała bluesa, a Dial wędrował przez miasto i okoliczne pola i grał. Lou mierzyła blisko metr osiemdziesiąt wzrostu. Śmiała się, trzymała Diala pod szczupłe ramię i wrzeszczała jak opętana. Na przekór swojej powściągliwej naturze odkryła, że potrafi krzyczeć i śpiewać, i nie przejmować się przy tym obecnością ludzi. Primo grał Yes, Sir, Thafs My Baby,

Blues in the Night, Heart of My Heart, I Wish I Could

Shimmy Like My Sister Kate, Makin' Whoopee!, Alabamy Bound, Side by Side i Hey Daddy. Czasami zamiast śpiewać, Lou naśladowała podkład perkusyjny: robiła „werrr...”, robiła „werrr...”, robiła „werbel

...bel...bel”, albo „szabadaba, szabadaba, szabadabada, cyk, bum”.

W owych trudnych, rozwichrzonych latach Lou pracowicie zadawała sobie wiele pytań - pomimo ulotnych przyjemności, których kosztowała wtedy z Dialem, były to lata prawdy. Zawsze wiedziała, że jej przeznaczeniem jest dokonać jakiegoś bohaterskiego czynu

- ale na jakim polu? Może na polu abstrakcji, na przykład wiernej miłości - a zwłaszcza tej zupełnie wyjątkowej miłości, w imię której całowała się z Primo Dialem. Całowali się po całym Ohio. Gdy spacerowali, trzymając się za ręce, albo kiedy grali, Lou często widziała ciągnący się z tyłu rząd zarumienionych dziewcząt, które niczym pisklęta ledwo mogły za nimi nadążyć.

Zadała sobie pytanie, czy wolałaby zachować jego miłość, czy swoją miłość do niego?

Czy wolałaby mieć Diala i gwarancję, że będzie kochał ją i tylko ją na zawsze, czy raczej wolałaby zatrzymać swoją miłość do niego nienaruszoną i wiecznotrwałą bez względu na to, kogo jeszcze mogłaby spotkać na swojej drodze życiowej? Zdumiona, zdała sobie sprawę, że wolałaby jednak zachować miłość do niego. Czy była egoistką? Oczywiście, gdyby go kiedyś straciła - do czego zresztą później faktycznie doszło - jej miłość do niego najprawdopodobniej by osłabła; taka myśl wydała się jej wtedy apostazją, ale przecież wielu kochanków ostatecznie przegrywa. Jak każdy, kto kocha, Lou zaryzykowała - wszystko jedno, czy w pełni świadomie, czy nie.

Kiedy Primo Dial wraz ze swoim instrumentem zostawił ją w maju dla dwóch czarujących bliźniaczek grających na dzwoneczkach, Lou przepłakała w Provincetown całe lato.

Uparcie karmiła swą miłość resztkami z czasów ich wędrownego muzykowania i roztańczonych nocy, które pamiętała w każdym szczególe.

Wyciskała swoje uczucia do końca jak cytrynę. Jeżeli jej wspomnienia zakłócała wizja bliźniaczek, mówiła sobie, że przecież je lubi. Wracała myślami do Diala.

Lubiła go kochać, pogodziła się z tym, że nie jest już kochana przez niego, i tylko od czasu do czasu myślała, żeby poderżnąć mu gardło.

Podśpiewując na plaży, Lou podsycala w swoim samotnym sercu zarówno smutek, jak i miłość. Kto poza namiętym teoretykiem spaliłby cały dom wyłącznie po to, by skończyć warzyć jakąś swoją niedowarzoną teorię i sprawdzić, co z niej wyniknie? Było to straszne lato,

które Lou wręcz bała się wspominać, bo symbolizowało jej kolejną nieudaną próbę rozpoczęcia życia wewnętrznego. Mimo to sądziła, że przynajmniej teoretycznie dokonała słusznego wyboru.

Kiedy siedząca w wychodku Lou podniosła wzrok, zobaczyła dużego węża smugowego zwisającego ze ściany nad jej głową. Potem ruszyli w drogę powrotną. Każdego dnia, kiedy nie udawało się jej opowiedzieć Toby'emu czegoś o sobie i swojej samotności, zwodziła go coraz dalej na manowce. Chodziła za nim w górę i w dół po wysokich wydmach na skraju świata i przyglądała się jego karkowi. Co nie pozwalała mu wziąć jej za rękę? W tak naelektryzowanej atmosferze serce zamarłoby w niej pewnie od byle dotknięcia, kości wypadałyby jej ze stawów i tak dalej, ale Maytree powinien działać szybko, bo później mogło już być tylko gorzej.

Lou miała dwadzieścia trzy lata i nie wyobrażała sobie, aby odważny mężczyzna mógł

się bać tego, że zostanie odtrącony przez byle babę. Pragnęła jednego: wpatrywać się w twarz Toby'ego i jego powłóczącą długimi nogami postać, a w przerwach - całować się z nim. Po pewnym czasie, między jednym pocałunkiem a drugim, ośmieliłaby się nawet spojrzeć mu w oczy. Ale nieprędko.

Co mogła zrobić? Trafnie go oceniła: nie dotknął jej ani razu. Zawsze myślała, że umiejętność stwarzania dystansu to jedna z zalet urody, która jednak może się zarazem przyczynić do klęski kobiety. Po powrocie do miasta Toby zostawił Lou na pomoście prowadzącym do jej domu i machnięciem ręki odmówił przyjęcia zaproszenia na śniadanie.

Od początku podobały się jej rozkołysane biodra Toby'ego, nieruchome ramiona, szeroko uśmiechnięta twarz i blade, czujne, głęboko osadzone oczy pod gęstymi brwiami. Stała przed drzwiami domu w poczuciu zagrożenia. Czego się bała? Bicia swojego serca, surrealistycznych oczu

Toby'ego, własnego oddechu - wszystkiego.

Maytree przez cały rok pracował nad długim poematem zatytułowanym Wood End Light i Race Point

Light. Pisał zawsze rano. Wood End Light i Race Point

Light to nazwy latarni morskich w Provincetown. Latarnia Race Point miała w poemacie Toby'ego symbolizować przenikliwą myśl Arystotelesa, a Wood End Light - Platona. Każdego ranka Toby na nowo rozniecał swój entuzjazm dla tego dzieła, gołymi rękami wyciągając spod ziemi, niczym drut kolczasty, kolejne Poetyckie wersy.

Piątego czerwca - a było wtedy bardzo zimno -

Maytree pobiegł do chatki Corneliusa na wydmach, żeby przedstawić mu swój radosny projekt. Kiedy jednak wyjaśniał (choć było to rozróżnienie tak oczywiste, że niemal niewarte wzmianki), że w jego wierszu latarnia Race Point Light symbolizuje myśl arystotelesowską, a Wood End Light platońską, nagle znacznie trafniejsze wydały mu się dokładnie odwrotne korelacje obu tych symboli - i wszystko stało się absurdalne.

Mimo to wrócił do poematu i w sierpniu, wniebowzięty, dał do przeczytania obie części

swojego dzieła

Lou Bigelow. W tym czasie już się całowali - Toby pocałował Lou, a ona odwzajemniła jego pocałunek. Powiedział jej, jakich filozofów symbolizują obie latarnie morskie. Lou odebrała staranne wykształcenie i miała ucho do literatury - kto by się spodziewał! Oto okazało się, że kobieta, którą Toby pokochał miłością, jakiej nigdy nie zaznał i jakiej nie był sobie w stanie nawet wyobrazić, nie tylko mieszka w jego rodzinnym mieście, ale w dodatku ma dobry słuch literacki! Tydzień później przeglądał jej luźne uwagi do swojego tekstu.

- Teraz musisz jeszcze pogodzić Platona z Arystotelesem, nic więcej - powiedziała.

I uśmiechnęła się. To, co powiedziała, było wzniosłe i prawdziwe, a ponadto dowodziło, że Lou zdumiewająco dobrze go rozumie i stanowią jakby dwie półkule jednego mózgu. Siedzieli na granitowym falochronie przy Long Point i obserwowali zachód słońca, ale w czysto naukowym duchu.

- Masz całkowitą słuszność - odpowiedział.

Wpatrywała się w niego spokojnym wzrokiem, a na jej młodzieńcze usta i twarz padało czerwone światło.

___ . Muszę jedynie wymyślić i przedstawić czytelnikowi zupełnie nowy system metafizyczny, który zwieńczyłby całą filozofię Zachodu.

I w tamtym czasie Maytree był na to gotowy.

(Gdy Toby wydał wreszcie swój poemat, w trzech częściach, nikt nie zauważył

kluczowej z punktu widzenia autora kompozycji dzieła. Miał wtedy trzydzieści lat i bał się wykladać kawę na łąkę, tym bardziej że każde wyjaśnienie, każda próba wytłumaczenia, o co mu chodziło, byłaby ipso facto oczywista. Nie wspominał więc nawet o dwóch równoprawnych ogniwach swojego dzieła, Platonie i Arystotelesie, a tym bardziej o swojej próbie pogodzenia ich myśli, gdyż bał się, że urazi w ten sposób potencjalnego czytelnika, którego istnienie w tamtych czasach można było jeszcze całkiem zasadnie zakładać. Był to dopiero trzeci tomik

Toby'ego, ale świątek poetycki i inni pisarze z Provincetown zauważyli go - to znaczy: odnotowali jego publikację. I zwrócili uwagę, że w tekście często występują sztormy.

Od tamtej pory Maytree mówił wszystkim, że jest poetą marynistycznym, i tak sterował

rozmową, by zeszała na ląd). Reevaradare Weaver wydała olśniewające garden party z okazji zaręczyn Toby'ego i Lou. Reevaradare, o włosach barwionych henną, kobieta un peu superbe, od dawna mieszkała w Provincetown i najchętniej nosiła kapelusze ozdobione sztucznymi owocami. Przyjęcie już się zaczęło, gdy gospodyni odkryła, że w domu nie ma ani kropli alkoholu. Na szczęście na imprezę przybłąkał się także Cornelius Blue ze swojej chatki na wydmach - sumiaste wąsiska i brodę uczesał a la

Walt Whitman.

- Bądź tak miły i skocz do sklepu po dwie butelki różnych alkoholi - Lou usłyszała, jak Reevaradare prosi

Corneliusa. - Zwrócę ci pieniądze. Jesteś cudowny.

Okazało się jednak, że zarówno Cornelius, jak i wszyscy pozostali goście już od dawna wiedzieli, że na garden parties u Reevadare, a także na pikniki na plaży organizowane przez Deary Hightoe, trzeba przynieść ze sobą wszystko - z wyjątkiem tego kawałka ogrodu albo wydm, gdzie odbywa się przyjęcie. I Cornelius wyciągnął butelkę burbona.

Reevadare była w długiej purpurowej sukni ze sporym dekoltem. Włożyła też bursztynowe kolczyki w kształcie kropelek, można było zatem odnieść wrażenie, że wycieka jej woskowina z uszu. Deary przyniosła w worku po ostrygach kilka stojów pełnych brandy z dzikich śliwek nadmorskich i rozdawała gościom papierowe kubeczki, których nikt nie mógł

nigdzie postawić, bo miały stożkowate, a nie płaskie spody. Deary krążyła po ogrodzie, napełniając na nowo te, które zostały już opróżnione. Sześćioletnia Marie Koday nie odstępowała jej nawet na krok, zaciskając rączkę na spódnicy Deary jak spinacz do bielizny. Tocząc wokół obłąkanym wzrokiem, mała dreptała za nią wszędzie na brązowych jak bułeczki, bosych nóżkach.

Każdy miał w zasięgu ręki jakąś butelkę i miskę z portugalskimi kielbaskami linguica lub pieczoną fasolą.

Państwo Cairo przynieśli ponadto dwie szynki, a Maytree wędzone małże.

Lou miała nadzieję być blisko Maytree'ego. Wiedziała, że Toby też chce ją odszukać, ale nie udawało im się to, bo na przyjęciu panował duży ruch. W pewnym momencie Reevadare objęła Lou.

- Małżeństwo jest cudowne - powiedziała.

Na pewno wiedziała, co mówi. Lou stopniowo poznała przeszłość Reevadare, która przejechała się po swoich sześciu mężach niczym walec drogowy. Kiedy wyszła za mąż po raz pierwszy, za niejakiego Loego

Jernigana, rodzina i przyjaciele dali jej w prezencie ślubnym ręczniki i pościel z monogramem. Więc potem, kiedy kolejno wychodziła za Janasa, Johnsona i Jamesa...

- Nie musiałam zmieniać monogramów! - radośnie śmiała się po latach Reevadare, obnażając swoje długie zęby. Jeden z jej mężów, pan Chee, był przystojnym imigranckim wnukiem. Reevadare opowiadała pewnego razu Lou, która była już wtedy na studiach i przyjechała do Provincetown na wakacje, że nazywała się wówczas Reevadare Chee, co brzmiało niemal jak „arrivederci”. Małżonka irytowała jednak pana Chee, który ostatecznie wrócił do Bostonu. Kiedy wychodziła za mąż po raz szósty, za pana Trudeau, była kompletnie splukana, przyjaciele i rodzina mieli już dość kupowania jej prezentów ślubnych, a o monogramach w ogóle nie warto było wspominać. Rok później pan Trudeau, z trudem powstrzymując śmiech, zaciągnął się na jakiś szkuner, popłynął do Papeete na Tahiti i nigdy nie wrócił, natomiast Reevadare wróciła do swojego panieńskiego nazwiska

- Weaver.

Po kilku godzinach przyjęcie przeniosło się do restauracji Flagship. Reevadare wynajęła lokal na całą noc i ściągnęła jakiś zespół muzyczny z Bostonu, który grał do świtu.

Jane Cairo, licealistka o rozwianych włosach, najpierw zatańczyła z prawie każdym mężczyzną, a potem wróciła do lektury książki. Lou lubiła inteligentną i trochę bezczelną Jane Cairo o cynicznych migdałowych oczach. Deary dwa razy zagrała z zaproszonymi muzykami na bębnach, a w przerwie nosiła na rękach śpiącą Marie Koday i całowała ją w kosmatą główkę. Lou chciała, żeby Maytree w końcu też ruszył w tany.

Wiedziała, że głupekowaty młodzieniec, który głową dawał Deary porozumiewawcze znaki, postukując do taktu nożem o stół, to niejaki Moses Lonn, przymierający głodem malarz z Long Island. Podobnie jak on, a w przeciwieństwie do wielu innych kobiet, Deary umiała tańczyć jitterbuga, o czym Lou przekonała się już po chwili, gdy Moses zaczął podrzucać ją w tańcu niby pałeczkę. Oboje wrócili z parkietu mocno zdyszani.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś podobna do... Ingrid Bergman? - Moses zwrócił się do Lou.

„Powtarzają mi to wszyscy od wojny” - pomyślała

Lou i uśmiechnęła się, a żeby zrewanżować się malarzowi za komplement, szepnęła mu do ucha:

- Dlaczego do Provincetown przyjeżdża tak wielu malarzy?

Chciała się przekonać, czy Moses odpowie to samo, co każdy malarz: że jest tu niezwykle światło.

- Jest tu niezwykle światło - odparł Moses, ale nie umiał już odpowiedzieć na pytanie, co takiego niezwykłego jest w miejscowym świetle.

Muzycy zrobili kolejną przerwę, a Cornelius wzniósł swój ulubiony toast, parafrazując George'a Santayanę:

„Jeżeli ból mógłby nas zbawić, już dawno wszyscy bylibyśmy w niebie”. Cornelius zawsze śmiał się z tego dowcipu i nawet teraz aż trzepnął się w kolano z uciechy. Jedno oko miał osadzone głęboko, a drugie rybie i wyłupiaste, jak William Blake. Lou uważała, że Cornelius jest nieszczęśliwy, ale sądziła tak wyłącznie dlatego, że wąsy nadawały mu ponury wygląd - o ile akurat się nie śmiał. W towarzystwie Cornelius śmiał się jednak nieustannie, a wtedy na wysokości ust pojawiała się w jego zaroście sięgająca niemal podbródka szpara, w której połyskiwały blade zęby.

Cornelius rozejrzał się wokoło.

- Każdego z nas świat co dzień ściąga w dół - powiedział i usiadł, a Lou i Maytree odnaleźli się wzrokiem. Porozmawiają później. Kiedy zespół skończył wreszcie grać, restaurację zamknięto i połowa rewe - Iersów wróciła na piechotę do domu Reevadare, a Lou usłyszała, jak Elaine Cairo mówi: „Od całej tej gorzały zamykają mi się gały”.

Reevadare zaciągnęła Lou na piekąco zimną metalową ławkę. Lou pomyślała, że wszyscy starcy często powtarzają, że kiedyś byli młodzi - zupełnie jakby sami nie mogli w to uwierzyć. To, że starzy ludzie są starzy, nigdy jej nie wzruszało, im jednak napędzało śmiertelnego stracha. Umieeli liczyć, chociaż twierdzili, że nie czują się starcami. Lou zadawała sobie też pytanie, czy czują się tak wobec siebie w jej wieku, jak ona czuła się sobie obca w wieku

dziesięciu lat.

Babcia Reevadare, pochodząca z Hilton Head, odziedziczyła majątek w postaci walcowni stali w Birmingham w stanie Alabama, matka Reevadare organizowała czas zbieraczom brzoskwiń w stanie Georgia, a ojciec rzadko bywał w domu. Reevadare porzuciła Południe, podczas wojny służyła jako ochotniczka w pomocniczym korpusie kobiecym, a potem przenieśli się do

Provincetown, bo mając rodziców, którzy należeli do partii komunistycznej, wszędzie poza tym miastem byłaby uważana za wybryk natury. Utrzymywała, że kiedy w wakacje skończyła piętnaście lat, była już wielką piękną, ale kochała się wówczas w pewnym studencie czwartego roku Uniwersytetu Duke'a, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

Chciała się nawet utopić niedaleko Hilton Head, ale zrezygnowała, bo woda wyglądała jak czarne błocko i wciągała ją na dno, między skorupki ostryg, o które pokaleczyła się tak dotkliwie, że kiedy wyszła na brzeg, po jej czarnych nogach strużkami ściekała krew. Potem Reevadare kupiła dom w Provincetown i zbierała dzieła sztuki autorstwa jej przyjaciół. No i oczywiście poślubiła kolejnych mężczyzn.

Tu, w swoim ogrodzie, pod akacją, Reevadare zdradziła Lou, co najbardziej podobało jej się w instytucji małżeństwa.

- To cudowny sposób, żeby poznawać ludzi!

- Reevadare miała fryzurę w stylu edwardiańskiej

„dziewczyny Gibsona”, czyli spory kok skryty pod kapeluszem ozdobionym szklanymi wisienkami.

- Czy miłość może trwać długo? - zapytała prosto z mostu Lou. (Ludzie z prowincji lubią filozofować, gotowi są powiedzieć wszystko i o wszystko zapytać).

- Och, kochanie! Nie, taka namiętność, która sprawia, że serce ci wali jak młotem, nigdy nie trwa długo. Najwyżej półtora roku. Ale potem przychodzi coś lepszego.

Lou czekała, żeby Reevadare dokończyła tę myśl.

- Kochankowie!

Ludzie uczciwi byli jak najlepszego zdania o Reevadare, a ona walczyła za nich jak kondotierka.

Charles Dana Gibson (1867-1944) - amerykański grafik i ilustrator, twórca tzw.

„dziewczyny Gibsona” - ideału kobiecej urody z początku XX wieku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Dlaczego wszyscy boją się czegoś tak po prostu cudownego jak miłość?

Po dyskusjach z Reevadare potworki skrupułów jej przyjaciół złążyły im zaraz z grzbietów i przez długi czas nawet nie próbowały włączyć na nie z powrotem.

Reevadare byłaby chyba nawet gotowa pójść za swoich przyjaciół do piekła!

Pochodziła przecież z Południa, z Wirginii, Oklahomy, Missisipi czy jakiegoś innego stanu z tej części Ameryki.

Tamtego wieczoru na szczypiącej zimnem ławce

Reevadare dała Lou pewną radę. Ścisnęła jej dłoń palcami zdobnymi w liczne pierścionki i powiedziała:

- Dbaj o swoje przyjaciółki, kochanie, bo mężczyźni przychodzą i odchodzą.

Rozglądając się wokoło, Lou pomyślała, że tylko do pewnego stopnia znajduje się w domu wariatów, choć wśród wspólnych znajomych Lou i Reevadare byli tacy, którzy pisali, malowali, uczyli, rzeźbili dłutem albo spawali rzeźby, oraz lewicujący, świetnie wykształceni bosonodzy poeci w greckich czapkach rybackich, wystrzępionych koszulach i skórzanych meksykańskich sandałach. J. Edgar Hoover ostrzegał Kongres przed ludźmi ich pokroju w roku 1947, kiedy mówił o komunistycznych planach „infiltracji tak zwanych amerykańskich środowisk intelektualnych i artystycznych”.

Rozmawiali o tym, czy Stany Zjednoczone mają jakąś kulturę poza kulturą zarabiania pieniędzy. Albo czy ruchome obrazki mogą być dziełem sztuki. Spośród ich starszych przyjaciół niemal nikt już nie należał do partii, która została z nich oczyszczona wskutek czystek Stalina. Czy egzystencja poprzedza esencję? Czy ktoś powiedział „martini”?

Lou zasiedziała się u Reevadare. Na południu nad miastem Droga Mleczna oplątywała Marsa luźną siecią. Listki akacji muskały twarz Reevadare, a ona śmiała się i opowiadała Lou o każdym, nawet najmniej istotnym zdarzeniu z przyjęcia, którego jeszcze nie opuściła. Lou z pomocą Maytree’ego i Corneliusa opróżniła popielniczki i wyrzuciła do śmieci papierowe kubeczki. Reevadare, Sooner Roy i Deary pili teraz dla odmiany whisky z sokiem cytrynowym. Lou wracała do domu piechotą, nad wodą, na wysokości gwiazd. Niosła buty w rękę i omijała leżące na plaży śmieci - na otwartej przestrzeni gwiazdy dawały jej ku temu dość światła. Oczywiście to ekscentryczny styl życia Reevadare każe jej mniemać, że mężczyźni w życiu kobiety przychodzą i odchodzą. Ale nikt nie wie tego, co wiedzą Lou i Maytree.

Następnego dnia po południu, idąc Commercial

Street, którą każdy mieszkaniec Provincetown odwiedzał kilka razy dziennie, Lou zobaczyła Deary, pozującą dla studentów malarstwa na plaży przy MacMillan Pier. Maytree zwierzył się ostatnio Lou, że stary

Cornelius powiedział o Deary, cytując czyjaś wypowiedź na temat jakiejś hollywoodzkiej gwiazdy, że ma ona kobiece krągłości tam, gdzie inne kobiety w ogóle nic nie mają. Lou bacznie przyglądała się malującym studentom. Wiedziała, że Deary, wagabunda, chętnie poślubiła malarzy inter alia i miała niemal tylu mężów, co Reevadare. Deary należała do tych kobiet, które chętnie wychodzą za mąż - zaś pomiędzy jednym a drugim małżeństwem brała sobie kochanków.

Lou i Maytree lubili ostatniego zalotnika Deary.

Był nim wygadany Slow Sykes, który chodził w zielonych butach, a podczas gry w bejsbol stał zazwyczaj na trzeciej bazie. Poważny artysta, uprawiający malarstwo olejne, lubił

też dobre książki. Regularnie o zachodzie słońca przychodził na drinka na plażę Maytree'ego i Lou i codziennie opowiadał im swoje nowe dowcipy - a raczej je odgrywał. Wkrótce potem do

Lou dotarła wieść, że zaledwie dwie godziny po ślubie z Deary młody żonkoś wyruszył łodzią motorową z Fishermańs Pier w rejs poślubny - ale bez żony.

Lou odwiedziła wtedy Deary w szopie, gdzie niegdyś mieściła się chłodnia, i w świetle lampy przeczytała list, który dżentelmeński Sykes napisał do żony na eleganckim papierze czerpanym. Przepraszał ją i prosił o rozwód, najuprzejmiej jak umiał. Z ewidentnym bólem zauważył też, że wtedy na molo, po raz drugi tego samego dnia - czyli w dniu ślubu -

zdał sobie wreszcie sprawę, ile czasu potrzebuje kobieta, by się ubrać.

Deary uznała jego tłumaczenie za sensowne i sama opowiadała później wszystkim tę historię, za każdym razem śmiejąc się z niej na nowo i bezradnie. Jak zauważył Cornelius, nietrudno było ją rozśmieszyć.

Kiedy się jeszcze nie znały, Deary poślubiła pewnego malarza z Nowego Jorku, który co roku przyjeżdżał latem do Provincetown. Mama Lou uważała, że jest gburowaty. Ów malarz rozwiódł się z Deary dla lekarki z Bostonu, chirurga ortopedy, i wtedy zarówno jemu, jak i Deary od razu poprawił się nastrój. Potem Deary wyszła za pewnego czarusia, rybaka z Wysp Azorskich, łowiącego niewodem. Wszyscy wiedzieli, że jego krewni zerwali z nim wszelkie kontakty, bo Deary nie była katoliczką. Rybak najwyraźniej tęsknił za swoją ekstrawertyczną rodziną, która mieszkała całkiem niedaleko, na drugim końcu miasta, więc po jakimś czasie Deary ze smutkiem zwróciła mu wolność.

Pewnego lata, gdy była jeszcze studentką, Lou przyjechała do Provincetown na wakacje i dowiedziała się, że Deary znów wyszła za męża, tym razem za starego malarza abstrakcjonistę z Gór Skalistych, który chodził w skórzanym kapeluszu jak gaucho. Widziała jego nieliczną garderobę i liczne zagruntowane płótna w szopie-chłodni. Stary malarz powiedział wówczas

Lou, że jego zdaniem Provincetown to prowincjonalne miasteczko. Potem zapłakana Deary poskarżyła się

Lou, że jej mąż wyjechał do Greenwich Village, wynajął tam pracownię i wrócił do Provincetown tylko raz, już bez kapelusza, żeby zapakować wszystkie swoje płótna do autobusu. Poza tym Deary poślubiła kiedyś bejsbolistę z Red Sox, rezerwowego miotacza, który pewnego razu wyjechał na wiosenny trening i też już nigdy nie wrócił.

Stojąc na ulicy przylegającej do plaży, Lou przyglądała się adeptom malarstwa.

Zaniepokojona zauważyła, że pracujący w plenerze studenci malują wokół postaci Deary oślepiająco jasne, zielone, niebieskie i kadmowożółte faliste linie. Lou miała nadzieję, że kiedy się zestarzeje, także będzie malować, ale spokojniej. Im więcej oglądała dzieł ze szkoły Provincetown, tym bardziej podobały się jej grisailles.

Po ślubie zrozumiała, że mogą się dotykać nie tylko normalnie, ale i od wewnątrz, jakby ich receptory czuciowe funkcjonowały również pod skórą. Mieli wrażenie, że czas się zatrzymał. Za dużo w nich było miłości, by mogli się precyzyjnie przeczisnąć przez tę szczelinę, która prowadzi na dół, do mrocznego świata czasu i pospolitości. Ten zwyczajny świat zniknął, a oni doznawali wrażeń zmysłowych wyłącznie za pośrednictwem kilku milionów komórek, którymi dotykały się

ich ciała.

W ten sposób Lou poznała myśli i rycerskość Toby'ego.

Miłość ogarnęła ją tak gwałtownie, że naprawdę sądziła, iż nikt wcześniej nie zgłębił

tego uczucia. Gdzie podziwiała się miłość w literaturze? Ktoś przecież musiał coś na ten temat napisać, ona jednak tego nie zauważyła. Pora przeczytać wszystko jeszcze raz.

Rozbijała się na rafach pościeli jak statek albo wlatywała w górę niczym ogłuszony dynamitem okoń.

Otwierała oczy i widziała, do którego brzegu wreszcie dobiła. Leżała na łóżku rozciągnięta jak delikatna błonka. Ze ściany mrugały przypominające kolczugę światełka, sunące po omacku wokół przypiętej pinezką reprodukcji Sindbada pędzla Paula Klee.

Wzbierająca za domem fala niosła im te światełka jak na tacy. Lou uwielbiała Maytree'ego, jego nerwowość, ascetyzm, a zwłaszcza brzuch. Czy najintymniejszą częścią ciała nie jest jednak głowa? Całuję twoje skronie, tam gdzie tworzą dołeczki. Od tego wszystkiego, co masz w głowie, powinny się raczej wyrzuścić. Ale te dołeczki są hasłami niczym z encyklopedii - dzięki nim, jak przez drzwi, mogę prawie dotykać twoich myśli.

O, moja radości, już na zawsze, na wieczność.

Wyciągnięty koło niej Maytree już spał. Zazwyczaj zasypiał jak zrzucony ze skarpy kamień - patrząc z lotu ptaka, można by pomyśleć, że nie otworzył mu się spadochron.

Intymność, to krótkie zespolenie ciał, owo ślepe morze, w którym wspólnie nurkowali, nie mogła być jedynie ich udziałem, udziałem Lou i Maytree'ego.

Jego szyja pachniała opalenizną i oleistą, rozgrzaną wydzieliną ciała, a jego włosy tak samo, tylko jeszcze bardziej tajemniczo. Ciągłe był świeży po prysznicu, który wziął na dworze. Ich jaźnie przypominały splecioną w warkocz rzekę, która płynęła przez czas kroplami albo strugami. Po chwili Lou zauważyła, że Toby się obudził, i pokój od razu wydał

się jej elegantszy.

Maytree poruszył nogami - napięcie mięśni w normie. Za to ona miała nogi jak z waty

- przypominały smugę, jaką zostawia za sobą stara lina na piasku. Lou przez całe życie rumieniła się na myśl o ciele Toby'ego.

- Powinniśmy się ruszyć i przycumować łódkę

'- powiedział Maytree. - Idzie przyplów.

Po chwili wstał i strzepnął piasek z prześcieradła

Po „swojej” stronie łóżka. Zawsze mieli w łóżku pełno

Piasku. I aż dziw bierze, że Lou ani trochę nie schudła od tej miłości.

- kanapki z kaczką od Mayo's, cheddar, piwo - jajka na twardo w rożkach z papieru

śniadaniowego (3]

- dwa notesy z czerwono nakrapianymi okładkami, wieczne pióro, kilogram ośmiocentymetrowych gwoździ.

- Uciezki zwierząt cyrkowych; Ojcowie i dzieci; Synowie i kochankowie; Eddington, Natura fizycznego świata

Maytree pod wpływem niewytłumaczalnego impulsu opuścił miasto i wybrał się do swojej chatki na plaży.

Nasza planeta właśnie wtoczyła się we własny cień, a na wysokiej wydmie niebo spłynęło Toby'emu do stóp. Wszystko, co widział, znajdowało się poniżej linii jego skarpetek. Na całej szerokości długiego horyzontu paraboliczne diuny przecinały niebo jak rozbrykane fale, a na scenie świata zaległa cisza niezmienności.

Znajdował tu kambryjski spokój z czasów, kiedy świata jeszcze nie było na świecie, ale i postludzka głuszę z czasów, gdy człowiek jako gatunek już wyginął. Maytree pokonał

niewielką błotnistą kotlinkę i wszedł na ścieżkę, którą od razu wyczuł pod stopami. Zjadł

kanapkę. Teraz już wiedział - chociaż w to nie wierzył - że Lou go kocha. Poznał głębię jej uczucia, gdy ją całował, a fałdy jego mózgu zdawały się rozstępować jak chmury na tle słońca.

Ustawił trzy szklane lampy obok siebie na stoliku w chatce, nad swoimi nakrapianymi notesami. Śmierć nie była dla Toby'ego problemem: wszystko, co żyje, umiera. Problemem była miłość. Nieważne, że umarliśmy, ważne jest to, że najpierw szaleńczo, a potem głęboko kochaliśmy tego jednego, jedyne, wybranego z kilku miliardów człowieka. Jako istoty ludzkie przykuliśmy się do ulotności, zmiany i umierania niczym do skały. „Między drzewa młodzi idą w uścisku, ptak leci w zieleni, generacje śmiertelne, a każda z nich śpiewa [...]”.

Każda kolejna przeczytana książka była dla Maytree'ego pokonanym zakrętem i w końcu, w pewnym sensie, osiadł na mieliźnie. Zaczynał zapisywać nowe notesy, wciąż nie rozumiawszy niczego ze starych.

Rzucił się w świat, żeby go splądrować, oświetlał go pochodniami i latarkami, czerpał

z niego pełnymi garściami i myślał o tym, ile jest w nim fuszerki - tylko po co? Każdy fakt był dla Toby'ego jak napis runiczny. Wymyślone przez niego całościowe, aczkolwiek nadal niepełne, systemy filozoficzne zalegały wszędzie w kuchni i na plaży wokół domu, który dzielił z Lou. Chciał się wykończyć, zbankrutować myślowo, zdobyć mistrzostwo w jakimś fachu i zacząć życie od nowa. Skoro wszystko na świecie pasuje do wszystkiego, jak można w ogóle myśleć? Albo zrozumieć rzeczywistość?

W.B. Yeats, Odjazd do Bizancjum, przeł. C. Miłosz.

Zdjął koszulę. Już sama miłość każe nam postawić kilka szczerych pytań - a nawet więcej niż kilka.

Na przykład: czy miłość romantyczna to wynalazek współczesny? Jak długo miłość może trwać odwzajemniona, a jak długo nieodwzajemniona? Czy bliskość mąci wzrok kochanków? Czy nie pozwala im jasno widzieć prawdziwej natury rzeczy i sprawia, że pierwszoplanowe staje

się dla nich to, co powierzchowne?

Czy miłość jest jedynie pewnym zafałszowaniem, jeśli po rozstaniu zazwyczaj potężnieje w duszach kochanków - zapewne dlatego, że powoli zapominają o sobie, a więc za każdym razem muszą sobie siebie wyobrażać i na nowo przywoływać z pamięci? Jeżeli tak, to czy miłość jest całkiem fałszywa? A może tylko w trzydziestu procentach? W

sześćdziesięciu? Czy w pięciu?

Toby przystanął na skraju wydmy położonej najbliżej brzegu i przyjrzał się wiszącym nad oceanem gwiazdom. Wzbierało w nim tchnienie bezmiaru życia, a kontury wszystkich przedmiotów wokół zadrżały i cofnęły się w dal. Pomyślał, że tylko kochanek widzi to, co jest prawdziwe, i tylko kochanek widzi swoją ukochaną naprawdę, w głębi duszy. Miłość wcale nie jest ślepa, przeciwnie - tylko miłość posiadała władzę widzenia. Przyglądając się niebu w tamtej chwili i już zawsze potem, Toby podwajał swój świat. Wydało mu się, że patrzy na niego również oczami Lou, niczym aztecki kapłan, który uśmiercił wroga i ubrał się w zdartą z niego skórę. Choć może jednak niezupełnie jak kapłan...

Tydzień po ślubie, kiedy Maytree wprowadził się już do Lou, wstąpiła do nich Reevadare. Podnosząc do ust kubek z kawą, jakby chciała wznieść toast, Reevadare powiedziała:

„Było was dwoje,

A teraz jest jedno.

Nie żał wam tego,

Wy kochane gnoje?”.

Maytree wiedział, że Lou niczego nie żałuje. Nigdy wcześniej nie słyszał tego wierszyka, w gruncie rzeczy opartego na pewnej kwestii, którą wówczas się interesował: czy zakochane kobiety czują to samo co mężczyźni? Czy mężczyźni kochają tak samo jak kobiety?

Jego dziewczyna oblubienica podzieliła z nim żelazne łóżko cała w uśmiechach. Czy kiedy przekraczali ostateczne granice intymności, Lou przeżywała to samo co on? Czy jego odczucia w tej bądź w tamtej chwili były takie same jak jej?

Czytając literaturę, Toby zdołał nieoficjalnie ustalić, co w tej kwestii udało się odkryć innym alumnom miłości, po czym zawładnął zielonym stołem kuchennym Lou, który odtąd służył mu jako biurko.

Pewnego razu, kiedy Lou brała kąpiel, Maytree przepisał z tomu wiecznie młodych listów Keatsa być może niezwiązane bliżej z miłością, ale również pozostające bez odpowiedzi pytanie: komu seks sprawia większą przyjemność? Mężczyźnie czy kobiecie?

W jednym ze swoich nakrapianych notesów zapisał dymetrem i trymetrem:

„Któż to wie,

Kobieta czy Mężczyzna

[Naj]większej rozkoszy doznaje?”.

Jak powszechnie wiadomo, Tejrezjasz odpowiedział, że kobieta, ale Tejrezjasz przecież nigdy nie istniał. Na jakiej podstawie najślawniejszy Grek na świecie pozwolił

fikcyjnemu wieszczowi, który przez pewien czas owszem, był kobietą, udzielić właśnie takiej odpowiedzi? A skoro snujemy już podobnie szalone dociekania, to czy natężenie męskiej i kobiecej rozkoszy erotycznej można było dawniej i nadal można oceniać wedle donośności dźwięków, jakie wydają kochankowie podczas aktu miłosnego? Bo seks o mało nie zabijał

Lou. Czy nic jej nie jest? Zmieszany Maytree trzymał ją mocno w ramionach, dopóki nie otwierała oczu. Czy nie zachował się jak zwierzę? Czy coś ją boli?

- Uuuch... - odpowiedziała kiedyś, a innym razem: - Ojej.

Więc Toby w końcu przestał się tym martwić. Lou była sprężysta i młoda, ale Toby widział nieraz, że jeszcze kilka godzin po seksie musi się trzymać poręczy, żeby nie spaść ze schodów.

Pewnego ranka, kiedy dzielili się resztką proszku do zębów, Toby podsunął jej pytanie Keatsa.

- Posłuchaj, Lou, jest takie pytanie, które John

Keats sformułował następująco: „Któż to wie, kobieta czy mężczyzna większej rozkoszy doznaje?”. Jak myślisz?

- Kobieta - odpowiedziała prawie bez namysłu małomówna Lou. I dopiero znacznie później, w łóżku, w chatce na plaży, gdy odwracała się na bok, żeby już zasnąć, dodała: - Pod warunkiem, że mężczyzną jest

John Keats.

Dwa miesiące po ślubie Lou pomogła Deary przenieść się do miasta. Prowizoryczną, lecz całoroczną kwaterą główną Deary była opuszczona chłodnia na Cold Storage Whorf. Malarze z Provincetown tak często malowali jej podłużną konstrukcję, że nazywali ją swoim „motywem numer jeden”. Deary ubierała się teraz w zwiewne, wzorzyste i kolorowe rzeczy i nosiła kolczyki wielkości huśtawek dla papug, tylko w kształcie kół.

Zwykle Deary spędzała w starej chłodni całą zimę, często przyjmując pod swój dach ludzi bezdomnych i potrzebujących schronienia. Lou uważała, że cuchnie tam benzyną, olejem silnikowym i skorupiakami.

Ze sprzętów gospodarstwa domowego Deary używała jedynie opalanej drewnem kuchenki, a poza tym korzystała z zamontowanego na molo węża ogrodowego, który jednak przestawał działać wraz z nadejściem mrozów. Wszyscy starali się wspomagać Deary, kupując od niej tak zwane rzeźby, które lepila - głównie dla turystów - ze skorupki ostryg pozbawionych purpurowych oczek. Pewnej zimy Deary zamieszkała jednak w letnim domku państwa Cairo. Jeżeli w lecie albo w zimie komuś w okolicy rodziło się dziecko, Deary wprowadzała się do świeżo upieczonych rodziców, by zajmować się starszymi dziećmi, robić zakupy, gotować i pracować. Kiedyś w październiku wprowadziła się do chatki na wydmach Corneliusa Blue'ego, żeby się nim opiekować, bo podczas odpływu złamał

miednicę. Spadł z konia, który ciągnąc kosz do połowu ostryg, nagle stanął dęba. W

porywach nagłej miłości do Bauhausu Deary wszędzie zabierała ze sobą krzesło od nocnego stolika w kształcie ludzkiej dłoni. Lou ten mebel bardzo się podobał - siadywała na plastikowej dłoni i opierała się o jej czarne palce. Latem, jeśli Deary sypiała na wydmach albo na ganku u państwa Cairo, krzesło zostawało jednak w szopie, podobnie jak Szalony Joe, nieszkodliwy włóczęga.

Rok wcześniej na molo, wśród jego pokrytych krezotem pali, Lou poznała Ruby Hightoe, matkę Deary - kobietę obwieszoną perłami, w ozdobionym perłami kapeluszu, szytej na miarę garsonce i butach na wysokim obcasie - która rzadko przyjeżdżała do córki w odwiedzinach. Olśniewająco elegancka i cicha krążyła w czerwonych szpilkach ze skóry aligatora wokół stosu sieci rybackich, w które zaplątały się wodorosty i butelki po piwie.

Matka Deary przypominała Lou panią Buff Orpington, której mąż „wynałazł kurczaka” i której samochód ciągnął się aż przez cztery kolejne kadry Blondie, popularnego wtedy komiksu.

Deary położyła w długiej, wąskiej chłodni podłogę i pomalowała ją na żółto. Tam gdzie oczy Lou chciałyby widzieć okno, Deary przypięła reprodukcję obrazu Modiglianiego, którą można było znaleźć u niemal wszystkich mieszkańców Provincetown - był to portret przedstawiający nienaturalnie wydłużoną głowę i szyję jakiejś kobiety o czerwonych policzkach. Na przeciwległej ścianie wisiała reprodukcja znanego obrazu Picassa przedstawiającego niebieskich klaunów na plaży - i tu za okno służył mosiężny bulaj. Na wbitych w ścianę gwoździach wisiały trzy ogromne kosze, służące Deary jako komoda, szafa i spiżarnia.

Nie miała łóżka - sypiała na materacu z koi okrętowej położonym na drzwiach, które spoczywały z kolei na żelaznych skrzynkach po butelkach od mleka; pod przeciwległą ścianą leżał materac Szalonego Joego.

Wokół wisiało też kilka przypominających gobeliny wełnianych spódnic, porozpinanych na gwoździach, żeby uszczelnić pełne szpar ściany. Książki zamiast na półkach Deary ustawiła na drabinie. Lou lubiła wpatrywać się w przerwę między podłogą a ścianą i przyglądać się pływającym w dole rybom. Deary dała jej kiedyś kawałek czerstwego chleba kukurydzianego, a Lou pokruszyła go i nakarmiła ryby, które rzuciły się na niego, jeszcze zanim wpadł do wody.

Wracała z molo z nadzieją, że Maytree będzie w domu. Jest taka wietnamska baśń, która powiada, że ziemia to królestwo pożądania. Kiedy Maytree się śmiał, rozluźniały się mięśnie jego nóg. Miał wąskie obojczyki i zgrabne stopy. Pogwizdywał, nosił szerokie spodnie i gadał jak najęty.

Toby zarabiał na życie przeprowadzkami. Po powrocie z Zachodniego Wybrzeża, czyli po wojnie, remontował też domy pod wynajem, ale pracował wyłącznie popołudniami.

Płacono mu za coś, co i tak lubił robić. Czasami brał do pomocy swojego kolegę ze studiów, Soonera Roya. Zaczynali jako stolarze, którzy zmieniali ganki w pokoje, dobudowywali apartamenty w wolno stojących domach i podnosili stropy. Kiedyś na prośbę przyjaciół

przewieźli nawet w inne miejsce cały dom państwa Proto, stojący na palach na Monument Hill. Odłączyli pompę, wzmocnili narożniki, podnieśli zbutwiały już budynek, po czym na oczach licznych doradców i gapiów wepchnęli go na wóz zaprzęgnięty w muły. Zwierzęta odmówiły jednak posłuszeństwa, a Maytree zabronił popędzać je deskami.

Tymczasem stara Flo Proto spokojnie siekała w przewożonym domu cebule i marchewki.

Ludzie słyszeli stukot noża, a może nawet toporka, o deskę. Maytree pilnował

mułów, Sooner pobiegł ściągnąć skądś dwa traktory, a Flo rozpałała ogień pod kuchenką.

Traktory w przeciwieństwie do mułów nie odmówiły posłuszeństwa i ruszyły naprzód. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach w chwiejącej się kuchni, Flo ugotowała cienki gulasz dla robotników. Z komina unosił się dym, który znaczył trasę przewodzątki, a okoliczne dzieciaki długo biegły za domem.

Im dłużej Toby i Sooner pracowali, tym więcej praca miała im do zaoferowania.

Ludzie chcieli na przykład na stałe zarzucić kotwicę pośród kępy drzew albo w jakiejś dolince, w której ogrzewanie wychodziło taniej, albo na nabrzeżu, owszem, wystawionym na działanie deszczu i wiatru, ale gdzie letnicy najchętniej wynajmowali pokoje. Przewodzątki były dla

Maytree'ego i Lou - a także dla dzieci, marynarzy na emeryturze, żołnierzy straży przybrzeżnej po służbie i sąsiadów - istnym natchnieniem, lecz wiele z ich tras wiodło ku katastrofie.

Tamtego lata Maytree i Sooner przenosili na oczach

Lou jeden, a czasami nawet dwa domy miesięcznie.

Najlepiej się bawili, kiedy transportowali je drogą morską - jeżeli udało im się wcześniej bez przeszkód zaciągnąć dom nad zatokę za pomocą połowy wszystkich cum w mieście, ciężarówki Soonera, dwóch starych jeepów, dwóch traktorów i jednego srokatego konika, który na co dzień rozwoził mleko. Lou zwykle szła za nimi piechotą. Gdy docierali na plażę, układali na piasku podkłady kolejowe, tworzące jakby rampę, a na nich drewniane bale, po których dom wciągano na tratwę. Pewnego razu przy niskich ścianach budynku zebrali się jacyś gapie, a Lou stała na brzegu, kiedy nagle jedna z lin, na których ciągnięto całą konstrukcję, wpadła do wody. Niewiele brakowało, by dom wywrócił się do góry nogami, ale na szczęście zawadził o ziemię rurą od pieca - i ten incydent szybko zyskał sobie iście epicki rozgłos w całej okolicy. Przydałby się jakiś Winslow Homer, żeby uwiecznić tę scenę na płótnie. W każdym razie od czasu niedoszłej katastrofy

Toby i Sooner zawsze przymocowywali do bali cztery działające jak kamizelki ratunkowe puste kanistry, żeby ustabilizować przeciążoną tratwę.

Maytree, podobnie jak właściciele domów oraz władze miasta, nie dbał o to, kto może mieć prawa do działek. W czasie wojny prawa własności, jeśli w ogóle ktoś je tutaj miał, wygasły. Ludzie płacili wysokie podatki za nieużytki, a po wojnie przejęli je na własność.

Sooner Roy nosił kapelusz z jedną połową runda opuszczoną na dół, a drugą podniesioną i pełną trocin. Namiętnie kibicował drużynie bejsbolowej Red Sox i podczas ich meczów dostawał ataków szału, na które strach było patrzeć.

Próbował wynająć od kogoś kawałek ziemi, gdzie pod płóciennym namiotem chciał

zbudować łódź jednożaglową długości dwunastu metrów albo jolkę, którą popłynąłby do Maine. Wychował się w Missouri. Maytree był wysoki, a Sooner silny jak Babe Ruth. wa lata później tańczyli w kuchni do Lady Be Good.

Maytree ściszył radio i powiedział Lou, co przyszło mu do głowy: że miłość niesie

nienazywalne szczęście, które ludzie słusznie cenią w życiu najbardziej i dla którego robią mnóstwo zamieszania wokół ślubu. Para jaskiniowców nie tylko zbiera żywność i zabija zwierzęta, żeby ich dzieci zdrowo się chowały - ich wzajemne uczucia, nie wspominając już o miłości do potomków, przynoszą coś więcej niż pokarm, coś, czego człowiek też potrzebuje do życia. Czuli to, tańcząc ze sobą, i było to równie prawdziwe jak wszystko, co potrafi ponoć ludzki umysł. Lou miała oczy niczym dwa kryształy; na jej twarzy pojawił się charakterystyczny uśmiech, jak gdyby dzielący jej oblicze na pół. Powiedziała, że się z nim zgadza, a Maytree zgłośił radio.

Och, było słodko i ślicznie.

Po pierwszym spędzonym wspólnie roku już nie dziwił się urodzie Lou. Nigdy nie przestawał na nią patrzeć, ponieważ jej twarz była domem dla jego oczu.

Jednak tym, co czyniło ją tak cudowną, teraz i zawsze, był jej swobodny i bezradny śmiech. Maytree czuł się jak największy dowcip świata. Lou pracowała, chodziła, stała i siedziała jak manekin, z opuszczonymi ramionami i wyciągniętą szyją, i każdy, nawet najbardziej niepozorny mot Toby'ego dosłownie zwał ją z nóg. Skręcała się ze śmiechu, który przypominał zgrzytanie zardzewiałej ośki w kole i trwał bezgłośnie nawet wtedy, kiedy już brakowało jej tchu. Przy stole, jeżeli akurat jadła, nakrywała sobie twarz chusteczką, gdy śmiech spadał na nią niczym wycofujący się, zerwany z uwięzi wóz. Kiedy indziej osuwała się na stół, a jeśli już naprawdę nie mogła się opanować, uderzała rytmicznie głową o blat.

Zdarzało się, że jakby składała się wpół, pochylała swoje smukłe plecy i wspierała głowę na wysokości oczu na pięściach, które z kolei opierała na kolanach. Rozstrojona śmiechem, traciła czasem równowagę i zsuwała się na plecach po zboczu wydmy. Nierzadko, bez względu na to, gdzie się akurat znajdowała, ze śmiechu kładła się na wznak z wyciągniętymi w górę, wyprostowanymi nogami, jak dzieciak w pieluszcze.

Maytree wciąż zakochiwał się w Lou od nowa. Kiedy spacerowali, trzymał ją za rękę.

Zdawało mu się, zarówno dawniej, jak i teraz, że Lou spokojnie toczy się lub płynie nad światem, działając, dając i biorąc, nigdy nie przyspieszając i nie zwalniając, ze skrawkiem czerwonej albo niebieskiej chustki na głowie. Dorównywała mu energią intelektualną i wytrwałością. Nie rywalizowała z nim ani nie buntowała się. Jej wolność, podobnie jak bezmierny dystans do świata, dodawały mu sił. Z nich dwojga to ona często sprawiała wrażenie osoby starszej wiekiem. Prowadziła otwarty dom.

Aktywnie akceptowała to, co niosło jej życie, i była niczym zaprawiony w bojach żaglowiec na bezpiecznym morzu. Jej usta okazały się narządem milczenia.

Toby dostawał szału, bo nie mógł osiąść historii jej młodości. Kim był ten oszust, z którym śpiewała na studiach? Jak on śmiał?

Ich namiętność przybierała na sile. „Miłość jest niczym fala, zawsze sunie naprzód albo się cofa” - zauważył Maytree w jednym ze swoich najnowszych notatników. A ich uczucia sunęły po falach niczym para nart. Maytree uważał, że Platon nie miał racji: zmysły i świat zewnętrzny nie są od siebie różne ani przeciwstawne, lecz raczej spotykają się jako najbliżsi sąsiedzi w mrocznym uścisku ludzkiej osobowości.

Synkowi dali na imię Peter, a nazywali go Petie.

Po pierwszej rozmowie, jaką przeprowadził ze swoim nieprawdopodobnym chłopakiem, Toby'emu odeszła ochota, żeby nauczyć go czytać, kochać literaturę, wiosłować, łowić ryby, uderzać kijem i rzucać piłkę bejsbolową, łączyć deski w rogach na skos, budować szkielety ścian, żeglować i remontować silniki. Pragnął tylko jednego ojcowskiego ograniczenia synowskiej wolności - chciał, by syn przyrzekł, że nigdy nie będzie żył z morza

- ale okazało się ono zbyt ciężkie, bo mały był tak słaby, że ledwo oddychał. Był nie tyle delikatny, ile beznadziejny; właściwie należałoby go poddać wulkanizacji.

Szkoda, bo ta ewidentnie niezdolna do życia istotka, niepotrafiąca wdychać ostrego powietrza, oczarowała Lou, o której upodobaniu do potomstwa zwierząt naczelnych albo do nieopierzonych piskląt Toby nie miał wcześniej zielonego pojęcia. Lou widziała w tym stworzeniu coś, czego on nie dostrzegał, ale co najwyraźniej rzucało się także w oczy innym kobietom, również przyjezdnym, jak gdyby chodziło o cechę przynależną pewnej grupie ludzi

- i to właśnie kobietom, nie małym dzieciom. Petie nie radził sobie nawet z koordynacją ruchów swoich przypominających robaczki kończyn, a kiedy Lou podawała synka mężowi, Maytree musiał pamiętać, by podtrzymywać mu główkę, bo inaczej matka zaraz kazała to zrobić.

Pewnego razu podczas jakiegoś remontu Maytree po namyśle powiedział Solowi Raposo, murarzowi, że

Petie jest „absorbujący”. Codziennie widział, jak troje dzieci Sola urządza sobie zjazd rodzinny na budowie i przywozi mu lunch, który ojciec zjadał, bawiąc się z nimi. Sol podniósł z niedowierzaniem wzrok, spojrzał na Toby'ego zza swojej bizoniej grzywy i wzruszył ramionami.

- Powinniście mieć więcej dzieci - powiedział.

Któregoś dnia siedzieli z Petie'em pod płóciennym plażowym parasolem, rozpiętym na bambusowym kijku. Lou miała na głowie czerwoną chustkę. Był odpływ i wszystkie płycizny zamieniły się w błoto. Słońce stało nisko; zaraz mieli przyjść do nich przyjaciele, przynieść coś do picia, pomóc im przyciągnąć Petie'ego za piętki z powrotem w bezpieczne miejsce i wybrać nieuchwytny ziarenka piasku z jego wiecznie zaślinionej buzi.

Kiedy wprowadził się do Lou po ślubie, Maytree od razu zadbał o to, żeby ich przyszłe dziecko miało gdzie raczkować od strony plaży, i zbudował w domu klinową suterene, w której mieściła się także kuchnia i toaleta. Zakończył tę budowę, montując wielopłycinowe oszklone drzwi, które otwierały się wprost na plażę.

Kiedy przychodziła pora sztormów, Toby je demontował, bo wtedy woda mogła swobodnie wlewać się do wnętrza, a drzwi pozostawały nienaruszone. Przy zwykłej pogodzie znajomi państwa Maytree wchodzili od frontu, po czym schodzili na dół i otwierali szklane drzwi na plażę.

Jak co dzień Toby i Lou czekali właśnie na gości i czytali, leżąc na plażowych ręcznikach pod ścianą sutereny. Krzeselka zostawiali dla innych. Lou już dawno zauważyła, że Maytree, widząc, jak ona czyta, zawsze odczuwał potrzebę zainteresowania jej swoją lekturą, ale ona nieodmiennie wracała potem bez słowa do swojej książki.

- Gdybyś była prehistorycznym Aleutą...

- Co?

- Gdybyś była prehistorycznym Aleutą albo

Aleutką i umarłby ci mąż albo żona, to twoi współplemieńcy skrupowaliby cię na okres żałoby. Związałyby ci skórzanymi pasami nogi w kolanach, kostkach i biodrach, a potem ręce w łokciach i na wysokości pach, tak że mogłabyś się trochę poruszać, jakby owinięto cię w pieluszki. Aleuci wierzyli, że gdyby tego zaniedbać, człowiek z rozpaczy mógłby się dosłownie rozpaść na kawałki, jak kościotrup. Po prostu rozsypałabyś się i zostałby po tobie tylko stosik kości.

Widział, jak Lou zamyka książkę, zaznaczając stronę palcem, i wbija w niego wzrok.

Wiedział, że nie znosi, kiedy przeszkadza jej czytać.

- A pojęcie miłości romantycznej stworzyli trubadurzy - odpowiedziała.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- Na studiach. Może tylko wdowcy rozsypują się na kawałki - dodała. - To znaczy mężczyźni.

Dlaczego to powiedziała? Co ona wie o życiu? Czy jej matka się nie rozsypała, gdy odszedł od nich ojciec?

- Tak czy owak „prehistoryczny” znaczy jedynie

„zanim ludzie posiadli sztukę pisania”. Aleuci zaś pewnie nauczyli się miłosnych pieśni myśliwych, polujących na foki albo wieloryby, dopiero wiele lat po trubadurach.

Maytree dobrze wiedział, że ludy amerykańskie radziły sobie z miłosnym uniesieniem na swój własny sposób, nie wiedząc nic o istnieniu Europy. Archeolodzy znajdują czasem wiersze miłosne w niesplądrowanych jeszcze piramidach. Lou była nierozsądna.

Ale on mógł znaleźć na to jakąś radę.

- Kobieta nie wie, co to jest miłość, dopóki nie urodzi dziecka! - mawiała matka Lou i powtórzyła to w dniu jej pierwszego i ostatniego ślubu.

„Ach, idź wziąć zimny prysznic” - miała ochotę odpowiedzieć Lou. Ale kiedy wydała na świat

Petie'ego, od razu przypomniała sobie tamte słowa, przyjęła je za swoje i przebaczyła mamie. Przestało ją drażnić, że matka tak często ma rację. Ona nie chciała nigdy drażnić Petie'ego spoczywającego radośnie w jej ramionach i ssącego jej nos. Mały lubił też swoimi spiczastymi paluszkami miętosić twarz Lou. Właściwie nigdy nie wypuszczała go z rąk.

Musiła czuć go przy sobie, czuć jego ciemiączko na zgiętej w łokciu ręce, brzusek, zapach oddechu, główkę i tak dalej, i tak dalej. Mały najwyraźniej darzył ją podobnymi uczuciami.

Byli jak jedna istota, haniebnie podzielona na dwie części. Kiedy musieli się rozstać, Lou zaczynała oddychać coraz głębiej, jak gdyby brakowało jej powietrza - bolał ją wtedy mostek, brzuch i ramiona. Maytre zaopatrzył kuchnię w parę magnesików w kształcie podkowy, a Lou przekręcała je do góry nogami, żeby lepiej trzymały.

Lou i Petie śmiali się, wyzywając los i tigmotropistycznie przewracając się razem na łóżko. Albo dotykali się czołami, a potem skręcali ze śmiechu.

Lou zrozumiała, że przedtem jedynie marnowała życie. Kiedy Petie skończył sześć miesięcy, zapytała

Maytree'ego:

- Możemy mieć tego więcej?

- Jasne - odpowiedział. - Ale czego?

Gdy Petie skończył piętnaście miesięcy, potrafił już powiedzieć „anemometr” i

„skrzyptocz”. Czasami śpiewał hymn do piasku: „Hyannis, Hyannis”.

- Zatrzymaj go przy sobie tak długo, jak będziesz mogła - Reevadare Weaver radziła swoim lekko zachrypniętym głosem. Lou podejrzewała, że nikt nigdy nie poprosił Reevadare o radę, choć ona zawsze wiedziała, co komu potrzeba. Anemometr: jakie to dziwne, że Petie nauczył się akurat takiego słowa.

W wieku czterech lat mały zaczął krzyczeć pod adresem ciał niebieskich: „Hej, wy tam, kule! Zaczekajcie na mnie!”, albo „Ej, kule... Posłuchajcie, chcę wam coś powiedzieć”.

Lou pomyślała, że Petie musi być geniuszem, skoro rozkazuje konstelacjom. I najwyraźniej poetą.

- Oraz tyranem - zauważył Maytree.

- Wszyscy mężczyźni to tyrani - dodała Deary.

Mleczne ząbki wycięły się Petie'emu ładnie i równiutko, jak niedojrzałe jeszcze ziarna kukurydzy w kolbie. Jego rodzicom nie udało się mieć więcej dzieci. Było to dość bolesne, Lou wiedziała jednak, że już nigdy nie potrafiłaby tak bardzo pokochać innego dzieciaka.

Maytree i Lou uczyli się nocnego nieba razem i próbowali nauczyć go Petie'ego.

Wspólna obserwacja gwiazd w towarzystwie dziecka stała się teraz dla nich moralnym imperatywem. W książce pod tytułem

Wolf Children and Feral Man przeczytali o Kasparze

Hauserze - chłopcu, który od urodzenia mieszkał gdzieś w Niemczech, zamknięty na niskim stryszku, nazywanym później przez niego norą albo klatką. Jego pan nauczył go mówić, żywił go i wnosił jego nieczystości, a Kaspar bawił się drewnianym koniem. Kiedy osiągnął siedemnasty rok życia i był już duży, jego pan po raz pierwszy pozwolił mu wyjść z domu; zabrał go ze sobą do Norymbergi i zostawił samego na rogu ulicy. Osierocony chłopak miał przy sobie tylko karteczkę z napisem „KASPAR HAUSER”. Bystry i ciekawy świata z trudem rozumiał normalną ludzką mowę - i sam miał niejakie trudności z mówieniem. Po wrzawie, jaką podniosły w jego sprawie gazety (przestępca, który go więził, nigdy nie znaleziono), zaadoptował go

Pewien dobroczyńca, który pomógł chłopakowi przystosować się do nowego życia.

Kaspar tylko raz, na samym początku, poskarżył się na sposób, w jaki był traktowany przez swojego pana. A potem, kiedy po raz pierwszy ujrzał rozsiane na niebie tysiące gwiazd - i to w dużym mieście! - rozplakał się, bo nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy na Ziemi poza nim jednym mogli je wcześniej oglądać w każdej chwili, przez cały czas, kiedy tylko chcieli.

„Zdumienie i zachwyty chłopca były nie do opisania”. Kaspar powiedział wtedy, że jego pana należałoby „zamknąć na kilka dni pod kluczem” za to, że nie pozwalał mu oglądać gwiazd.

Była to jedyna manifestacja jego emocji wywołanych wspomnieniem uwięzienia.

Pierwszą rzeczą, jaką zrozumieli Lou i Maytree, kiedy chcieli się nauczyć obserwować niebo, było to, że powinni leżeć na ziemi. Ponieważ światła miasta rozjaśniały nieboskłon, obserwowali gwiazdy z wydm w gronie przyjaciół. Gdy o zachodzie słońca kładli się na plaży, Lou widziała, jak rybitwy wciągają strzały swoich grzbietów na rozpiętą na kuszy ich skrzydeł cięciwę. Ptaki w ostatniej chwili odwracały łebki, przechylały się na bok i z przypominającym cmoknięciem pluskiem wpadały do wody, ciemniejszej od niebieskich ryb.

Kiedy Lou odwracała głowę, rybie pluskanie przypominało odgłos pękających ziaren prażonej kukurydzy. Położenie państwa Maytree wyznaczała geografia - nie mieli gdzie się ukryć, a tymczasem chmury rozkładały w górze resztki światła, tak jak bakterie rozkładają ropę naftową.

W pewnej chwili Lou zauważyła wynurzający się z głębin łeb foki, a Deary wsunęła dwa palce do ust i zagwizdała. Zwierzę uniosło łeb, a potem, nie nurkując i nie spuszczać wzroku z Deary, wyszło na brzeg i położyło się w strugach piany niemal u jej stóp. Foka przysunęła się do Deary, w ogóle nie mącąc wody, i teraz lekko kołysała się z falą, ciemna, wyciągnięta do połowy na piasku. Dotknęła nosem pomalowanych paznokci bosych stóp Deary. Deary wyczarowała fokę.

Zaczęła coś do niej mówić. Kiedy schodzili z plaży, foka szukała ich wszędzie, nawet na niebie. Bo Deary miała czyste serce - dlaczego foka nie mogłaby go pokochać tak jak wszyscy?

- To kobieta-foka - powiedział o Deary Cornelius.

Przypatrywali się kapryśnej Wenus w ciemności i śledzili drogę zaszłego słońca.

Alterf oznacza „spojrzenie”, a Difda - „druga żaba”.

- Nie czujesz się jak głupiec, próbując poznać coś, co znali już ludzie z epoki kamienia łupanego?

Maytree odparł, że nie, a Lou ujrzała dwa pasy Drogi Mlecznej, zlewające się ze sobą nad morzem. Garście gwiazd ułożyły się w coś na kształt jaja, rozbitego przez rozbuchane słońca. To ono - jajo - stanowiło jądro galaktyki. Tylko... skąd człowiek może wiedzieć coś takiego?

- Jesteśmy stosunkowo złożoną, galaretowatą substancją materialną - powiedział

Cornelius. - Jednym z wielu gatunków zwierząt. Ale inne zwierzęta nic nie wiedzą o świecie, a nasi uczeni, owszem, całkiem sporo.

Lou patrzyła, jak gwiazdy uderzają swoimi płonącymi kłykciami o kopułę niebios.

Petie podniósł głowę. Leżał na kocu przed chatką na wydmach, między rodzicami.

Rozłożył ramię jak skrzydło i wsparł wyglądającą na bezkostną rękę na przedramieniu ojca.

Pozbył się już tego szklatego spojrzenia przywodzącego na myśl biblijne obłoki chwały albo umierające duszki leśne - spojrzenia, którym noworodki nie przestają zadziwiać swoich rodziców, dopóki nie objawią się im inne wdzięki ich dzieci. Podobnie jak jego matka, Petie był małomówny. Jego oczy lśniły ciemnym światłem pod nisko opuszczonymi brwiami i wszystko wydawało mu się zabawne.

Jego rodzice szeptali coś do siebie, ale dla malca były to tylko nic nieznaczące dźwięki, jak syrena portowa czy wiatr. W górze majaczyła rączka pompy studziennej, przypominająca szyję głodnego potwora, a Petie przyglądał się otaczającym ją gwiazdom.

Na karku czuł zimny piasek, chociaż matka otuliła go swoim swetrem.

Wiedział, jak się nazywa „to coś” nad jego głową: to gwiazdy, szeleszczące na swoim miejscu na czarnym niebie. Nie były z nim spokrewnione, ale wydawały mu się całkiem sensowne, jak większość innych rzeczy na świecie, a nawet sensowniejsze niż niektóre z nich, a to ze względu na swoją nieszkodliwość i spokój. Ale gwiazdami Petie natychmiast się znudził, bo nic się w nich nie zmieniało i nie czuł się im potrzebny - chociaż przez chwilę, leżąc na kocu między rodzicami i patrząc w niebo, naprawdę poczuł, że żyje.

Lou znalazła pracę na pół etatu w galerii sztuki

Jen i Barrie'ego. Mogła tam w wolnych chwilach czytać książki i oglądać obrazy w stylu action painting.

Nie widziała powodu, żeby Petie miał cierpieć z powodu wytężonej pracy, którą ona i Maytree z przyjemnością wypełniali swój wolny czas. Toby nie powinien porzucać porannego pisania, a za zarobione przez nią pieniądze mały dostał nowe buty.

Gdy Petie skończył sześć lat, zrobił z kolegami lemoniadę z mrówek i sprzedawał ją na nabrzeżu. Właśnie wyrznął mu się nowy przedni ząbek w kształcie muszli przegrzebka.

Jego pozostałe zęby - wciąż mleczne - były wielkości kratek w szkolnym zeszycie. Nie potrafił jeszcze rozpalić ogniska, ale umiał narobić dymu, i owszem. Cornelius mówił na niego

„Rybaczek-dziwaczek”.

Kiedy Petie miał osiem lat, napisał w szkolnym wypracowaniu: „Myszy to takie małe stworzenie, co wchodzi do domu”. W nie pogodę Maytree strugał z Petie'em gwizdki i sztylety. Kiedyś w maju przyszły trzy zamiecie śnieżne, po których na ziemi zostało dwa i pół

metra śniegu. Gdy skończył się rok szkolny,

Deary zajmowała się pewnym dwulatkiem i jednym starszym dzieckiem, niańczyła jedno czy może dwoje niemowląt, i jednocześnie miała oko na Petie'ego.

Lou i Maytree siedzieli przed drzwiami suterenu w towarzystwie Deary, państwa Cairo z

Nowego Jorku i Corneliusa z wydm. Wiał południowy wiatr. Wszyscy patrzyli, jak Petie i synowie mieszkających po sąsiedzku państwa Bonobos ścigają się na plaży, wabiąc fale przyływu jak muzykanci szczury. Nad ich głowami otworzyło się niebo.

Lou i Maytree uważali, że ich małżeństwo jest jedyne w swoim rodzaju.

Rzeczywiście, rzadko się kłócili - Lou niewiele mówiła. Oboje uważali miłość za narzędzie epistemologiczne. Jak traktor albo lina miłość pociągała za sobą coś nowego, coś, co rozwijało swoją odwieczną flagę i pędziło przed siebie. Jak? I dlaczego?

W dni świąteczne starożytni Grecy malowali marmurowe oblicze Zeusa cynobrem, czyli na czerwono, a Maytree obchodził Święto Dziękczynienia, rozpoczynając pracę nad swoją kolejną książką. Pisał długie poe - maty, z których każdy mógł wypełnić cały tomik.

Nad wszystkimi swoimi trzema książkami zawierającymi poezję pisaną po cztery akcentowane sylaby w wersie, pracował po trzy lata - pozostałe pomysły rozsypały mu się jak domki z kart.

Maytree miał nadzieję, że skłoni swoich bostońskich wydawców, by lepiej promowali jego dziełko, jeśli wpadnie do nich bez zapowiedzi - chociaż wydawcy wcale nie pozostawali beczynni. Wraciał autobusem z takiej właśnie niezapowiedzianej wizyty, <] kiedy przyszedł

mu do głowy pomysł na nowy, długi poemat, który mógłby zacząć pisać w najbliższe świę -

to Dziękczynienia. Boston czy Nowy Jork symbolizują kondycję współczesnego człowieka pod jednym względem: jesteśmy obcymi pośród milionów ludzi mieszkających w pudełkach jak Indianie Anasazi, w świecie, który sami ukształtowaliśmy w ten sposób. Tymczasem]

Provincetown przeciwnie, dowodzi raczej, że mieszkamy na wąskim pasie piasku między morzem a niebem.

Tu żyją protoplazmatyczni, jak gdyby nadzy ludzie, kołyszący się na wietrze na tle kryształowego nieba.

Nasze tkanki miękkie znajdują się na zewnątrz, jak u wykopanych z ziemi, usychających na powietrzu robaków. Mieszkańcy miast są jednak niczym Sebastiana pavoniana, meksykańska fasola skacząca, albo jak larwy zamarynowane w butelkach tequili -

miękką zawartością w twardych opakowaniach. I tak dalej...

Do czego to się człowiek nie posunie, by ukryć swoją nagość! Jest gotów nawet odgrodzić się od nieba!

Istniało jednak śmiertelne niebezpieczeństwo - jak zwykle. Otóż nie tylko mieszkańcy Provincetown, lecz wszyscy ludzie na całym szerokim świecie to stworzenia delikatne, mieszkające pod dachem. Zatem jedynym sposobem, by opowiedzieć o nich uczciwie, nie zmieniając pierwotnego pomysłu, jest poprowadzenie kilku przeplatających się opowieści o bostończykach i mieszkańcach pustkowia. Przy czym Toby będzie podkreślał tylko niektóre aspekty ich życia.

Mieszkańców. I - albo: ale - jeżeli przeniesie ich ceglane domy z Arizony do Meksyku, będzie mógł użyć w poemacie takiego wyrażenia jak „holi, holi, huqui, huqui”, które dla Majów oznaczało odgłos kukurydzy miazdzonej na żarnach metate, a które pocieszyłyby go po stracie

takiego słowa, jak „Anasazi”, które poznał niedawno dzięki

„Boston Globe”. Kiedyś, za rok czy dwa, zastosuje też w jakimś wierszu wyrażenie „rini, rini, manju, manju”, które w hindi oznacza odgłos, jaki wydaje osł wozu ciągniętego przez woły.

W ten sposób Maytree dodawał różne zabawne elementy do poznawanego przez siebie świata. O ileż wspanialej byłoby uzdrawiać ludzi i zapobiegać chorobom, karmić i uczyć dzieci, wpajać im pewne idee albo podarować światu odporne na infekcje gatunki zwierząt i roślin! Ale przeznaczeniem Toby’ego była chyba poezja, a długi poemat przeznaczoną jej formą, jak kiedyś dla Edwina Arlingtona Robinsona. Kwartalniki i inne pisma literackie, podobnie jak niektóre antologie poetyckie, zamieszczały krótkie liryki Toby’ego, który obiema rękami podpisałby się pod stwierdzeniem Robinsona, że antologie przechowują wiersze, kisząc ich trupy. Ciągłe pomijając prawdziwe, obszerne dzieło tego autora, którego przez to nie mogli poznać także jego ewentualni czytelnicy, wydawcy bez końca przedrukowywali Richarda Cory’ego. A Cory nie wytrzymał i w końcu wpakował sobie kulę w łeb - i nie ma się czemu dziwić.

Jako jedenastolatek Petie zaczął wędkować na plaży; łowił tasergale, a jesienią okonie na przynętę. Pewnego razu uwolnił kormorana, o którego skrzydło zaczepił i który podczas wyjmowania haczyka dziobnął chłopca w szyję. Matka Petie’ego karmiła jego licznych kolegów okrętowymi sucharami i miodem. W święto

Halloween przewracali wygodki. Petie spotykał się ze swoimi kumplami co wieczór.

Łowił ośmiornice przy świetle latarki i opierał się o pale na molo. Miał starą łódź

płaskodenną i często się w niej bawił, na wodzie lub na lądzie.

Lubił ludzi, ale nie dziewczęta, które wydawały mu się mniej interesujące i bardziej hałaśliwe niż żaby.

Dziewczynki nic nie umiały - snuły się tylko bez sensu stadkami i grały w kamyki, w dodatku na siedząco, chociaż w tej grze trzeba też odbijać piłeczkę o ziemię.

Poza tym dziewczynki nie zdradzały żadnych większych ambicji oprócz jednej -

osiągnąć jak najszybciej wiek, w którym będą już mogły się malować. Petie miał zbiór kamyków, które szanował bardziej, niż szanował dziewczynki. Mimo to z daleka, z bardzo daleka, obserwował jedną dziewczynę z liceum.

Zimą przy bezwietrznej pogodzie jezioro Pilgrim zamarzało, a gdy zamarzło i nie padał śnieg, wszyscy jeździli na łyżwach. Pewnego wieczoru Lou i Maytree poszli pojeździć ramię w ramię na czarnym lodzie w niepogodę, niemal w zawieruchę. Jezioro leżało między wydmami i autostradą. Inni mieszkańcy miasta naznosili chrustu na ognisko, z którego iskry strzelały aż do gwiazd. Lou i Maytree grzali się więc przy ogniu na oblodzonym hamaku z trawy preriowej i patrzyli, jak Petie bawi się na łyżwach z kolegami. W pewnej chwili Lou zobaczyła kilku starszych chłopców skaczących na łyżwach przez beczki na drugim brzegu jeziora. Widziała, jak Petie się do nich przyłącza. Nie był wysoki, lecz silny. Kiedy przeskoczył jedną beczkę i odjechał, chłopcy dołożyli do niej drugą, a ponieważ Petie przeskoczył je obie, dołożyli do nich jeszcze trzecią. Petie i tym razem spisał się znakomicie.

Zanim chłopcy dali za wygraną, każdy z nich rozłożył się jak długi przynajmniej dwa razy.

Kiedy się przewracali, sunęli dalej po lodzie na plecach i zatrzymywali się dopiero u stóp wydmy. Lou знаła tych chłopców z widzenia, bo Maytree uczył ich grać w futbol.

Odwróciła się do Maytree'ego i zobaczyła, że rozjarzone ogniem źrenice rozszerzają mu się pod wpływem jej spojrzenia. Wpuszczał ją do swojej duszy, jak zawsze, i chciał ją w sobie zatrzymać. Bił od niego blask; Lou zdjęła mitenkę, by ogrzać dłonią jego nagi policzek.

Od trzech dni wiejący z zachodu wiatr miał prędkość trzydziestu węzłów. Maytree objął Lou, a ona przysunęła się ku niemu, żeby dobrze go słyszeć w zawierusze. Przechyliła głowę i poczuła, jak Toby porusza szczęką, a potem całuje ją w czoło.

„...choć nic nie mówię o twych włosach, ustach, oczach - jednak twarz twoja, którą przechowuję w duszy, brzmienie twego głosu, które trwa w moim mózgu, dni wrzeźnia, świtające w moich snach, nadają kształt i barwę moim słowom, zdaniom, o czymkolwiek mówię, cokolwiek wypowiadam”.

Przycisnął ją mocniej do siebie, by wyszeptać jej do ucha fragment tego wiersza, i Lou dotknęła czołem jego czoła. Wydało jej się głupie, że nie można objąć się mózgami - chociaż wolała, by jednak było tak, jak jest.

Wrócili do domu pieszo. Tęskniła za życiem, które zaczęła prowadzić, za życiem ogromnym niczym życie chmur. Z całych sił, jak przez ostatnie trzy dni, opierała się podmuchom wiatru. Płaszcz ciągnął ją do tyłu, a przez wełniane spodnie przenikał chłód.

Nagle, kiedy jeszcze byli na otwartej przestrzeni, wiatr ustał.

Czyżby ktoś zakręcił mu zawór? Lou szła niepewnym krokiem i zachwiała się, ale Maytree ją podtrzymał. Palily ją uszy, a cisza napęłniała strachem. Wokół rozciągała się pustka i Lou odniosła wrażenie, że idący obok niej Maytree nie żyje. Popatrzyli na siebie.

- Przez chwilę wydawało mi się, że straciłem przytomność - powiedział chrapliwym głosem Toby.

Niedawno przekroczył czterdziestkę i miał szczerłość wypisaną na twarzy. Chyba jeszcze się nie zorientował, że jego życie to wiatr.

Następnego ranka, kiedy pod ciężarem głowy Maytree'ego zdrętwiała jej ręka, powiedziała mu (a w takich sytuacjach stawała się gadatliwa), że kiedy jej matka wyjechała do Nowego Jorku, ona, Lou, zapytała ją, jak mogła porzucić Provincetown.

- Co ci się bardziej podoba w Nowym Jorku?

- Uśmiejesz się - odpowiedziała jej matka.

- Nie.

- No dobrze - światło.

Lou roześmiała się. Ona też uwielbiała srebrzyste światło w kanionach Nowego Jorku.

A gdzie podziewał się jej ojciec? Tego nie wiedział nikt. Pewnego wieczoru w Marblehead, gdy była już wysoką dwunastoletnią dziewczynką i spędzała całe dni z nosem w książkach, matka poprosiła ją, żeby nakryła stół dla dwóch osób, bo ojciec często nie przychodził na obiad. Lou zasiadła więc z matką do schłodzonego consomme madrilene, pieczonych kartofli i jagnięciny, a za oknami jadalni szarzał port. Na morzu unosiło się czerwone jajo: chmura, w której odbijało się schowane już za horyzontem słońce. Matka straciła swój dodający jej wiele uroku spokój, ukryła twarz w dłoniach i wyszła. Lou zjadła obiad w milczeniu i przyglądała się zimnemu morzu. Następnego dnia ojciec nie pojawił się na śniadaniu.

Rankiem w gimnazjum jej przyjaciółka Phoebe powiedziała („Nie wiedziałaś?”), że ojciec Lou wyjechał z miasta z jej imienniczką, ciotką Lou, rodzoną siostrą matki. O swoim wysokim tacie Lou zachowała jednak kilka drobnych wspomnień i jedno ważne. Kochał ją; ona jego też. Lubiła stawać za krzesłem i wachać ojcowskie włosy. Nigdy więcej nie widziała ojca i nie miała od niego żadnych wieści. Ktoś kiedyś powiedział matce, że tata ożenił się z ciotką Lou i wyjechał na lato do Rough and Ready w Kalifornii - i na tę wiadomość twarz jej matki stężała już na zawsze. Nigdy potem nie mówiła o ojcu. Lou zrozumiała, że mama przechowuje w pamięci wszystkie wady i święstwa swojego męża, ale nie wiedziała jeszcze, że jedynym celem jej życia staną się pielęgnowanie urazy i wyrównywanie rachunków. Lou była już na studiach, kiedy jej matka przeniosła się do West Village i podarowała córce dom nad zatoką Cape Cod.

Czasami Lou przeglądała stare albumy, potwierdzając swoją tezę, że nic tak nie fascynuje kobiety, jak chłopięce lata ukochanego mężczyzny. Znalazła na przykład zdjęcie małego Maytree'ego w czapce i krótkich spodenkach na nabrzeżu; wyglądał jak karzełek, bo sfotografował go jego zezowaty ojciec. Na kolejnych odbitkach czarny cień czapki Maytree'ego zastaniał mu prawie całą twarz. Oto Toby klęczy na plaży, jakby w bloku startowym, pomiędzy swoją matką o gęstych włosach a babcią, wyraźnie będącą już jedną nogą w grobie, na ostrym od soli wietrze z dawnych lat. Lou zauważyła w chłopcu niepokój, tak jakby wypatrywał na pełnym morzu mężczyzny, którym miał się stać w przyszłości.

Ale nie, to raczej ona wypatrywała w tym dziecku mężczyzny, a że nie mogła go znaleźć, Toby wydawał się jej zagubiony w ogłuszającym wietrze. Można było sądzić, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu ten chłopczyk jej potrzebuje, sam nic o tym nie wiedząc.

Ale nie potrzebował, jeszcze nie wtedy. „A może nawet nigdy?” - zastanawiała się dużo później Lou.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Była zima. Gapie na rogu oblodzonej ulicy rozstąpili się przed Lou, powtarzając:

- Wszystko będzie w porządku, nic mu się nie stało.

Dopiero wtedy Lou zobaczyła, że Maytree trzyma na rękach Petie'ego, którego nogi zwisały bezwładnie.

Lou dojrzała przechyloną na bok głowę męża i kożuszek jego kurtki lotniczej. Toby przesunął podbródkiem tam i z powrotem po czole Petie'ego.

- To tylko zraniona stopa - odezwał się ktoś.

Ale nikt nie wprowadzi w błąd matki: obie nogi złamane, podobnie jak chyba miednica i kręgosłup; prawdopodobnie porażenie czterokończynowe. Petie trzymał się za prawą nogę. Jego oczy zapadły się pod kość czołową, przypominającą dach chatki na wydmach, tak jak oczy Maytree'ego. Blade oczy ojca wyglądały niczym światełka w jaskini, a oczy syna były jaskiniami. Kiedy Petie zobaczył Lou, uśmiechnął się i odwrócił głowę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Lou, a Maytree otarł się policzkiem o czoło Petie'ego.

Lou wyciągnęła do niego ręce i zobaczyła, że Maytree, podając jej syna, podtrzymuje go pod kolanami.

Petie szarpnął się i jęknął „Ojej”. Nie należało go ruszać. Poczwała chłód jego marynarskiej kurtki i zrozumiała, że nie będzie płakał.

Lou pogłaskała syna i poszukała wzrokiem oczu

Maytree'ego, który spojrzał na ulicę i powiedział, że

Petie'ego zbadał już członek hinduskiego bractwa Zevar, który uznał, że doszło do zwyczajnego złamania, i pojechał po miejscowego lekarza, doktora New.

Jak matka może pozwolić swojemu dziecku jeździć na rowerze? Petie wtulił się w zgięte w łokciu ramię

Maytree'ego, osłonięte rękawem baraniego kozuska.

Zapewne był w szoku, bo podniósł głowę i pomachał do swoich kolegów.

- Gdzie jest ten kierowca? - Maytree przygryzł wargę, a Lou wiedziała, że Toby nie będzie publicznie kłał.

Chłopcy urządzili sobie wyścig rowerowy. Zmiażdżony rower Petie'ego ktoś odciągnął tymczasem na pobocze. Petie często bawił się w kandydata na gubernatora prowadzącego kampanię wyborczą i tak było również w tym wypadku. Wjechał na skrzyżowanie dumny i błady, przybrał uczciwy wyraz twarzy, krzyczał, żartował i ścisnął

dłonie przechodniów.

W tym mieście o wąskich uliczkach mieszkańcy chętniej wybierali jako środek transportu rower niż samochód. W oddali na srebrzystej drodze pojawiło się kilku mężczyzn w czapkach z opuszczonymi nausznikami. Między dwoma rowerzystami szedł piechotą człowiek, który przyjechał tutaj z głębi lądu. Lou go nie znała, co oznaczało, że najprawdopodobniej nie znał go nikt z miejscowych. Był wyższy od rowerzystów, miał

piłśniowy kapelusz z szerokim rondem i dwurzędowy płaszcz sięgający cholewek butów na płaskim obcasie, i wyglądał trochę jak kamienicznik z niemych filmów, który mówi do obwieszonych dziećmi wdów wojennych: „Musicie zapłacić czynsz!”.

Natomiast doktor New podjechał fordem i skinął głową Maytree'emu, a ten pochylił

się z Petie'em na rękach - „Siuup!” - i ułożył syna na tylnym siedzeniu. Lou usiadła z przodu i opuściła szybę. Kierowca samochodu, który potrącił Petie'ego, podszedł nieco bliżej. Oparł

się o słup telefoniczny i skrzyżował ręce na piersi. Liczni świadkowie zdążyli już powiedzieć Lou - i wszystkim - że samochód wpadł na rowerzystę i zepchnął go z drogi.

Mężczyzna w płaszczu uniósł wysoko ramiona i podniósł wzrok, jakby wzdychał. Kiedy ford odjeżdżał do szpitala, Lou zauważyła, że nieznajomy spogląda bez wyrazu na Maytree'ego, który odezwał się ściszym głosem:

- Dlaczego, do ciężkiej cholery...

Gapie podeszli bliżej, żeby usłyszeć, co mówi. Zimą na wybrzeżu zwykle niewiele się działo.

- To chyba nie była wina tego faceta - powiedziała Lou, czekając w szpitalu na wiadomości o stanie Petie'ego. Jak by się czuła, gdyby mieli samochód, a ona siedziałaby za kierownicą i zrobiłaby krzywdę

Jakiemuś dzieciakowi? Oczami wyobraźni widziała

Petie'ego i inne miejscowe dzieci koziółkujące nad kierownicami rowerów w całym mieście, wszędzie, gdzie tylko jeździłaby swoim wyimaginowanym samochodem. Uwaga, nisko latające dzieci. Dzieci stanowią niebezpieczeństwo na drodze. Biedny facet. Wszyscy jesteśmy biedni.

Ale Petie ma mocne kości, więc jutro Lou i Maytree zataszczą swoje żelazne łóżko po schodach do sutereny wychodzącej na plażę. Petie będzie wracał tam do zdrowia, mając do dyspozycji łazienkę i kuchnię, a oni będą mogli go obserwować i usłyszeć wołanie, by w razie czego pospieszyć z pomocą. Poza tym chłopak będzie mógł wyglądać przez okno i patrzeć, jak zmieniają się dzień, morze i gwiazdy.

Tego wieczoru Lou przyglądała się, jak Maytree nalewa sobie brandy do szklanki.

Wciąż miał na sobie granatowy sweter i ogrodniczki. U Petie'ego stwierdzono złamanie nogi.

Czy Lou też chce brandy? Potrząsnęła przecząco głową, siedząc przy zielonym stole kuchennym.

Więc on pije brandy? Tę, którą dostał ode mnie na dziesiątą rocznicę ślubu cztery lata temu i które dotąd popijaliśmy tylko rankiem w Boże Narodzenie?

Kiedy Petie się nie ruszał, wszystko było w porządku. Gips okazał się ciężki i drapał

go w nogę. Tej pierwszej nocy, ilekroć zapadał w drzemkę, leżąc w łóżku pod niskim sklepieniem sutereny, znów koziółkował nad kierownicą roweru i spadał na ulicę. To dziwne

- jego koledzy zazwyczaj łamali sobie tylko obojczyki. Dobiegały go podniesione głosy z kuchni, a raz

Petie usłyszał swoje imię. Potem weszła mama, pochylając się w progu. Ukoiła go i zaśpiewała 7aice Me Out to the Ballgame - było to naprawdę wzruszające, chociaż zarazem zabawne. Lubił tę piosenkę, kiedy był malutki. Jego rodzice zawsze wydawali mu się w porządku. Po kolejnej przerwie na sen, w którym wylatywał w powietrze z siodełka nad kierownicą, do pokoju wszedł ojciec z nastroszonymi włosami, przysiadł ostrożnie na łóżku i podał mu brandy w kwiciastej filiżance.

- Brandy dla wszystkich? - spytała jego matka.

- To mu powinno pomóc - odpowiedział Maytree.

I rzeczywiście, po chwili mu pomogło.

- Może ten człowiek nie jest wszystkiemu winien - powiedziała znów Lou, kiedy wrócili do domu.

Maytree bez złości wyrzucił swoje krzesło i zaczął kłąć jak najęty, zasadniczo dając żonie do zrozumienia niewybrednymi słowami, że jego zdaniem, w przeciwieństwie do tej opinii i niejako dla zrównoważenia jej, „ten człowiek” jest winien bezwzględnie. A serię obelg, którymi go obrzucał, zakończył określeniem

„syn okrętowego kuka”.

Potem Toby usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Lou swoim zwyczajem sprawdziła, czy nie wsadza łokci w rozlane na stole płyny. Przetarł oczy. W czasie ostatnich dwóch czy trzech tygodni atmosfera ze złej zmieniła się w jeszcze gorszą. Lou nie wiedziała dokładnie, co się dzieje, ale coś było nie tak. Maytree golił się starannie albo chodził nieogolony, często wędrował na wydmy, bywał senny i nerwowy, ale w towarzystwie Lou owijał się w swoje nieszczęście niczym w togę i wtedy skrępowanie wzbierało między nimi jak woda w żłobiącej swoje koryto rzece. Zasiadali do wędzonej makreli i rzepy i zarzucali Petie'ego różnymi pytaniami. Było tak przez kilka ostatnich tygodni. Jedzenie rosło im w ustach. Lou całą swoją porcję rzepy i ryby wyrzucała zwykle do śmieci, po czym zmywała naczynia. Starła się unikać Toby'ego i być sama.

Kilka razy w ciągu tych tygodni zdarzyło się, że

Maytree zagadywał ją o świcie:

- Co będziesz dzisiaj robić?

Jego kiepskie aktorstwo było gorsze niż milczenie.

Ożywiali się tylko, kiedy odwiedzali ich przyjaciele: podczas posiłku Maytree opowiadał im dowcipy zaczynające się od słów: „Puk, puk. Kto tam?”.

W krótkich okresach morskiej ciszy w poprzednich latach małżeństwa - ale nie teraz -

gdy za oknem wisały nieruchomo plamy gwiazd, a morze wstrząsało plażą, budzili się ze snu jednocześnie, jakby zaczynało się trzęsienie ziemi. Odwracali się i turlali po łóżku. Spotykali się, szukali i zderzali ze sobą, a potem rozmawiali, okryci kołdrą, trzymając się w ramionach, za boki lub za ręce. Lou poszukiwała w ciemności oczu męża i przyglądała mu się oczami pełnymi tęsknoty i wiedzy, a za chwilę jeszcze tęskniej - wzrokiem pełnym miłości. Ale ostatniego roku rzadko się to zdarzało.

Siedzący przy zielonym stole kuchennym Maytree przygryzał wargi, co oznaczało, że chce coś powiedzieć. Przygryzał wargi, przygryzał i wreszcie wygryzał na nich imię Pete'a, co oznaczało długą przemowę, której on wolałby uniknąć, a ona nie słyszeć. Podniosła głowę.

Podmuch wiatru wstrząsnął szybami w oknach, a odbite w nich lampy zatańczyły. Lou wstała,

żeby pozmywać.

Maytree zaczął płakać. Wstał i przygarnął ją, jak gdyby coś sobie przypomniał. Łzy spływały mu po pobrużdżonej twarzy i skapywały na ziemię. Lou przytuliła go. To Maytree płacze? Owszem, pochlipał trochę po śmierci swojej matki. Oboje nie znosili egzaltacji.

- Zawsze będę cię kochał. Uwierz mi.

Co to ma znaczyć? Rozluźniła uścisk i cofnęła się.

Szok przyszedł równie szybko jak zrozumienie, o co mu chodziło, świadomość, że teraz może nastąpić tylko jedno, i krew zastygła jej w żyłach. Jej Maytree by tego nie zrobił, nie. W życiu, nie jej Maytree, bo przecież ją kocha - czemu przed chwilą zaprzeczył.

Maytree, ale z kim? Czekwała na odpowiedź, rozprostowując ramiona, gotowa do walki. Jeżeli nie jest to wstęp do najwspanialszego triumfu w jego życiu, ona zwycięży.

Toby przybrał nieco spokojniejszy wyraz twarzy i cofał się, dopóki nie zatrzymała go stara kuchenka. Dlaczego nie mógł rozpocząć tej rozmowy, kiedy oboje wyglądali przez okno albo kiedy zajmowali się

Petie'em i jego złamaną nogą? Znała go czy nie, tego pachychilika z zażawioną twarzą? Toby wsunął ręce w kieszenie spodni i zaraz je wyciągnął, skrzyżował ramiona, a w końcu rozłożył je i stanął przed nią jak

Przed plutonem egzekucyjnym.

- Przenoszę się do Maine.

Przenosi się do Maine.

- Kiedy?

- Jutro. Petie'emu będzie dobrze tylko z tobą. Przepraszam.

- Gdzie do Maine?

- Na wyspę w zatoce Casco. Dlaczego pytasz?

- Bo przywykłam, że... Z przyzwyczajenia.

Pomyślała, że powinna usiąść.

- A kiedy wrócisz?

Zauważyła, że Maytree oddycha głęboko, a ponieważ jest przyzwoitym człowiekiem, niedostyśzalnie wypuszcza powietrze z płuc.

Nie chciała pytać dlaczego. Wyspa w stanie Maine to idealne miejsce dla poety-budowlańca. Kiedy on poznał tę wyspę, jeżeli w ogóle kiedykolwiek ją widział?

Ubiegłego lata, gdy przez trzy tygodnie pływał jako członek załogi szkunera „Joyce Shatley” Soonera Roya.

A kto tam z nim jeszcze był?

- Nigdy nie kochałem... Nikogo...

„Jedź, ty idioto” - pomyślała tylko, a jego nagle zmroziło. Siedziała przy stole z przechyloną na bok głową niczym drozd nasłuchujący szmeru dżdżownic pod ziemią.

Maytree stał i czekał, jak gdyby sprawiedliwie za służył, by w tym momencie odczuwać nieco większe zakłopotanie niż zwykle.

Zmienił się jej cały znajomy świat, jakby dopiero teraz dość już się napatrzyła na czerwone usta Toby'ego, wargi, które nieustannie przygryzał, głębokie bruzdy wokół jego ust, dołeczki tworzące mu się na policzkach, kiedy się uśmiechał, i na (bardzo piękną!) małą, owalną głowę. Mój. Czas minął. Dlaczego zwlekał tak długo?

Rewizja jej zdania o Maytree'em i o każdym jego uczynku oraz słowie z kilku ostatnich lat może poczekać. Lou mogła nawet spędzić resztę życia na wędrowaniu tam i z powrotem po utraconym dzisiaj terytorium. Jak ona i Petie będą dalej żyć? Z alimentów, jak wszyscy. Prawdę mówiąc, nie kupowała prawie nic, tylko żywność i paliwo. Maytree najwyraźniej zamierzał zostawić im dom. Lou nie poleci do matki do Nowego Jorku, chyba że po pieniądze. W zaistniałej sytuacji nie miała prawa głosu.

Ale miała syna ze złamaną nogą.

Maytree nie poruszył się. Czyżby? Stał smutny jak klaun. Daj mu nie haczyk, lecz wędkę. Potarł twarz, obmacał kieszenie w poszukiwaniu swoich lucky strike'ów i wyszedł.

Jej kuchnia: bielone wapnem ściany, na których wieszali zwariowane malowidła swoich przyjaciół, uschłe miesięcznice, których owalne płatki szeleściły w wazonie, pudło z drewnem na podpałkę, krzesła nie do pary, żeliwna kuchenka gazowa, w której ciepłym piecu można było palić także drewnem, bakelitowe radio, czerwona komódka, niebieski dzbanek do herbaty, żelazny czajnik, butelka jabłkowej brandy na półce z tomikami poezji, rzeźba z muszli, figury szachowe w bawełnianym woreczku, chlebak z obrazkiem namalowanym przy pomocy szablonu i jej fartuch na porcelanowym wieszaczku ściennym.

Na górze Petie spał albo był pijany, jeżeli wypił całą filiżankę brandy.

Jutro? Tak po prostu? Widocznie Toby przygotował

Się do wyjazdu w tajemnicy. Kiedy podjął decyzję, sporządził spis rzeczy, które chciał

zabrać ze sobą, przemyślał wszystko raz jeszcze i spakował się, skoro w tej ostatniej chwili, w dniu, kiedy Petie złamał nogę, był już gotowy do drogi?

Jak będą żyli, on i Deary? Opierając się łokciami o zielony stół, Lou wspierała głowę na przemian to na jednej, to na drugiej pięści. Nie ma się czemu dziwić.

Takie rzeczy zdarzają się na całym świecie każdego dnia.

Maytree daleko zaszedł czarną plażą, a jego rozgorączkowane oczy nieco ochłonęły.

Niewidoczne chmury zasłaniały niebo i stratosferę, w której giną wszystkie ludzkie dźwięki.

Obok niego morze odpływało na wschód niczym potwór w obręzionej koronką sukni.

Jak człowiek może się zmienić! Wśród wszystkich uderzeń, którymi częstuje nas życie, widzimy jedynie loby albo - kiedy jest już za późno, smecze, wymierzone z góry prosto w nasze głowy. Tobi nie chciał się tak wyrazić o swojej miłości do Lou! To okrutne i straszne powiedzieć coś takiego komuś, od kogo się odchodzi, nawet jeśli ten ktoś podejrzewał, co się święci. Odpływ zapachniał niczym zzieleniała, zaśniedziała jednocentówka.

Zanim poznał Lou, Maytree przeżył parę niepokojów swojego krzykliwego, niesforenego serca. Boczne uliczki i pogrążone w półmroku knajpy, ciągle zmieniające właścicieli. Pewnego razu na Zachodzie jedna barczysta dziewczyna powiedziała mu: „Nigdy cię nie kochałam, tylko tak mi się wydawało”. Poili właśnie konie w rowie irygacyjnym. Jakie to było okrutne z jej strony, że próbowała uspokoić swoje, zakręcone zalotnie jak loczek, sumienie, usiłując im odebrać wspólną przeszłość! A on w kuchni zwrócił się takimi samymi słowami do Lou. Przyszły mu do głowy z łatwością, jak to krzywdzące słowa.

Słyszał morze, ale go nie widział. W oddali mrugało światełko latarni Wood End Light. „Możecie na mnie liczyć” - mówiło sternikom, jemu jednak nie mówiło nic.

Jak to nie jego wina?! Przecież ten samochód po prostu uderzył z tyłu w rower Petie'ego. Dzięki Bogu, że wyjeżdża. Czas przeszły. Mógłby może jeszcze trochę tu zostać, gdyby nie czuł, że zimna krew Lou odbiera mu odwagę. Jakże on w niej podziwiał te głębokie pokłady spokoju! Zdawała się nim żywić, a przy tym powiększać jego złoża z roku na rok.

Teraz jednak

Maytree gardził spokojem. Człowiek próbuje zrozumieć coraz więcej i dochodzi w końcu do litości, której Tobi nie potrafiłby znieść. Kobiece przebaczenie - podobnie jak jego siostra w płaczu, litość - osłabia siłę męskich ramion i pleców. Litość nie staje do walki.

Kto mógłby się jej oprzeć? Joseph Conrad uważał, że litość to rodzaj pogardy.

Jak to nie jego wina? Więc niech wybaczy Tobi'emu, że ją zostawił dla Deary. Minał

płonący śmietnik, a Reef

Thayer skinął mu na powitanie głową.

- Ciemno dzisiaj.

Tamtego popołudnia, trzymając Petie'ego na rękach i widząc jego nieskazitelną cerę, Maytree zapragnął zabrać go do Maine i pozwolić, by Deary mu matkowała, na co ona zresztą miała ogromną ochotę. Odchodząc, skazywał Petie'ego na to, że matka go rozpuści. I na jej mutyzm.

Dawno temu, pewnego letniego dnia, gdy Petie był jeszcze malutki, bawił się na brzegu podczas odpływu.

Maytree patrzył, jak Lou pod pływa do barierki i staje na dnie, cała mokra. W morzu w okolicach Provincetown żyją dwa rodzaje parzących meduz, a także aretuzy i rekiny.

Wydawało się, że Lou stoi na brzegu, na skraju skóry morza, jakby w olśniewającym kamuflażu. Kiedy weszła do domu, zapytał ją: „Jaka woda?”, a słona Lou pocałowała go w

odpowiedzi. Petie, ten stary uwodziciel, wyciągnął swoje chłodne, galaretowate ramionka, żeby ojciec wziął go na ręce. Maytree nie lubił dzieci, ale w miarę jak chłopiec dorastał, kochał go coraz bardziej. Oczywiście, musi jej oddać wszystko, nie wyłączając Petie'ego. Ale za jaką cenę?

Chyba naprawdę jest zakochany.

Wodorosty oplatające puste butelki po piwie tworzyły kolejną barierę, na której załamywały się fale.

Maytree widział granicę przyływu - kawałki muszli i obierki rzepy, papiery, stojaki do suszenia ryb, chrząstki rekinów, skrzek ostryg. Sznur porzuconych rybek na przynętę.

Przeżarte solą kawałki drewna, które po podpaleniu zamieniłyby się w niebieskie i zielone flary. Wydawało mu się, że świeże, czarne chmury nurkują nisko, tuż nad jego głową.

Nawet muł na płyciźnie był matowy. Ostatniej wiosny utknęło w nim dwóch mężczyzn zbierających ostrygi podczas odpływu w Drummer Cove. Im bardziej się szamotali, tym głębiej grzęźli. Był kwiecień, a oni pracowali niedaleko domków letniskowych - lecz nikt nie słyszał ich krzyków. W Drummer Cove w okolicy Blackfish Creek fala przyływu osiągała czasem wysokość trzech metrów, kiedy więc przyszedł przyływ, mężczyźni utonęli.

Później, gdy wyszło słońce, morze się trochę cofnęło, odsłaniając ich zgięte wpół i zanurzone po pas w błocie ciała. Komendant portu podpłynął łódką do martwych poławiaczy ostryg, umocował im łańcuchy pod pachami i wyciągnął zwłoki z mulistej pułapki.

Maytree na czarnej plaży nadepnął na mezogleę - jakby stwardniały żel pokrywający meduzę, z której wyciekła bezkrwawa kolonia komórek. Poczuł, że stworzenie ugina się pod ciężarem jego ciała niczym kawał surowego mięsa, i poślizgnął się.

Oczywiście, myślał, że będzie kochał Lou i zostanie przy niej na zawsze. I wierzył, że nie wystarczy mu na to jednego życia. (Po co zadawał sobie trud ćwiczenia pamięci, skoro tylko przysparzała mu mąk?)

Oczywiście, średnia długość ludzkiego życia na przestrzeni dziejów wynosiła osiemnaście lat, kiedyś więc jego trwające czternaście lat małżeństwo z Lou stanowiłoby pewnie zaszczytny rekord świata. Rozumując w tych kategoriach, przeżył jakby kilka związków w jednym. Miał czterdzieści cztery lata. I jednak nigdy tak naprawdę nie kochał

Lou. Teraz to rozumiał. Kochał jedynie obraz samego siebie w jej oczach. Milczenie Lou było jak kartka papieru, na którym pisał. Zawsze myślała i czuła dokładnie to, czego sobie życzył.

Uwielbiała go uszczęśliwiać. Decydował sam o sobie czy nie?

Kiedy przebywał z Deary, widział, że pożądanie napędza jej stracha i pozbawia sił.

Musi jej jakoś ulżyć.

To absurdalne, ale jego zadaniem w zeszłym tygodniu było nie zakłócać spokoju Deary. A dzisiaj ten palant w płaszczu w niebieskie cętki złamał Petie'emu nogę.

Gdyby w wieku piętnastu lat wiedział, że kobiety całkowicie pokolorują jego życie, że poświęci

im swoje plany, status społeczny i ambicje, że odda im wszystko, co zdobył - i gdyby wiedział, że kobiece szczęście umie pływać albo zatapiać jego własne, mniej więcej co dziesięć lat, to cóż: chyba wyskoczyłby za burtę.

Jeszcze zanim poznał w Wyoming tamtą dziewczynę z zalotnym loczkiem. Dzisiaj nie było czasu, by mógł podzielić się swoją żalostną wiedzą z Petie'em, którego zostawiał Lou pod naciskiem kobiecego uporu w kwestii czysto technicznej. Jakieś niezwykle, wrodzone miłosierdzie nigdy nie pozwala chłopcom przewidzieć, co będą w stanie zrobić dla jednej kobiety i poświęcić dla drugiej. Trudno, mniejsza z tym.

Czy będzie tak wędrował przez całą noc? Śmieci i odpadki zajmowały coraz większą część plaży. Przypomniał sobie, że przeczytał gdzieś, że Ian Patterson znalazł kiedyś na plaży podeszwę ludzkiej stopy. Na początku myślał, że to podeszwa buta, ale była to ludzka skóra, pokryta odciskami i pręgami bruzd, przywodzącymi na myśl izobary. Brakowało tylko palców.

A psy pożarły Izebel pod murem Jezreel - pożarły ją całą, zostały tylko dłonie.

Wyczuwał na podniebieniu bruzdy podobne do tych, jakie żłobi w piasku fala przypląwu. Dzięki bezgwiazdnej nocy znów znalazł swoje miejsce. Zaofiarował siebie jako dowód potwierdzający słuszność jego decyzji: czy taki szlachetny człowiek jak on zostawiłby rodzinę, gdyby nie miał ku temu nadzwyczajnego powodu? Maytree nie odchodził od czegoś, ale przeciwnie, raczej ku czemuś zmierzał.

Japończycy powiadają, że najniebezpieczniejszy wiek dla mężczyzny to czterdzieści dwa lata - a Toby przebrnął już przez kolejne dwa. Po co zaprzęgać wolę do walki z miłością?

Miłość jest silniejsza, więc walka właściwie byłaby ustawiona. Siła woli to idea, która podoba się wszystkim, zwłaszcza dzieciom. Czy to nie dzięki sile woli jego dziadek zacisnął kiedyś zęby i przestał pić, Roger Bannister zszedł poniżej czterech minut w biegu na jedną milę, chłopcy powstrzymują się od płaczu, a dorośli mężczyźni potrafią maszerować, śpiąc? Siła woli jest jednak bardzo nikła, a pociąg i pożądanie zawsze będą od niej silniejsze. Toby'ego pociągało czytanie i pisanie poezji. Uwielbiał poezję, bo ją znał. Istniała niewielka szansa, że uwolni się od siebie, jeśli uda mu się schwytać przychodzący znikąd dar i napisać coś dobrego, choć niekoniecznie wielkiego. Nie mógł się do tego zmusić. Roger Bannister też by nie trenował, gdyby nie napędzała go nadzieja ustanowienia nowego rekordu w biegu na jedną milę i uzyskania wyniku poniżej czterech minut. Ale on, Maytree, nie miał więcej siły woli niż jakikolwiek inny przyzwoity człowiek.

Lou pewnie już śpi. I jakoś sobie poradzi. Maytree'ego otaczała samotność bezkresu.

Zaczepił butem o kawałek żyłki wędkarskiej, znalazł haczyk i schował go do kieszeni. Śnieg pojawił się nie wiadomo skąd i musnął jego usta. Płatki pokrywają już wodę i muł.

Największy problem, cholera, polegał na tym, że

Lou była aniołem. A może jednak na tym, że Deary pozostawała niewzruszona. Nie, nie było żadnego problemu (Toby zmarszczył brwi), tylko radość. Nigdy nie myślał, żeby się jeszcze zakochać. Odkąd poznał Lou, szukał wyłącznie jej. Nienawidził krętactwa. Krętactwo splamiło jego miłość i szacunek dla Lou. Tego popołudnia, kiedy siedzieli najpierw w szpitalu z Petie'em, a potem w domu, Deary przewiozła ich rzeczy do Maine jakimś pożyczonym gruchotem. Mieli spotkać się na moście u wylotu przylądka. Najlepiej będzie, jeżeli tam zaraz

pojedzie. Branoc, Lou.

Kiedys nie mógłby uwierzyć, że Deary zrobi coś takiego, ale teraz nie ma wyboru, taka była prawda:

Deary, ten wolny duch, zabroniła mu wstępu do swojego łóżka. Odmówiła mu siebie, ona, Deary posłuszna,

Deary o wielkodusznym i ciepłym sercu. Żadnych figli. W tym kontekście zdrada wydawała mu się uroczą.

Nigdy nie podejrzewał Deary o takie sztuczki. Ona, ta wielokrotnie zamężna albo tylko na pół zamężna Deary, która sypiała pod gołym niebem na plaży?

Ona, która zmieniała chłopaków jak rękawiczki? A czy on, jej prawdziwy, stary przyjaciel nie mógłby być jej chłopakiem?

Pękła pewnego jesienno-go dnia. Wiosłowali i dryfowali po Herring River, i nagle wpadli jakby w słoneczną kałużę. Zauważyli brązową krowę wśród prawoślazów, a później wrócili do chatki. Deary usiadła dwa stopnie niżej i wsparła głowę o jakieś pudło. Wsunęła Toby'emu pod kolano ramię, w którym tworzyły się dołeczki jak na policzku, wcisnęła dłoń w nogawkę jego spodni i pogładziła go po udzie.

- Nie chcesz, żeby Lou się o nas dowiedziała? Ja też nie. Jediną osobą, nie licząc Petie'ego, którą Lou kocha bardziej od ciebie, jestem ja.

- Nie, wcale nie o to mi chodzi. Oczywiście, że nie chcę, żeby Lou się dowiedziała.

Czekał. Nauczył się tego od Lou. W powietrzu unosił się już pieprzowy zapach zimy, gęsty jak morze.

W jaki sposób zakochanie, czyli coś niewątpliwie dobrego, może człowieka wpędzić w kłamstwa niczym w pułapkę? Czy miłość jest owocem, który plami człowiekowi ręce? Mój Boże, jaka ona była odprężona. Przed chwilą całowali się na łóżku. Czuł się jak dziecko, upokorzony i zachwycony - i to w jego wieku - albo jak gdyby zalecał się do Lou, która kiedyś trzymała go na dystans w podobny sposób; ale z jej strony tego się właśnie spodziewał.

- Nigdy nie miałam romansu - przyciągnęła do siebie jego kolano, a on z zadowoleniem powitał w jej głosie nutkę przygnębienia.

- Jak to? Nigdy?

Cofnęła rękę.

- To, że się nagle w tobie zakochałam, nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie będę miała romansu na boku.

- Jak to? Nigdy?

- To decyzja, którą każda kobieta podejmuje wciąż na nowo.

Niebieskie cienie w kształcie półksiężyców zwisały

W oddali jak zastłony z gzymsów wydm i rozdmuchanych przez wiatr zagłębień w piasku. Czy Deary, która kochała i pożądała Toby'ego, grała na perkusji w barach i nie przejmowała się tym, że nosi coraz obszerniejsze sukienki, była dla niego za dobra? Kiedy pękało mu serce na samą myśl, że mógł upaść tak nisko, by zaryzykować i stracić Lou, swoją żonę, z którą połączył się w miłości na zawsze?

- A ten lotnik od Otisa? Rudy Dupeau? - Dupeau spotykał się z Deary, kiedy przyjeżdżał na urlop. -

Przecież z nim mieszkałaś.

Deary wstała z najniższego stopnia schodków, żeby stanąć z Tobym oko w oko.

- Dzięki mnie mógł na jakiś czas zmienić otoczenie. Potrafił przespać całą dobę, trzymając się pod boki. Pieklam mu chleb kukurydziany, gotowałam włoską kapustę z boczkiem i robiłam zapiekanki z małży.

A Rudy skarżył się na swoich przełożonych, pastował buty i znowu kładł się spać.

Maytree miał dosyć sceptyczny wyraz twarzy.

- Całowaliśmy się, naturalnie. To go uspokajało.

Ale Maytree'ego nie. Z jakiego jeszcze powodu przyprowadził ją do chatki na wydmach? Dlaczego z nim poszła? Po co tak się upierać przy drobiazgach?

Przez wszystkie długie lata ich znajomości Deary ani razu go nie okłamała. Spojrzała mu w oczy, przybita. Czego się bali? A może to nie strach, tylko podniecenie? Toby wypił

litry wody, ale nic nie było w stanie przynieść ulgi jego ustom. Deary też oblizwała spierzchnięte wargi. Oboje byli w kiepskim stanie. Ze stopni chatki Toby zobaczył trzy długie jak tyczki miernicze chmury, szarżujące na nich znad morza. Kuter rybacki wypłynął na połów - jego metalowa pawęż połyskiwała w słońcu.

Rozwód był cięższym brzemieniem niż dyskretny romans. Nic dziwnego, że Deary ciągle wychodziła za mąż. Co by to było, gdyby każdy z nas poślubił swoje kolejne kochanki czy kochanków? Właściwie wszystkie kobiety, które Toby znał, prowadziły otwarte domy.

Czy niepokój, który go ogarniał przez cały zeszły miesiąc, gdy łapał się na wyobrażaniu sobie, że pewnego dnia może zdradzić Lou i rozbić ich małżeństwo, które kochał - czy cały ten niepokój poszedł na marne?

Naprawdę nic mu nie dał? Pomyślał, że Deary gloryfikowała swoje rozwody i ponowne zamążpójścia jak

Reevadare, bo rozwody i śluby dodawały im sił. A jego odważna dziewczyna wyznawała wzniosłe ideały, przywiązując mu serce do świata swoimi ciepłymi nogami i ramionami.

Odgarnął jej włosy i głowa Deary zadrżała, a potem nakrył rękami jej rozpalone uszy.

Miała bardzo delikatne uszy, jak Petie, przylegające ściśle do czaszki, i Toby obejmował je z zapamiętaniem.

Czy początkowo myślała, że aby cieszyć się zwykłą, daną od Boga miłością, potrzeba jej tych wszystkich głupstw: małżeństwa, a nawet, niech Bóg ma swojej opiece marynarzy na morzu, ślubu i wesela? Czy naprawdę jest już tak strasznie stara? Skończyła czterdzieści siedem lat, ale nie miała siwych włosów. Urodziła się podczas pierwszej wojny światowej.

Czy trzy lata różnicy mogą oznaczać dwa różne światy? Kilka lat po wojnie, kiedy, jak twierdzili jedni historycy, w Europie zatarły się różnice klasowe, a, jak dodawali drudzy, arystokracja porzuciła swoją wiarę i obowiązki, Deary miała sześć lat - nie był to więc chyba jeszcze wiek, w którym w dziewczynce wykształcają się zachowania seksualne. Nauczyła się czekania na małżeństwo nie wiadomo od kogo i kiedy - albo może nie umiała na nie czekać.

„Moim zdaniem, im bardziej niepozorna panna, tym większa zagadka”. Niech go szlag trafi, jeżeli się znowu ożeni. Jego rodzice nie żyją. A ona będzie musiała przystać na kohabitację, której warunki wcale nie zostały jeszcze uzgodnione.

- Dopóki Lou nie wiedziała, że jesteście kochankami i wyjeżdżamy, nie dbała o to, czy się pobierzemy, czy nie - sprecyzowała Deary, a Maytree w duchu dziękował cyganerii całego świata.

Tamtego dnia, gdy siedział w chatce z Deary, mewy znów poderwały się z plaży i rozproszyły nad wydymami jak popioły. Musiał już iść. Chciał się nad tym wszystkim zastanowić, ale będzie musiał coś zrobić na owej wysuniętej w morze scenie bez ścian, w swoim domu, w miejscu, które ktoś kiedyś nazwał krańcem świata. Gdzie język zamierał mu w ustach. Czy chcę być znowu młody? Oczywiście, bardzo. Wyszedł na ostry jak nóż wiatr razem z Deary, która trzymała go pod rękę.

Było to jesienią. Często przychodziło mu do głowy, nawet w tamtym czasie, że gdyby miał tylko zwykły romans z Deary, trwałby on zapewne najwyżej miesiąc i przyniósł

mniejsze szkody.

Brodził teraz wśród czarnych szuwarów, gdzie plaża zaczynała się zwięzać. Na tle płonących śmieci w oddali rysowała się czyjaś chuda jak szczapa sylwetka. Maytree zauważył

pod nogami ptasie kości. Miał postawiony kołnierz, który jednak tylko trochę osłaniał mu szyję. Jak do tego wszystkiego doszło? Brzydził się swoją rozmową z Lou. Najlepiej będzie, jeżeli wyjedzie natychmiast.

Zamieszkujący Cape Cod Nusetowie nie dysponowali żadnymi materiałami, z których mogliby budować pomniki, więc miejsca, gdzie rozgrywały się różne ważne dla nich wydarzenia, oznaczali, kopiając w nich ceremonialne doły. Dbali o nie i pogłębiali je co roku, żeby każdy, kto obok nich przechodził, mógł sobie przypomnieć zdarzenia, które upamiętniali.

Państwo Maytree i ich znajomi obchodzili wszystkie święta, upijając się, podobnie jak

- trzeba to przyznać - większość ludzi na świecie.

Historia państwa Maytree nie była jednak warta dziury w ziemi. Nusetowie - a także Pametowie i Wampanoagowie - mieli pewną legendę, być może przypominającą historię państwa Maytree, a może nie, w której ich protoplasta, Wieloryb z najgłębszych wód przeszłości, w końcu zamienia się w gwiazdę. Czasami ów boski Wieloryb wychodził zimą na

plażę, by swoim mięsem nakarmić głodujące wioski. Mieszkańcy wrzucali jego kości z powrotem do morza, gdzie obrastały znów mięsem, a Wieloryb nabierał ciała i wracał na brzeg w czasach głodu, kiedy ludzie go potrzebowali,

Potem pojawiła się Ona, czyli Kukurydza - przyszła ze słonecznych ziem, grzechocząc kolbami. Nauczyła ludzi siać, prażyć i mielić, a kiedy Wieloryb wynurzył się raz jeszcze, Kukurydza i on zakochali się w sobie.

Wieloryb, wiedząc, że jego lud nigdy już nie będzie głodować, ponieważ nauczył się prażyć kukurydzę, mógł odejść, uniósł więc Ją na swoim potężnym grzbiecie i nigdy nie powrócił, chociaż często posyłał ludziom na pamiątkę wieloryby wędrownie, zwane też grindwałami. Państwo Maytree, czyli Toby i Lou, wprawdzie nie dokonywali żadnych bohaterских czynów, ale zachowywali się zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami przyzwoitości. Nie zamienili się jednak w gwiazdy, tylko umarli.

Kiedy trzydzieści dziewięć lat później po raz ostatni widziano żywą Lou, wspinała się na stromą wydnię, zgięta wpół, i podpierała dwiema czarnymi laskami. Szła w stronę chatki na wydmach. Na końce lasek założyła gumowe nasadki, by lepiej trzymały się na piasku; spod rąbka czerwonej sukni wystawały jej łydki przypominające rury kanalizacyjne. Lou podpierała się więc dwiema laskami o gumowych nasadkach, a jednocześnie niosła w obu rękach pękate słomiane torby. W tym roku pozwoliła swojemu Pete'owi i Jane Cairo, której umęczone włosy zdążyły już posiwieć, żeby pomogli jej przydzwigać po syrkim piasku zapasy na dwa miesiące - od drogi dla terenówek pod same drzwi chatki na wydmach. Pozwoliła im też uruchomić pompę i nabrać wody ze studni do kilku czterolitrowych dzbanów, które od razu przytargali pod drzwi. W poprzednich latach na ogół

tylko potrząsała przecząco swą dużą siwą głową i nie chciała skorzystać z ich pomocy.

- Ona jest niemożliwa - mówili Pete, Marie i Jane, rozczuleni i przestraszeni zarazem.

Dorosły już syn Lou wyglądał jak masywny pniak.

Z profilu przypominał swojego ojca, ale o spłaszczonej twarzy, jakby przejechał ją walec, choć oczy miał osadzone głęboko pod kością czołową. On, jego żona Marie i Jane Cairo próbowali wyobrazić sobie, jak Lou sama dzwiga pełen wody dzban, mimo że ma już całkiem wytarte chrząstki w kolanach. Jak ona dawała radę nosić wodę - o dwóch laskach, o jednej, czy nawet w ogóle bez laski? Przynajmniej raz w tygodniu jedno z nich wybierało się na wydmy, by sprawdzić, czy Lou jeszcze żyje, a jeśli tak, to żeby choć po kryjomu napełnić dla niej wodą kubły i dzbany i zanieść je do chatki. Stary Cornelius, który sam ciągle mieszkał na wydmach, też czasem do niej zaglądał.

Pewnego ranka Jane Cairo stwierdziła, że Lou Maytree wcale już nie żyje, tylko leży bezwładnie na łóżku, a z boku, w dole brzucha, jest cała sina, niczym świeżo pomalowany statek poniżej linii wodnej. Poza tym przypominała Ingrid Bergman, jak mówili ludzie w czasach, kiedy i Lou, i Ingrid Bergman były jeszcze młode.

Tamtego dnia Jane zauważyła, że Lou uczesała włosy i zaplotła je w warkocze, które owinęła wokół głowy.

To trudna sztuczka, jeśli do dyspozycji jest tylko ręczne lusterko. Lou miała na sobie koszulę nocną z koronkową górą. Ręce skrzyżowała na piersiach, jakby w zamyśleniu. Jane próbowała

zamknąć jej powieki, a w końcu zasłoniła je skorupkami muszli przegrzenców, które wzięła z parapetu. Do nosa Lou wciskały się już muchy mięsne. Owady w kolorze butelkowej zieleni wchodziły też pod muszle w poszukiwaniu jej oczu, a jedna niebieska mucha uwijała się już w kątku ust zmarłej. Skąd się wzięły te muchy? Skąd wiedziały, co się tutaj stało? Jane nie wyczuwała żadnego trupiego zapachu. Lou miała osiemdziesiąt lat -

mogła jeszcze pożyć.

Jane okryła ją narzutą, a jej okulary spadły na szyję Lou. Wypiła dwa litry wody. Przy studni napełniła wszystkie dzbany z chatki. Skąd poza studnią miałyby tu wziąć wodę?

Przecież musi teraz umyć ciało. Potem zajmie się koszulą nocną i pościelą, a Pete zawlecze poplamiony materac na wysypisko śmieci.

Członkowie Kościoła nonkonformistycznego z Cape

Cod, w tym państwo Maytree, powierzali swoje pełne kawałków spalonych kości prochy (które wyobrażali sobie raczej jako puchaty popiół z kuchennego pieca) pilotowi dwupłatowca, Loopy'emu Devedze, mieszkającemu w pobliżu lotniska. Za odpowiednie wynagrodzenie Loopy rozsypywał prochy nad morzem niczym siewca.

Kilkanaście lat później, gdy zestarzała się już nawet

Jane Cairo, prasa doniosła, że Loopy Devega trzyma na półkach z książkami około stu siedemdziesięciu trzykilogramowych puszek krematoryjnych. Powiedział, że kiedy po raz pierwszy próbował rozsypać prochy, a także za drugim razem, „wiatr zdmuchnął je wszystkie z powrotem” w jego stronę. Gazeta nie poinformowała, co się stało z prochami. Państwo Maytree bardzo lubili książki, a ostatecznie wszystko i tak kiedyś spłynie do morza.

Kiedy jej mąż wrócił ze spaceru po plaży, na który wybrał się zaraz po tym jak oświadczył, że odchodzi, położył się do ich wspólnego łóżka, a Lou poczuła bijący od niego chłód. Odezwał się. Poczowała, że materac ugina się pod jego łokciem i usłyszała, jak donośny głos Toby'ego zwraca się w ciemności do jej pleców.

Czy nie ma innego miejsca na całym świecie, gdzie

Toby mógłby się położyć spać? W zasadzie nie chciała słuchać, co jej powie.

Na Boga, co mogła na to wszystko poradzić? Ich związek był udany. A jeśli jego owocem była miłość - i Petie - Lou mogła kochać dalej, gdyby miała ochotę, choć skończyła już czterdzieści jeden lat i więcej kochać nie chciała. Petie powiedział im kiedyś - a nawet odegrał przed nimi tę scenę - że kiedy rybacy wciągają na pokład rekina, rozpruwają mu natychmiast brzuch, żeby rzucił się na własne wnętrzności, a nie na ich nogi. Ale Lou nie zamierzała postępować tak jak ci rybacy.

Rankiem, kiedy Maytree odszedł już na dobre, Lou i Sooner Roy znieśli na dół białe żelazne łóżko dla petie'ego. Ustawili je przy oszklonych drzwiach, żeby chłopiec mógł

obserwować plażę, morze i niebo. Lou przysunęła sobie krzesło. Petie wiedział, że ojciec ich opuścił. Bała się wystawiać na próbę to, co uznawała za dobroduszość syna. Delikatnie położyła rękę na jego zdrowej nodze nieco powyżej kostki i zobaczyła, że Petie na ten jej gest

gwałtownie przewraca oczami.

Zaczął się jej następny kryzys towarzyski, chociaż poprzedni wciąż trwał. W zasadzie Lou potrafiła rozmawiać już tylko z Maytree'em, Corneliussem i małżeństwem Cairo. Choć ci ostatni byli dla niej oschli, potrafili odkryć sekretne motywacje każdej jej wypowiedzi i reagowali tak, jak gdyby Lou bez ogródek powiedziała wszystko na głos. Powinna zwrócić się teraz do Petie'ego: „Tata bardzo cię kocha, a to, że odszedł, nie jest twoją winą”.

Powtarzała mu to przez następne tygodnie i lata, ale nigdy nie wspominała o Deary.

Pierwszego ranka po odejściu Toby'ego Lou usiadła przy Petie'em - ona była w czerwonym, a on w niebieskim swetrze - i oglądali razem odpływ przez oszklone drzwi.

Horyzont przesuwiał się wzdłuż każdej szybki pod mikroskopijnie innym kątem, a zieleń morza sprawiała, że mogli patrzeć wprost w oślepiającą jasność nieba.

Wkrótce, pomimo okrutnych zabiegów medycznych („Dzieci szybko zapominają o bólu” - wyjaśnił jej lekarz), Petie skakał już o kulach jak papużka.

W czerwcu, kiedy noga się zrosła, odwiedzili go koledzy i Petie wyszedł, chociaż padał deszcz, albo nawet trzymał jeszcze mróz, Lou nie miała więc już kogo przytulać. Lukę, która powstała po wyjeździe

Maytree'ego i Deary, wypełnił krąg znajomych państwa Maytree, jakby Toby i Deary nigdy nie istnieli.

Tylko Jane Cairo, która nieoczekiwanie skończyła dwadzieścia trzy lata, zmanifestowała wielkie oburzenie moralnym złem, skandalem i niegodziwością (i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej) postępkowi Maytree'ego, wyjeżdżając z Provincetown i przez całe lato prażąc się w Nowym Jorku. Podobno powiedziała matce, że nie chce już więcej oglądać ludzi na plaży.

Jane Cairo była o osiemnaście lat młodsza od Lou, która jednak boleśnie odczuwała jej nieobecność, bo wszyscy oprócz niej strasznie się zestarzelili. Poprzedniego lata Jane -

razem ze swoimi rodzicami profesorami, z Deary i z Reevadare - chłodziła się w towarzystwie państwa Maytree zanurzona po pas w morzu za ich domem. Jane nie spodobała się The Golden Bowl; do przeczytania tej powieści namówił ją Maytree.

- Przyzwyczaisz się do stylu Henry'ego Jamesa - powiedział Toby.

- Nie wiem, czy tego chcę.

Jane weszła do wody w okularach, a włosy zebrała spinaczem do bielizny. Kiedy nie odpoczywała na wakacjach, studiowała literaturę porównawczą na Uniwersytecie Columbia.

Pewnego lipcowego poranka Lou zadrżała z zimna.

Odpływ cofnął się aż na Azory. Wiatr, który wciskał się przez okna, pachniał kurzem z framug i poprzeczek.

Zmysły jej nie myliły, tylko wniosek był fałszywy. Jak powinien być postąpić Maytree? Dalej chodzić na smyczy? Lou w ogóle nie wiedziała, że trzyma go na smyczy. Ale podobnie ryba

będąca przynętą nie wie, że nią jest. Lou nie wiedziała też, kiedy Maytree zaczął podejrzewać, że stał się psem na uwięzi.

Skąd to zdziwienie? Przypomniała sobie, co powiedział kiedyś skorpion wielbłądowi:

„Wiedziałeś, kim jestem, kiedy zgodziłeś się mnie przewieźć na grzbiecie”. Zgodziłeś się ze mną ożenić. Kim był Maytree? Zakochanym mężczyzną. Kto inny chciałby się z nią ożenić?

Toby miał wiele młodzieńczych miłości, w ranczerce i nauczycielce kochał się ponad dwa lata.

Czy wszystko jest zawsze fair? Czy miłość jest ślepa?

Musi być jakaś rada, z której Lou mogłaby skorzystać.

Niżej, na plaży, w mule przy łódce, zacumowanej na łańcuchu przywiązany do wpuszczonego w beton haka, leżała czerwona boja. Wszędzie w Nowej Anglii w ciągu dziewięciu ostatnich dni padało bez przerwy co najmniej przez trzy doby. Miała nadzieję, że Deary jest warta swojej ceny.

W pokoju na dole Lou połamała na kolanie szczapy na rozpałkę i nastawiła wodę w czajniku. Dlaczego jest smutniejsza, ale i mądrzejsza? Dlaczego nie jest mądrzejsza i szczęśliwsza? Czym innym może być mądrość? Napiała się czarnej kawy. Nie załamała się i nie rozsypała.

Widziała także pewne pozytywy tej sytuacji. Maytree już nie zawracał głowy Lou czytaniem swoich poezji. Zawsze to robił, chociaż wiedział, że doprowadza ją w ten sposób do szału. I nigdy nie zamykały mu się usta. A teraz wreszcie ma czas, żeby trochę pomyśleć.

Poza tym dostała chatkę na wydmach, którą zbudował kiedyś ojciec Maytree'ego w pobliżu strażnicy. I może bez przeszkód jeść krakersy w łóżku.

Lou przebrała i namoczyła fasolę; o piątej upiecze chleb kukurydziany. O czym chciała pomyśleć? Oto dostała coś, czego zawsze pragnęła: swobodę myśli.

Chciała zrozumieć świat. Od której niewiadomej powinna zacząć? Jaki jest sens istnienia nas, czterech miliardów równych wobec prawa stworzeń, które obchodzi jednak wyłącznie własny interes? Lou odrzuciła religię. Wiedziała, że w chrześcijaństwie najważniejsze jest dziesięcioro przykazań, Jezus Chrystus jako jedyny Syn Boży, który chodził po wodzie i zmartwychwstał trzy dni po ukrzyżowaniu, historia o dobrym Samarytaninie i założenie, że czystość niemal równa się boskości. Buddyzm i taoizm jakoś radziły sobie z galaktykami, ale taoizm był dość naiwny - choć o tym zapomniała - a buddyzm nakazywał swoim wyznawcom właściwie tylko ciągle tkwić w bezczynności.

Judaizm potrzebował Lou jak wóz piątego koła - poza tym wszystkie religie wcześniej czy później twierdziły, że świętości należy poszukiwać w ludzkiej duszy. Albo to ona jest stuknięta, albo te religie.

Od dawna szukała świętości i przekonała się, że nic takiego w niej nie ma. W jej duszy panowała przerażająca pustka, jak w pokrytym od wewnątrz osadem z kamienia czajniku. Lou była pusta w środku. Nigdy nie będzie już węszyć w krainach podziemia i wiecznej pustyni swej duszy, tak jej dopomóż Bóg. Czuje się znacznie lepiej w Provincetown, bo tu na własne oczy widzi au tar kię niebios.

- Moim zdaniem to wszystko wina Deary - powiedziała jej Reevadare Weaver takim tonem, jak gdyby to wyznanie sporo ją kosztowało.

Reevadare perorowała w ogrodzie przed swoim domem w pierwszej dżelabie, którą ktokolwiek widział w tej okolicy. Zamglone powietrze rozjaśniło się po zachodzie słońca.

- Ale nie mogłaś się spodziewać niczego innego.

Nie da się wytrzymać w małżeństwie z jednym człowiekiem przez czternaście lat. To za długo.

(Wiele lat później Lou dowiedziała się, że jedną z ambicji Reevadare było ustalenie maksymalnej długości trwania zgodnego małżeństwa. Wynik, do którego doszła, wahał się gdzieś między siedmioma a ośmioma latami).

- Przykro mi, że źle o niej mówię. Była taka kochana...

To nie mów o niej źle. Zarówno Deary, jak i Maytree mogli być materialną i ostateczną przyczyną tego, co się stało, nie ponosząc jednak żadnej winy. Lou z zasady nigdy nikogo o nic nie oskarżała. Reevadare miała rozmazaną szminkę na ustach.

- Ale jednak Deary po prostu ukradła ci Toby'ego

Maytree'ego i już - dokończyła Reevadare, kiwając głową.

Lou podniosła wzrok.

- Toby odszedł wolny i na własnych nogach.

Nie znajdowała pociechy w tym, że jej przyjaciele krytykowali Deary albo Maytree'ego. A co z jej lojalnością wobec ich obojga? Mieli prawo żyć najlepiej jak umieli.

Czy Reevadare sądzi, że kiedy Lou dojdzie do siebie, znenawidzi ich, jakby nagle oboje się zmienili?

- Nie można ukraść mężczyzny. To nie przycisk do papieru.

- Ja w swoim czasie często kradłam mężczyzn - odpowiedziała Reevadare.

- I okazało się, że ta słodziutka ulubienica wszystkich tutejszych mieszkańców wcale nie jest taka słodziutka, co? - Ojciec Jane, profesor Cairo, nadał jej to imię na cześć swojego ojca, Jeremy'ego. Teraz zwracał głowę Lou, wypytując ją o Deary. Lou pomyślała, że wszyscy czasami dają się ponieść emocjom, bo przecież ostatecznie jest to jej prywatna sprawa, bez najmniejszego znaczenia dla losów świata. Zaczęła się bać przyjaciół, ponieważ nie umiała nikogo z nich przekonać, że nie cierpi. Widziała cierpienia swojej matki, i była pewna, że rozstanie zniesie lepiej od niej.

Kiedy w Marblehead skończył się pierwszy rok szkolny po zniknięciu jej ojca, przeprowadziły się z matką na West End Provincetown, czyli nad samo morze. Tamtego dnia przy śniadaniu w Marblehead (o ile naprawdę było to przy śniadaniu) mała Lou nawet nie podejrzewała, że po raz ostatni widzi swojego cudownego tatę. Nie pamiętała dziś, co jadał, mówił albo czytał. Zaczęła podejrzewać, że wiele minionych chwil było chwilami ostatnimi, starała się więc wyrycić sobie w pamięci, którą wyobrażała sobie jako gliniany wałek, co tylko mogła: palce matki wokół

szklanki z koktajlem Różowa Dama, łuski ryb z Cape Cod, suszące się na podwórzach pranie, syrenę przeciwmgielną, dym na morzu i zwoje szkolnych map.

Wieczorami sporządzała w łóżku inwentarz dziennego połowu takich wspomnień: zaliczała do nich między innymi pewną nauczycielkę o żółtych zębach, która zawsze rozpaczała nad charakterem pisma Lou, rozkrzyczane mewy nad głowami dziewcząt grających w dwa ognie, piskliwe głosy swoich przyjaciółek, a zwłaszcza zapach matczynego talku, jej gładką sukienkę i tę ucieczkę z podkulonym ogonem, jakby ktoś ją kopnął.

Dlaczego nie dać sobie spokoju z powitaniem, pożegnaniem i trudem, pełnym zarówno wdzięku, jak i strachu? Był to bogaty w wydarzenia rok. Jako dziewczynka Lou lubiła swoje niewymagające przyjaciółki z Provincetown - pracowite, roześmiane dziewczyny (połowa z nich była pochodzenia portugalskiego), które od razu przyjęły ją jak swoją.

Wiedząc, że będzie bardzo tęskniła za tymi, które znikną z jej życia, nigdy nawet nie pomyślała, żeby kochać je mniej. A potem o nich zapomniała. Dopadło ją nowe Provincetown i przyjaciółki ze szkoły z internatem. Mimo to poszła na najmniejszy uniwersytet, jaki udało jej się znaleźć, a na studiach nauczyła się jeździć na łyżwach i śpiewać.

Petie wrócił do szkoły, z ulic zniknął tłok i wreszcie dało się oddychać pełną piersią.

Państwo Cairo i inni wakacyjni przyjaciele Lou zabiorą jej opowieść o odejściu męża do Bostonu i Nowego Jorku. Oł, Lou opuściła gardę i dostała frajerski cios. „Nie rozsypię się”

-~ powtarzała sobie, ale stała na krawędzi przepaści, z której mogła się już tylko ześlizgnąć.

„Nie podróżuj pasem awaryjnym” - głosiły znaki na autostradzie krajowej numer sześć. Wystrzegaj się awarii na pasie ruchu i nie załamuj podczas jazdy.

Morze zalało skalny występ Gibraltaru, po czym wyparowało.

Jeśli Lou w ogóle mogła się poruszać pod koniec września, to przemieszczała się niczym ten dziwny lodowiec, na który na Grenlandii zwykle szczekają psy.

Lektura Hardy'ego zawsze poprawiała jej humor, gdy była w tarapatach, jak choćby wtedy, kiedy jej ojciec dał dyla z domu, i teraz też cieszyła się towarzystwem uczciwego, solidnego rolnika Gabriela Oaka. „Ktoś chyba już zauważył, że nie istnieje prosta droga do odkochania się, w przeciwieństwie do drogi wiodącej do zakochania” - przeczytała Lou.

Lou (Maytree też) bezapelacyjnie odrzucała dramatyzm i egzaltację, mniemając, że są one co najmniej w złym guście.

„Jak pierwsza miłość, obłąkane żalem

Te dni, Śmierć w Życiu, dni, co przeminęły!”

Dlaczego, ach, dlaczego nie została buddystką?

Z powodu niskiego ciśnienia tętniczego. Bo chyba każdy wie, że Budda był otyły.

Lou nie miała siły walczyć z tym, co unieruchamiało ją niczym wiatr, który jednym podmuchem przyciska do płotu papiery. Była drewnianym konikiem, kamiennym kopcem, kanistrem pełnym

smoły. Rozwinęła długą linę swojej miłości samotnie - i nie udało się jej nigdzie zaczepić.

Rozsypana się. Powinna była jeszcze poranić sobie łokcie i kolana, jak robią to Ałeuci.

Pewnego zimnego czerwcowego ranka zjawił się u niej

Cornelius.

- Posłuchaj, Lou, chciałbym cię prosić, żebyś już przestała się truc tym wszystkim.

Nie jęczała i nie okazywała głośno smutku ani gniewu, czy zatem było po niej widać cierpienie?

Kiedy Cornelius wyszedł, ruszyła stromą ulicą pod górę, pod pomnik Pielgrzyma.

Weszła na schody posągu w płaszczu z wielbłądziej wełny i w czerwonych nausznicach, po czym przyjrzała się z góry płaskiemu niebu, morzu i ziemi. Była gotowa, żeby chcieć przestać się truc, dlatego przyznała, choć z trudem, że może się zdecydować, żeby przestać. Przez odmierzoną na zegarku minutę wyobraziła sobie, że lubi Maytree'ego całkiem obiektywnie. I przez tę odmierzoną na zegarku minutę ujrzała go takiego, jaki był naprawdę. Tego dnia, rozluźniwszy się zaledwie odrobinę, jak naprężona cuma, przez jedną minutę zaznała ulgi. Było więc jednak coś, co mogła zrobić. Mogła codziennie wchodzić na schody pomnika i pracować nad sobą. Nie miała nic innego do roboty. Lata, które spędziła z Maytree'em, były dobre, ale on odszedł i wszystko, co Lou musiała zrobić dla świętego spokoju, to pozwolić mu na to.

W ciągu miesiąca stwierdziła, że jeśli przyzna przed sobą, że nie jest pępkiem świata, nie może być mowy o żadnej niesprawiedliwości ani zdradzie ze strony Toby'ego. Jeśli uwierzy, że jest wolna i wydostała się z otchłani, faktycznie odzyska wolność. Czym było to, co się stało, w porównaniu, powiedzmy, z ewentualną utratą Petie'ego? Dlaczego Lou miałyby uznawać miłość dwojga ludzi za osobistą zniewagę?

Wiedziała, że

Toby i Deary i tak na pewno mają wyrzuty sumienia.

Maytree czasami ulegał napadom uczuciowości, a miłość była drugą naturą Deary.

Jakie to wszystko będzie miało znaczenie za dwieście lat? Lou ma przed sobą jeszcze długie życie, ale to, czy będzie dalej żyć, zależy wyłącznie od niej.

Żeby pobudzać ruch włóków swojej pamięci, wspinała się na schody pomnika codziennie, bez względu na pogodę, i czasami na górze otaczała ją mgła. Stojąc na szczycie, przesiewała Maytree'ego przez palce niczym piasek i widziała, jak opada na dachy i podwórka. Po siedmiu albo ośmiu tygodniach prób zapomnienia o Tobym zauważyła, że zadanie, które sobie postawiła, wymaga wprawy, jak wszystko. Postanowiła więc pracować nad sobą przez cały rok, pozbywając się wszystkich, nawet drobnych jak ziarenka piasku praw do Maytree'ego. Po siedmiu miesiącach miała

Już, jak się wyraziła, „wolność w garści”. Od tamtej

Pory, jeśli przychodziła jej do głowy jakaś niemądra myśl, radziła sobie z nią w ten sposób, że

wspinała się na schody pomnika i otwierała zaciśniętą dłoń.

W ten sposób wycofała się z gry, zgarniając stawki, które sama rzuciła kiedyś na stół.

To, że może je wycofać, było dla niej niejakim zaskoczeniem, choć potrafiła rozciągnąć na niebie Oriona i rozwinąć go jak spinaker albo spadochron, który unosił ją poza miłość własną.

Jeżeli ziemskie niebo ma swoje granice, to wszystko musi je mieć. Dlaczego mnisi poszczą?

Czy muszą być półzywi, żeby wykonywać swoje powinności? Przecież jeśli wiesz, że gdzieś tam leży jakiś kontynent, zawsze potrafisz go znaleźć na mapie. Czy Lou mogłaby żyć bez Petie'ego? Oczywiście nie teraz, nie kiedy jej potrzebował. Ale w naszej kulturze rodzice w końcu wypuszczają dziecko w świat jak balonik, choć naturalnie nadal je kochają.

Wtedy Lou zaczęła się zastanawiać: jeżeli celem życia jest zapanować nad egoizmem i egocentryzmem, dlaczego rodzimy się w pełnym tych cech kotle? Czy ktoś próbował kiedyś odpowiedzieć na to pytanie? Czy państwo Cairo znają jakieś książki na ten temat, które mogliby jej przywieźć? Bo Lou zamierzała pozostać w obecnym stanie ducha i dalej pracować nad sobą.

Tak się złożyło, że dwadzieścia lat później, kiedy przemywała najgłębszą i najboleśniejszą odleżynę Deary, zadała sobie pytanie: czy jeśli ona, Lou, wiedziałaby, ile czasu zajmie jej pierwsza, niepewna próba rezygnacji z Maytree'ego - a także dostrzeżenie oraz odrzucenie prawa własności do niego, zmiana własnych przyzwyczajzeń i rozpoczęcie niekończącej się nauki wciąż chwiejnej samokontroli - której końca nadal nie było widać - to czy w ogóle zaczęłaby nad sobą pracować? Czy pochyliłaby się sama nad sobą niczym szpaler szuwarów? Czy miotałaby się aż tak gwałtownie, by oczyścić się z plew? Minęły długie miesiące, zanim się nauczyła, że może zachować czystość myśli dłużej niż przez minutę. Wypatrywała u siebie wszelkich możliwych oznak pretensji, samouwielbienia i zazdrości i z biegiem lat wyrobiła w sobie nawyk odrzucania tych uczuć, zanim ją dopadały.

Wcześniej żyła, w ogóle o tym nie myśląc, ale teraz stała na twardym gruncie, który wreszcie udało jej się znaleźć. Im bardziej się otwierała, tym więcej otwierało się przed nią perspektyw. Co nie oznacza, że życie w tym mieście, w tym kraju i na tym świecie nie przyprawiało jej o palpitację serca.

Ponadto - a był to jakby bonus, ale i skutek uboczny postawy Lou - przyszło jej w końcu moczyć ręczniczek w zlewie z ciepłą wodą, spoglądając na morze, i przemywać stare ciało Deary. Zwilżała jej wrzody odleżynowe, a potem zmieniała wodę i ręczniczek i przemywała Deary jeszcze raz. No i poza tym jej dom był pełen ludzi - jeżeli to dobrze mieć dom pełen ludzi.

Gotowa byłaby o tym podyskutować, siedząc na brzeżku łóżka Deary w tej chwili, chwili z odległej jeszcze przecież przyszłości - gdyby miała chociaż trochę czasu.

INTERLUDIUM

Zrosła mu się noga, Petie stał się Pete'em i zaczął się zastanawiać, jak to było. Co słodkooka Deary - dawna towarzyszka jego zabaw na plaży, która podobała mu się już, kiedy miał zaledwie jedenaście lat, pobudzając zarówno jego fantazję, jak i wyrzuty sumienia -

widziała w jego pokurczonym, pomarszczonym ojcu, który musiał być dobrze po czterdziestce, miał kościste, nieproporcjonalnie duże w stosunku do nadgarstków ręce, siwe włosy w nosie i uszach, pomarszczone policzki, trącające stęchlizną notesy i opowiadał

haniebnie kiepskie dowcipy? W dodatku książki, których był autorem, są tak cienkie, że można byłoby ich używać jako podstawek pod meble. Deary w swoim życiu na pewno kiedyś kochała i ogólnie rzecz biorąc, była kochana - mogła wybierać. Dlaczego zatem wybrała w końcu człowieka, który nieustannie używał takich określeń, jak „a priori”? Niewątpliwie ojciec zestarzał się do tego stopnia, że nie było w nim już żadnej pasji, tylko zadawnione pragnienie zgromadzenia wiedzy, którą mógłby zabrać ze sobą do grobu, gdy złoży w nim także swe kości. A może Deary po prostu potrzebowała cieśli, który by z nią zamieszkał? Ale żeby do tego stopnia potrzebować cieśli? Cóż, Maytree był dobrym fachowcem.

Na matczynej komódce i na ścianie w kuchni Pete mógł oglądać zdjęcia, które Lou najprawdopodobniej zachowała z myślą o nim: oto ojciec podnosi okonia za skrzela, a oto ojciec i Pete, choć widać tylko zarys jego sylwetki - w każdym razie obaj wiosłują. Pete przyglądał się wąskim ramionom Toby'ego, jego swobodnemu uśmiechowi, długim kończynom i oczom zasnutym smugą cienia, przypominającą przepaskę na oczach skazańca, który zostanie za chwilę rozstrzelany.

Zimą, kilka lat temu, Pete złamał nogę na tym oblodzonym skrzyżowaniu, a ojciec wziął go na ręce, na oczach wszystkich gapiów pocałował w czoło i zaczął mrużyć coś pod nosem. Jak okazało się później, już wtedy dobrze wiedział, że następnego dnia ucieknie z Deary.

Dlaczego dorośli tolerują własną hipokryzję? Nawet jego matka: wychwalała hojność, a była sknerą, sławiła pracowitość, a sama bardzo rzadko pracowała.

Być może każde pokolenie przekazuje nietknięty kufer cnót swojemu potomstwu, które zapisuje go potem własnym dzieciom. Dorośli mówią młodzieży, co jest w kufrze, ale nigdy go nie otwierają.

Pete natomiast nie mówił już matce zbyt dużo. Kiedy miał dziesięć lat, udało mu się grzecznie ją przekonać, by przestała go pouczać - na przykład przestała mu mówić, że jest zimno, kiedy było zimno. Odkąd skończył piętnaście lat, nie poświęcał jej wiele czasu. Chyba miała wtedy jakieś kłopoty. Kiedy odszedł ojciec, ścięła włosy. Nie licząc domu, widywał ją najczęściej na schodach pomnika albo na jednym z siedmiu okolicznych wzgórz, bez kapelusza i z nosem czerwonym od słońca lub mrozu. Pewnego razu nagle i bez uprzedzenia Lou powiedziała: „Twój ojciec to najszlachetniejszy i najdelikatniejszy człowiek, jakiego znam”, a Pete skinął głową, schylił się i poszedł dalej szybkim krokiem.

Latem i jesienią Pete w pogodne noce sypiał na ganku. Kiedy się budził, widział tors Oriona, który wschodził za miasteczkiem Truro i wspinał się coraz wyżej.

O świcie beocki myśliwy był już całkiem zdezorientowany i bladł jak wspomnienie jego ojca albo perspektywa zmartwychwstania. Pete przewracał się na brzuch, obgryzał

paznokcie, po czym spoglądał na zachód, ku domowi państwa Bonobos. W szkole Pete wyobrażał sobie prawdziwego Oriona - Oriona z czarnych nocnych wydm, wyraźnie dzierżącego w ręku broń i przesuującego się po gorącym niebie niezauważalnie niczym Apacz.

Dokąd ambicja może zaprowadzić młodego człowieka? Pete chciał zaciągnąć się na statek rybacki, a potem zostać właścicielem własnego kutra, łowić ryby i sprzedawać je w sezonie. A w głębi duszy...

Idąc pewnego dnia do szkoły w zacinającym deszczu ze śniegiem, zaczął się zabawiać ściganiem swoich pierzchających jak śledzie myśli. I przekonał się, że w ogóle nie myśli.

Widział, jak znikają przesuwane się w jego wyobraźni rozkawałkowane widma i obrazy: dziewczyna o imieniu Marie, która chodziła do szkoły kilka klas wyżej, jej uśmiech, nauczycielka Pete'a stara panna, która, o ile wiedział, była kiedyś obiektem podziwu pożądatliwych oczu jego ojca - i właśnie,

Przeklęty ojciec, który nie umiał nawet zaopiekować się matką. Takie oto fragmentaryczne obrazy skakały mu przed oczami, niczym kibice, którzy po ostatnim gwizdku sędziego rozbiegają się we wszystkie strony.

Potem zobaczył, jak z podobnymi sobie towarzyszami wędruje po całym świecie, by karmić albo szczepić ludzi lub badać chore na zapalenie sutek antylopy zebu. Widział tłumy ludzi i dziewczyny w sari, które po chwili znikają. Nie miał pojęcia, że taki bełkot nieustannie

- by nie powiedzieć: zawsze - wiruje i miesza mu w głowie.

Uciekając przed tym chaosem obrazów, Pete wyobrażał sobie, że włada swoimi myślami niby rycerz mieczem. Czy ktoś potrafi, czy ktoś w ogóle kiedykolwiek próbował

opanować swój umysł, wykorzystując go w tym celu jako jedyne narzędzie? Czy jego psychika kryje całe stado różnych osobowości, przypominających muszkieterów, z których każdy kolejny jest mniejszy od poprzedniego, stoi nieco dalej i wymachuje szpadą? Co można zyskać, stosując takie kaskaderskie sztuczki, oprócz spokoju umysłu? Jaki mężczyzna w jego wieku pragnie spokoju umysłu? Niepokój dodawał mu sił. Czyż nie tak? Ale jaką siłę może mieć człowiek, którego myślami rządzi nerwowa drżączka?

Szczególnie przez kilka następnych lat, ale i jeszcze długo potem Pete bawił się w kierowanie swoimi efemerycznymi myślami jak modelami statków. Uważał, że łatwiej byłoby nauczyć musztry stado pawianów.

Tak czy inaczej, zadanie było albo niemożliwe, albo on nie potrafił mu podołać.

Nie udało mu się ustabilizować statku swoich myśli, bzdury potrafił więc zastępować wciąż tylko innymi bzdurami. Dlaczego kontrola nad własnym umysłem jest tak niesłychanie trudna? Wydawało mu się, że inni ludzie myślą - tymczasem on z łatwością zmuszał swoje palce do pisania, ale nie potrafił skłonić mózgu do żadnego wysiłku. Czy był szalony?

W prawdziwym życiu nie kradł samochodów, nie bił się z chłopakami i nie gwałcił

dziewczyn - więc jak te zatechłe urazy, ten monotony szelest traw na wietrze, te cienkie niczym minogi klisze z obrazkami mogą go odczłowieczyć? To nie żadne pragnienia ani odruchy, tylko śmieci kołyszające się na fali. Pete stawał na głowie, żeby zobaczyć, jak jego umysł się ich pozbywa.

Przypominały zgrabione siano, pokrywały go obojętnie i oślepiały. A po co w ogóle zawracać

sobie głowę bzdurami? Bo podobała mu się nadzieja, że w przyszłości nad sobą zapanuje.

Czy to naprawdę będzie takie trudne? Pewnego dnia stanie przed swoim zadziwionym ojcem jako doskonalsza istota ludzka. Jako rybak, który karmi głodnych Afrykańczyków.

Będzie tak doskonały, że nigdy nie poczuje się lepszy od innych, nawet od swojego słabego i skruszonego ojca. Była to młodzieńcza myśl, nie mniej bezwolna od byle słomki unoszonej wiatrem, a jednak ukłuła go niczym ostra rzutka.

Dojrzewał przez całe lato; całymi nocami zarzucał i wyciągał sieci z chybotałowej łodzi, pracując nad sobą. Pracował też nad sobą samotnymi zimami. Zaczął

Od tego, że przypomniał sobie ojcowski kombinezon.

W kieszeni jednej nogawki ojciec nosił miarkę stolarską, która kawałek po kawałku składała się w żółtą, złożoną z dziesięciu segmentów całość.

Dwie godziny po przekroczeniu mostu Sagamore

Deary wzięła Maytree'ego w ramiona na motelowym łóżku przy akompaniamencie kolejnych salw perlącego się na jej ustach śmiechu. Potem zasnęła, wsunawszy złożone dłonie pod policzki. Wyglądała niczym żywa zagadka, której rozwiązaniem byłoby słowo

„sen”.

Maytree cenił wierność jak wszyscy. Przyglądał się sękatemu sufitowi z sosnowego drewna w motelowym pokoju. Czy jest złym człowiekiem? Czy Deary jest złym człowiekiem? Czy jest na świecie ktoś, kto nie kochał choć dwa razy w życiu? Albo więcej niż dwa?

Kto nie złamał nigdy nikomu serca? Czy jego pierwsza licealna sympatia powinna była pozostać mu wierna, kiedy wkraczała w dorosłość? Często ją widywał. To zabawne, ale teraz użerała się z wnukami.

Jako trzydziestolatek, kiedy starał się o względy

Lou, był niewątpliwie płytki i powierzchowny. Nic nigdy nie wprawiało go w stan takiej ekstazy jak stopniowo narastająca świadomość obecności dobrej, starej Deary Hightoe, którą obserwował właściwie tylko kątem oka - a tymczasem jej oczy, podkreślone wysokimi łukami brwi, patrzyły na niego spod przeciwległej ściany ganku państwa Cairo i paliły go w policzek niczym gorące żelazko.

Musiał jednak przyznać, że kiedy po dwóch latach jego namiętność do Lou zaczęła stygnąć, miłość ani szczęście wcale nie zniknęły. Toby często na nowo zakochiwał się w jej prostolinijności albo powiekach i pogwizdywał Clancy Lowered the Boom. Czy po ośmiu latach zapomniał już o zachwycie nad jej bezkresną duszą, którą odsłoniła ich intymność?

Jego długoletnie małżeństwo miało dużo większe znaczenie niż zakazane wątle miłości czy flirty, przez które rozpadają się inne pary. On i Lou ufali i zwierali się sobie. Z czasem kochali się nieco mniej niecierpliwie i z większą wytrwałością. Trawił ich ogień, którego nie chcieli ugasić, i powoli dokładali do niego drew. Kochali i wychowali Petie'ego. Nie zrezygnowali z obłąkanego pomysłu mieszkania w chatce na wydmach.

Lou słuchała Toby'ego, zawsze wiedziała, o czym mówi, i często się śmiała.

Uwielbiali i czytali dobre powieści i poezję. Czy Maytree przestał kochać Lou? Absolutnie nie. Jego trwałe uczucie wobec niej po prostu ktoś przekrzyczał.

Zrównując wierność z rezygnacją z flirtu i kobiecych awansów, Maytree zostawił

sobie drogę ucieczki - nigdy nie flirtował z Deary, a ona nigdy mu się nie narzucała. Po prostu zakochali się w sobie, wcale nie szukali tej miłości. Coś podobnego zdarzyło się już na świecie przynajmniej raz. Z ulgą, niepomny całego świata, Toby przeczytał o tym w pewnej książce i Przepisał sobie ten fragment do notesu: „Zrozum, że to nie jest miłość - powiedział

Lewin Obłońskiemu.

- Kochałem się już, ale teraz to co innego. To nie moje własne uczucie mną zawładnęło, ale jakaś obca siła.

[...] Szczęście, jakie się nie zdarza na ziemi”.

Spróbujcie to zrozumieć. Maytree podziwiał Tolstoja za to, że kazał Lewinowi powiedzieć prawdę i tak serdecznie z niej zażartować.

Wynajęli dom na wysepce w stanie Maine, którą zobaczyli po raz pierwszy, pływając tu z Soonerem Royem. Maytree wyremontował pięć z dwunastu drewnianych domów na tej wyspie, a Deary piekła imbirowe pierniki w kwadratowych foremkach i gotowała na parze przezroczysty sos cytrynowy do ciastek. Maytree widział, jak roznosi na talerzach całe stosy pierników, starannie przykrytych papierem śniadaniowym.

Przez całe lato Deary parła boso przez pola i lasy jak fala, żeby częstować sąsiadów wypiekami. Na zmianę z Maytree'em wiozłowała też na ląd po żywność, paliwo, drewno i kafelki podłogowe. Kąpali się w wannie o nóżkach w kształcie zwierzęcych łap. Pewnego razu, kiedy ukląkł, żeby ją wytrzeć, Deary zapytała:

- Ile dachów rocznie mógłbyś położyć?

Toby się roześmiał. Na całym jej ciele, gdzie tylko wciskał palce, tworzyły się dołeczki - kobieta w każdym calu.

- Nie jestem dekarzem. A teraz się odwróć.

- Dzwonkiem upręży lekko zadzwonię, pytając, czy pamiętasz o mnie - powiedziała, kiedy zamieNieżnacznie sparafrazowany początek trzeciej zwrotki wiersza R. Frosta Przystając w lesie w śnieżny wieczór, przeł. S. Barańczaknili się rolami.

Poczuł zapach fantazji Deary i nie po raz pierwszy zauważył, że od wiozłowania porobiły jej się odciski na rękach.

Coraz częściej widział, jak Deary pochyla się przy stole nad poliniowanymi notesami i kartonami uzbrojona w zatemperowany nożem ołówek. Mówiła - czemu się dziwił codziennie

- że lubi prowadzić jego księgi rachunkowe. „A jakie ja mam rachunki? - pomyślał. - Biorę pieniądze tylko za materiały i swój czas”. Powiedziała mu, że nie licząc palenia banknotów,

drugim najkosztowniejszym sposobem oświetlenia domu jest używanie świec, kupiła więc trzy lampy

Alladyna, proroczo wskazując tydzień, w którym dwa lata później „koszty ich zakupu się zamortyzują” - to sformułowanie zawsze go bawiło. Ale mało tego, swoje dawno podarte i poprzecierane ubrania Deary zastąpiła najpierw koszulami i ogrodniczkami, a potem bluzkami i spodniami.

W łóżku zwijała się w kłębek, otoczona jego ramieniem. Powiedziała mu, że oczywiście tęskni za Provincetown i tamtejszym niebem. Oczywiście zabierze Maytree'ego przed śmiercią do domu, albo on ją - czy obiecuje? Maytree chuchał i dmuchał na Deary. Starał się w ogóle nie myśleć o Provincetown i nie pamiętać o Lou ani o Petie'em, którzy zapewne już go znienawidzili. Sam wybrał swoją hańbę - ale gdyby mógł, zrobiłby to jeszcze raz.

Pracował na budowach zarówno na wyspie, jak i poza nią. Starzy mieszkańcy Maine zasiedlili brzegi rzek i zatoczek, ale nowi przybysze budowali domy na odsłoniętych wybrzeżach i szczytach wzgórz, jak gdyby mieli ochotę parzyć się z wiatrem. Toby najczęściej musiał odmawiać klientom, żeby mieć rano czas na pisanie poezji, i pewnego wrześnieowego dnia Deary podniosła na niego wzrok znad księgi rachunkowej.

- Wiesz, może mógłbyś zacząć poławiać homary.

Ach, ta jej dziecięca buzia! Była starsza od niego, nie mówiąc już o Lou, ale poddawała się emocjom jak dziecko.

- Poławiać homary? I z tego miałbym żyć? - Słońce grzało go przez szybę w obojczyk okryty koszulą.

- Po części. Resztę dorabiałbyś remontowaniem domów.

- Resztą jest dla mnie poezja. Nie trzeba nam więcej pieniędzy.

Lepiej nie mówić, jak bardzo staraliby się go zniechęcić do jej pomysłu miejscowi poławiacze homarów, gdyby nawet Toby'ego było stać na to, żeby się nauczyć tego zawodu i zacząć w nim pracować.

- Ile jeszcze dachów potrzeba na tej wysepce? Ile jeszcze ganków trzeba będzie obudować dla turystów przyjeżdżających tu na całe lato?

Maytree przysunął nos do jej włosów, a ich zapach go oszołomił.

- Myślałem, że podoba ci się na wyspie. Chcesz, żebyśmy się przenieśli na stały ląd?

- A miałbyś coś przeciwko temu? Na przykład do

Camden? Moglibyśmy oboje uzyskać koncesje.

Co takiego? No tak, ciągle zapominał, że Deary jest dyplomowanym architektem.

Mniej więcej w porze kolacji byli już trakcie przeprowadzki do Camden.

Piękno Maine nie pochodziło z nieba, lecz z ziemi.

Słońce wpadało tu na czarne świerki i ginęło wśród nich albo kładło się szeroko na polach. Zimny las unieruchamiał wzrok Maytree'ego i wtedy brązowe igły pod jego nogami zamieniały się w piasek. Toby czuł w powietrzu zapach czarnego humusu i skał, przypominający woń wilgotnej fajki.

W ich nowym domu pachniało pleśnią i dymem pożaru sprzed lat. Deary upierała się, żeby kupili jakiś porządny, czyli za duży dom. Toby nasłuchiwał, jak wszyscy naokoło rąbią drwa i układają je w sterty.

Przez cały rok na okrągło słyszał warkot pił łańcuchowych. Oboje dostali koncesje.

Przekonał się, że w Maine mieszkają przedstawiciele różnych klas społecznych.

Ludzie wykształceni zapraszali się nawzajem na obiady, dyskutowali o najnowszych wiadomościach ze świata i pili - zupełnie nieoczekiwanie - wino. Tylko dzieci umiały się tu bawić. Zabawa, zdaniem Toby'ego, wymagała - co najmniej - luzackiego towarzystwa, gramofonu, bębniarza, pianisty, talii kart, stosu żetonów, kawałów, zabawnych historyjek albo czegoś w rodzaju balu. I to nie przed obiadem czy po nim, ale z suto zastawionym bufetem w tle. Ale przy tym Maytree zgadzał się z opinią, że jego największą wadą była niedojrzałość.

Pewnego razu Deary z głową złożoną na jego kolanach szepnęła:

- Tęsknię za czasami, kiedy byłam uboga!

I czy nie mogliby zaadoptować dziecka? Poczul dotyk jej warg i oddechu. Wiedział, że chodzi jej o to, by nie pozostawał w tyle za jej przelotnymi myślami.

A jednak nigdy nie wiedział - connaitre, wissen - kim w istocie jest Deary. Na Cape Cod wyobrażał sobie, że Deary nie jest z tego świata, jak śpiący na plaży Ariel. A może przeciwnie, była ziemskim lub wręcz przyziemnym stworzeniem?

Dześć lat po ucieczce Maytree'ego i Deary, Lou i Cornelius plamili sobie ubrania i wszystko dookoła, zajadając się przy jej zielonym stole gulaszem z morskich małży. Lou patrzyła, jak słońce rozkłada skrzydła niczym mewa szykująca się do lądowania na powierzchni morza. Cornelius przybłąkał się do niej z wydm w poszukiwaniu jedzenia i swojej poczty. Lou wiedziała, że od tych sześciu lat pięć albo sześć razy w roku wśród jego korespondencji trafiał się list od

Maytree'ego. Dzisiaj przyszedł kolejny. Cornelius przeczytał go i podał jej przez stół.

Okazało się, że Maytree napisał list na maszynie, a Deary odręcznie dopisała kilka słów, ewidentnie wbrew swojemu panu i władcy, życząc wszystkim - przy czym słowo

„wszystkim” podkreśliła dwukrotnie - wszystkiego najlepszego.

Więc daje się dyplomy studentom architektury, którzy zamiast kropki nad „i” stawiają kółeczko? Podobnie jak pozostałe, i ten list od Maytree'ego był niefrasobliwy i powściągliwy zarazem. Tymczasem dla Lou

Toby i Deary zmienili się w starych przyjaciół, których wspólne życie śledziła z serdecznym zainteresowaniem prawie równie uważnie, jak życie Corneliusa - od lat czytała te listy bez mrugnięcia okiem.

Maytree pisał, że wstydzi się tego, że zabudowuje całe wybrzeże. Właściwie ilu pokoi potrzeba nowym przybyszom? „Tylu, za ile mogą zapłacić!” - dopisała Deary na marginesie. Gdzie znajdą się żony, które zechcą sprzątać te wszystkie domostwa? Nowi lokatorzy życzyli sobie mieć po kilka sypialni, bo szczerze wierzyli, że ich małżonkowie, dzieci, wnuki, przyjaciele i dzieci ich przyjaciół będą wszyscy naraz spędzać z nimi wakacje, a może nawet każdą wolną chwilę.

Puste sypialnie przywodziły Toby'emu na myśl kult cargo i puste lądowiska mające przyciągać samoloty, które nigdy z nich nie korzystały.

Lou lubiła czytać listy Maytree'ego, naśladowując jego głos. To, że, delikatnie mówiąc, byli kiedyś ze sobą blisko, należało do sfery zjawisk dość nieprawdopodobnych, podobnie jak to, że Io i Ganimedes krążą wokół Jowisza. Wyobraziła sobie piegowatego, chudego jak wiór Toby'ego, poklepującego się po udach i łydkach na jakiejś potańcówce. Więc Deary prowadziła jego interesy. Tylko jak? Lou i Cornelius musieli się roześmiać.

Następnego dnia Lou zamówiła najnowszy tomik

Maytree'ego w wydawnictwie Wesleyan. Kiedy go dostała, okazało się, że zawiera jeden długi poemat o bliźniaczych połówkach, chłopcu i dziewczynie - starej legendzie Platońskiej. Maytree umieścił jednak swoich bliźniaków we współczesnej Grecji i usunął

jedną stopę z miary, której zazwyczaj używał jako poeta. Być może chłód Maine zapierał mu dech w piersiach.

W listopadzie tego roku Lou znów zaczęła malować. Nigdy nie jest za późno, by uwiecznić ukochane twarze. Pomyślała, że dla początkującej malarki najodpowiedniejsze będą akwarele. Pete na portrecie en face przypominał fanatyka o oczach jak paciorki albo przestępcę z listu gończego. Potem Lou namalowała

Jane Cairo z profilu, trzymającą w nieproporcjonalnie drobnych dłoniach model okrętu „Victory”. Może gdyby umiała rysować... Spaliła efekty swoich pierwszych prób artystycznych, a ludzie zachwycali się jej skromnością, bo rzadko się odzywała. Nie wiedzieli, jakie ma ambicje: wernisaż w mieście.

Któregoś roku przyszedł jej do głowy pewien pomysł malarski, który rzuciła na szalę swojego długiego życia: na pierwszym planie niepokojąca plaża, pośrodku niepokojące morze, a w górze niebo, również niepokojące. Obludzone śmieci, zmatowiałe fale, chmury przypominające glify. Szarogłazy, brudna kra na morzu, pękaty samolot w oddali. Gnane na ogół zachodnimi wiatrami fale różnej długości biegły od lewej do prawej w równoległych szeregach, jak druk albo pismo. Dlatego kiedy Lou oglądała sztormowe fale w zatoce, jej oczy poruszały się tak, jakby czytała, a morze przypominało zapisany kursywą tekst, który usiłowała odcyfrować. Namalowała gwiazdę Nekkar w konstelacji Boótes (co znaczy

„wolarz”, czyli poganiacz wołów) i niemal niewidoczną przepaskę biodrową Wolarza.

Lubiła nokturny. Wega wyglądała jak błękitna kropka, z której niczego nie można się było nauczyć, Skorpion stawał dęba nad przybrzeżnymi falami, biegnącymi równiutko jak po sznurku traserskim, a Herkules mocno dzierżył maczugę nad dachową rynną, choć wkrótce na skutek rozlewających się wokół miejskich świateł Provincetown nie będzie już widać ani maczugi, ani nawet ramion herosa.

Rozcieńczonymi farbami olejnymi Lou nieudolnie malowała plaże i chmury. Na pierwszym i środkowym planie zwykle było widać rozmaite przedmioty wyrzucone przez morze na brzeg: wodorosty, unoszone na brudnych falach śmieci, brązowe butelki, muszle jadalnych piaszokłazów, szczątki porcelanowych naczyń, papier śniadaniowy, otwieracze do butelek, plastikową folię, sterczące z desek gwoździe, muszle innych mięczaków, stare opony, portmonetki, torebki i buty - ale na każdym płótnie Lou umieszczała tylko dwa albo trzy takie obiekty. Potem sobolowym pędzelkiem domalowywała każdy pęknięty drucik pułapki na kraby, widzianej na tle brudnoróżowego nieba. Koloryt był lokalny, dlatego morze przypominało rude włosy po trwałej ondulacji. Wszystko tu było nadmorskie albo przybrzeżne. Bekasy zanurzały dzioby w błocie, w śladach dziecięcych stóp. Podczas sztormu morze przypominało ostrze piły trackiej, a pomrukiujące chmury zbliżały się coraz bardziej.

Lou nigdy nie zdecydowałaby się na laserowanie chmur, tak jak nigdy nie zabiłaby dziecka.

Jednego wieczoru spośród wielu tych, które składały się na dwadzieścia środkowych lat jej życia, Lou przyglądała się, jak Pete wybiera sucharem sos z talerza. Dała mu już tego dnia pocztę: dostał list z Camden, pisany ręką Deary. Wyrzucił go, nie próbując nawet ukryć uśmiechu. Lou potrafiła sobie wyobrazić, czego boi się Pete: że ojciec jasno daje mu do zrozumienia, że nie chce mieć z nim więcej nic wspólnego, Pete wyprowadził się już do dwupokojowego mieszkania dwie ulice dalej. Tańczył tak, jak grali mu przyjaciele i ich styl życia. Minęły lata, zanim ona i Maytree pojęli, że nie pójdzie na studia, tylko na morze, choć kiedy myła dawniej buzię małemu Petie'emu, napręzał mięśnie tak mocno, że skóra jego twarzy czerniała niczym opona.

Niewielu mężczyzn kocha swoje żony tak bardzo, jak swoje córki, i niewiele kobiet, a może nawet żadna, nikogo nie kocha tak mocno, jak własne potomstwo.

Przybrani rodzice kochają adoptowane dzieci równie gorąco. Lou często tęskniła za maleńkim Petie'em, którego już nie było - za ogarniającymi go od czasu do czasu napadami ziewania, za widokiem jego niezwykłych pośladków i za tymi chwilami, kiedy oboje w oszołomieniu wpatrywali się w siebie, przytuleni nos w nos. Mały dopasowywał się do jej ramion tak, jak gdyby to on i Lou pierwsi wymyślili, jak należy nosić dzieci na rękach. Petie zawsze poklepywał ją po ramieniu w rytm jej kroków. Kiedy przestawał, zatrzymywała się, a jeśli poklepywał ją coraz szybciej, przyspieszała. Petie nią sterował - konali razem ze śmiechem.

Potem myła jego paskudnie tłuste włosy, zachwycała się jego plecami i wycierała mu ręcznikiem główkę pachnącą parą wodną. Dopóki jej na to pozwalał, przy pomocy igły wyciągała mu z podeszew stóp drzazgi i kolce nadmorskich głogów - ale ci wszyscy Petie'owie i Pete'owie zniknęli. Właśnie za nimi tęskniła, za tymi chłopcami, którzy zostali zapisani przez czas jak palimpsest. Przy zielonym stole siedział teraz ich następca, zgarniając okruchy na talerz. Przyjaciele Pete'a przyszli zaprosić go na przyjęcie, na które żaden z nich nie chciał iść bez niego. Pete był dobroduszny, ale czy mógł być również duszą towarzystwa na przyjęciu? Czy Lou znała chociaż jednego hałaśliwego rybaka?

Przyjaciele wyciągnęli więc Pete'a na imprezę, a ją czekała konfrontacja ze zlewem.

Bardzo, naprawdę bardzo chciała znów zobaczyć tych wszystkich wypartych, wysiedlonych Pete'ów i Petiech! Wyobraziła sobie, że zsuwa na plaży stoły piknikowe i nakrywa je dla dwudziestu dwóch Petiech i Pete'ów, stu dwudziestu dwóch albo i więcej, w zależności od tego, jak bardzo byłaby zachłanna tego dnia i na ilu chłopców dałby się podzielić jej syn.

Wszyscy synowie Lou w każdym wieku i różnego wzrostu - pachnący pieluchami, gumowymi smoczkami, przesiąkniętym solą, piaskiem, smarem rowerowym, kredkami, piwem, konopiami manilskimi, olejem silnikowym i rybą - czekaliby na obiad. Kto poza nią mógł wiedzieć, co lubią jeść? Musiałby to być cholernie długi stół. Dała sobie minutę, żeby im się przyjrzeć - jednemu Petie'emu po drugim. Siedzieli boso koło swoich braci z przeszłości i z przyszłości. Szczypali się, dokuczali sobie albo przepychali się i nikt oprócz niemowlaków nie zwracał uwagi na niemowlaki. Która matka nie chciałaby znów zobaczyć swoich dzieci? Kiedy takie marzenia wymykały się jej spod kontroli, Lou mówiła o sobie, że jest „biedną mamą”. Bała się jej, bała się tej okresowo przyjmowanej roli zrozpaczonej i nieszczęśliwej matki. Lou zauważała ją z daleka - unosiła się w długiej spódnicy nad wydrami, z twarzą ukrytą w dłoniach. Udzielała wiedźmie krótkiej audiencji, żeby się zamknęła, i częstowała ją herbatą w kubku. „Biedna mamó” - mówiła współczująco. Jej dziecko dorosło.

Dostała list z banku. Ojciec, który porzucił ich rodzinny dom w Marblehead i nigdy nie powrócił, umarł w Edgartown - przez tyle lat był tak blisko, na miejscu, chociaż uciekł - i zostawił jej w spadku pieniądze, którymi podzieliła się z Pete'em. Założyła sobie za nie telefon, żeby Pete mógł się z nią skontaktować z każdego portu na świecie.

Wysłała list do Maytree'ego i Deary, żeby nie przysyłali jej więcej alimentów. Opisała im także nową łódź

Pete'a i szczegółowo opowiedziała o jego wyprawach rybackich. Donosiła też, że Jane Cairo zakotwiczyła na wybrzeżu już na dobre. Lou napisała do Maytree'ego i Deary głównie po to, by przekonać ich, że jest zadowolona z życia, pełna dobrej woli i od dawna niczego nie żałuje. Podsunęła im pomysł, żeby przyjechali na wakacje na Cape. „Wszyscy za wami tęsknią. Proszę, przyjedźcie i zatrzymajcie się u nas albo przenieście się tu z powrotem na stałe!”. Czy trochę nie przesadzała? No cóż, oboje ją znali.

Przez kilka następnych lat namalowała zaledwie dwa płótna, na które mogła patrzeć bez obrzydzenia.

Pierwsze przedstawiało rozdarty kapok, pokryty grudkami czerwonej wyściółki jak zakrzepłą kwią, niebieski latawiec na tratwie z martwym żeglarzem i jak gdyby musujące niebo. Natomiast na drugim obrazie widniała chmura, cirrus, unosząca się nad leżącym na wydmach zardzewiałym bojlerem. Znowu zaczęła czytać pisarzy rosyjskich, znała chyba wszystkie ich powieści, a poza tym Willę Cather, Miasteczko Middlemarch, Hardy'ego, Hemingwaya, Conrada i tak dalej.

Pewnego wieczoru Jen i Barrie truli jej tak długo, że wreszcie zgodziła się pokazać kilka swoich płócien na wystawie, którą organizowali dla miejscowych artystów. Wieczorem, dzień przed jej otwarciem, użyła własnego klucza, by włamać się do galerii i wykraść z niej swoje obrazy.

Trzy lata po wyrzuceniu listu od Deary do śmieci Pete nocował na swojej łodzi na wodzie. Był w czerwonych butach rybackich, jadł konserwowe parówki i nabierał apetytu na staroświeckie żeglarstwo. Wyobrażał sobie, że płynie na rejoycu okrążającym przylądek Horn i kiedy widzi, że jedna z fal południowego morza zaraz przewróci żaglowiec, wspina się na nok rei, przekłada nad nim nogę, a z buta wylewa mu się woda.

Widział, jak zielone morze skrobie pokład, zatapia rejoyec i cofa się, ciężkie jak ziemia. Ale jego statek wpływał na jedno morze po drugim, tonął i znów się wyłaniał na powierzchnię, ociekając wodą. Pete lubił czytać, tak jak jego rodzice. Wiedział więcej o przylądku Horn niż o Bostonie.

Na wachcie nie zwracał uwagi na to, że marzną mu ręce, dlaczego więc nie mógłby zobojętnieć na inne wrażenia zmysłowe, zamiast skubać przynętę i dać się złapać na haczyk?

Dawno temu, kiedy był jeszcze chłopcem, usiłował sobie wytłumaczyć, że nie czuje do ojca nienawiści. Przez jakiś czas ta metoda odnosiła skutek, aż wreszcie lata milczenia spiętrzyły się niczym góra.

Zrobiło mu się gorąco, jakby się smażył w panierce.

Bezwiednie wyobraził sobie, że tych dwoje w Maine robi wiadomo co. Nie czuł do nich nienawiści. Obserwując świat, przekonał się, że nienawiść to w ogóle rzadkie zjawisko, bo w pierwszej kolejności człowieka niszczą zazdrość i zawiść. Inni żyją w spokoju, nie łamią sobie głowy takimi sprawami. Rybackim współnikiem Pete'a był syn Soonera Roya. Gdyby mieli większą łódź, mogliby łowić na Georges Bank w zimie i w zatoce Maine. Połowy na otwartym morzu były obfite - halibut i miecznik, a zimą niekończące się ławice dorsza.

Dopóki nie wytrzasną skądś większego kutra, będą ręcznie łowić na wodach przybrzeżnych turboty, fladry, łupacze, łososie, witlinki, czarniaki i okonie morskie. Jako przynęty na okonie

używali maleńkich tasergali, krojonej ośmiornicy i rekinków natalskich.

Firma Pete & Co. posiadała również włók na makrele i statystycznie dokonywała udanych połowów - jeżeli przyzwoity połów to połów udany. Raz na kilkadziesiąt lat na tym czy innym oceanie uśmiechało się do kogoś szczęście i udawało mu się rozbić bank, bo zdarzał się na przykład połów makreli, śledzia albo innej ryby wart kilkaset tysięcy dolarów.

Możliwe, że Grenlandczycy dokonywali takich połowów koło Ziemi Baffina, a rybacy łowiący na włók zdobywali podobne ilości łososia pięć tysięcy kilometrów dalej, w cieśninie Haro. Możliwe też, że sumy wymieniane w dolarach pęczniały w ich ustach do rozmiarów kłamstwa. Mimo to taki połów już na zawsze wyznaczał

standardy dla innych. Heaton Vorse, syn sąsiadów, widział kiedyś, jak z pewnego kutra wyładowano sześćdziesiąt dwie i pół tony halibuta, bo w wyobraźni rybaków każdy wielki połów zdarzał się niedawno i niedaleko. Pete słyszał o połowach tak obfitych, że pod ich ciężarem kutry zanurzały się aż po okrężnice. Jeden facet - gdzieś, kiedyś - nie chciał

wyrzucić ładunku, pod którego ciężarem tonął jego kuter. Nie chciał wyrzucić ryb, wartych po pięćdziesiąt centów za sztukę. Wiedział, że łódź zatonie, zanim dotrze do portu, ale udało mu się jakoś dopłynąć do statku handlarza rybami, który wciągnął go na pokład razem z łodzią w sieci. Załoga statku przerzuciła ryby z kutra rybaka do swoich ładowni, a potem posadziła łódź z powrotem na wodzie. Kiedy o tej historii usłyszeli inni członkowie miejscowej floty rybackiej, uznali, że uratowanie ładunku owego rybaka nie było całkiem fair.

Pete mnożył potencjalną wagę połowu przez potencjalną cenę danego gatunku ryb w przyszłym roku.

Mógł dostać około sześciu tysięcy dolarów za jeden połów makreli. Wtedy może odważy się odezwać do

Marie Koday. Widział sypiące się gęsto na pokład rybie łuski przypominające dublony

- złote monety, które ciągną przeciążone kosze w dół, na głębokość dwóch tysięcy sążni, jakiej nie są w stanie osiągnąć słabsze jednostki. Ale nikt by mu tego nie zazdrościł i nikt nie byłby zawistny, bo Pete nikomu niczego nie zazdrościł i nie znał uczucia zawiści.

Na brzegu High Head pojawiły się reflektory samochodu, oświetliły deszcz w stożkowatych snopach światła i podjechały bliżej. Pete zagwizdał przez zęby Nel Blu, Dipinto di Blu. Czy jest w stanie przewyciężyć bezwartościowe myśli, wznieść się wyżej i pracować niejako ponad nimi? Czy jest w stanie pozwolić im przychodzić i odchodzić obojętnie, niczym drobnym rybkom kręcącym się wokół jego nóg? Po prostu brodzić wśród nich i pozwolić się obmywać falom?

Mógłby zbudować bocianie gniazdo na grotmaszcie.

Swoim życiem, myślami, lina po linie, deska po desce zbuduje bocianie gniazdo, pracując nad nim tak długo, jak będzie trzeba. Gdzieś dalej mieszkał jakiś Pete o czystym sercu, który brał to, co przynosi mu życie.

Był niczym biały posąg, któremu dzikie morza obmywają cokół i nogi, posąg strzegący portu o wodach tłustych od smaru; czujny i spokojny.

Nadeszło późne przedpołudnie, a w powietrzu unosiły się roje czarnych muszek.

Maytree nadzorował właśnie pracę dźwigowego, który zawieszoną na żurawiu stalową kulą rozbijał ściany domu po drugiej stronie moczarów, kiedy na teren rozbiórki wjechała swoim nowym buickiem Deary. Maytree wyciągnął sześciocentymetrowy gwóźdź i poczuł, jak jego gorący szpic stygnie mu w palcach.

Deary przywiozła widelce, Iniane serwetki i placek z rabarbarem. Miała na sobie skórzaną marynarkę i kaszmirową apaszkę.

- Czy nie tłumaczyłam ci kiedyś na Cape Cod, dlaczego lubię być biedna? - zapytała.

Bo nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Firma Lord & Taylor знаła już wtedy wymiary Deary, która zamawiała u nich rocznie trzy spódnice, z osiem wzorzystych bluzek od McMullena, „pepegi” (jak mówiła) na niskim obcasie i niebieskie sweterki - splot szydełkowy, warkoczowy ścieg... Nigdy nie przypuszczała, że będzie jeszcze kiedyś pamiętać o takich rzeczach, jak powiedziała Maytree’emu, który od razu pomyślał: „Czyli o czym?”.

Zreflektował się dopiero, kiedy na zjeździe absolwentów jej uczelni zobaczył, że Deary przypomina inne zamożne żony, a nawet przyćmiewa je swoim blaskiem. Co kazało jej teraz zostać damą? Miała sześćdziesiąt dwa lata i fotel w kształcie dłoni już dawno się rozpadł, ale ku radości matki Deary przyjęła teraz od niej rodzinne meble, rzeźbione w wiśniowym drewnie, a także sztuce, talerze, pościel i biżuterię.

Właśnie dlatego stara matka Deary krzyczała do słuchawki: „Wiedziałam, że to był

tylko kaprys z twojej strony!”. Maytree zrozumiał wtedy, że mama ją uwielbia bez względu na to, jak Deary żyje i co robi. Starsza pani cieszyła się po prostu, że jej meble z wiśniowego drewna pozostaną w rodzinie. „Niewykluczone - pomyślał Maytree - że i ona chciałaby jeszcze pozostać - przy życiu”.

Matka Deary mieszkała na szczycie góry usypanej ze spadków dwóch starych rodów ze Stockbridge.

Zanim posłała Deary do MIT, zapisała ją do Concord

Academy i Smith College, a na grobach wszystkich jej znajomych kamieniarz mógłby wykuć napis: „MIAŁ/

MIAŁA DOBRY GUST”.

Maytree osobiście widział matkę Deary tylko raz w życiu, gdy dumnie wyprostowana przejeżdżała kabrioletem po Commercial Street.

Na głowie miała kapelusz o skośnie ściętym rondzie i niedbale przytrzymywała kierownicę dwoma palcami, u dołu. Wkrótce po przewiezieniu wiśniowych mebli do Maine zapadła na śmiertelną chorobę i Deary zamieszkała na pół roku w Nowym Jorku, żeby się nią opiekować. Opróżnienie mieszkania po jej śmierci trwało kolejny miesiąc. Maytree’emu wydawało się wtedy, że nieobecność Deary go zabije.

Po jej powrocie Maytree wymienił się książkami, które przysły z Blackwell’s, ze swoim nowym przyjacielem z Maine, uprawiającym ekspresjonizm abstrakcyjny malarzem, który przy pracy

słuchał muzyki

Brubecka. Pewnego zimowego dnia Toby jeździł z nim po zamrzniętym stawie bobrowym na łyżwach, którymi przecinali nawzajem swoje cienie.

- Powinniśmy kupić ziemię wokół tych stawów - powiedziała Deary tego wieczoru. -

A ty możesz budować na ryzyko.

Skąd ona zna ten fachowy język?

- Powinniśmy kupić wszystkie wolne działki na nabrzeżu - dodała Deary, zwracając się w stronę jednego ze swoich ogromnych luster, i Maytree spostrzegł, że wypatruje jego reakcji.

„Rób, co możesz, żeby była szczęśliwa” - pomyślał Maytree.

- Myślisz, że stać nas na działkę na nabrzeżu?

- Będzie nas na nią stać, jeżeli zaczniesz pracować w pełnym wymiarze godzin.

„Czy ona jeszcze dużo potrzebuje do szczęścia?”

- pomyślał Maytree.

Jej włosy ładnie się układały po trwałej. Maytree uważał, że wyglądają jak Peaked Hill Bars w czasie odpływu. Pewnego wieczoru, szykując się do wyjścia, przymierzała kapelusik z nakrapianą szarfą, manipulując nim nad rzędami równoległych fal swoich farbowanych włosów. Zaczynała przypominać brytyjską królową matkę. Była piękną, dobrze zbudowaną kobietą, w dodatku jego małżonką.

Maytree wiedział, że Lou czyta jego listy do Corneliusa. Dlaczego nie? Kochał ją i już dawno zabronił wracać do niej swoim najskrytszym myślom: bał się usłyszeć, że go nienawidzi. Ale teraz już chyba odpuściła? Tak wynikało z jej listu: nawet zaprosiła ich do siebie. Czy Lou nie myśli o nim czule, ale bez żalu, podobnie jak on o niej? Bo Maytree myślał o Lou z czułością, chociaż niezbyt często i zaraz mówił sobie, że ma przestać. A Cornelius co roku namawiał go, żeby wrócił.

Maytree nie mógł nigdzie w Maine znaleźć takiego notesu w czerwone cętki, jaki po raz pierwszy kupił sobie ponad dwadzieścia lat temu, zaopatrzył się zatem w Camden w całą paczkę notesów w cętki czarne i robił różne przypadkowe notatki. Na grzbiecie jednego notesu przykleił czerwoną wstążkę i opatrzył ją literą M. Prędzej go szlag trafi, niż napisze

„Miłość”. Toby badał nie miłość, tylko świadomość, ale ciągle jeszcze zostawiał sobie czas na czytanie książek.

Pewnego upalnego dnia pił z przyjacielem na schodach za domem. Tym przyjacielem był pewien ostrzyżony na rekruta olbrzym o wyglądzie szubienicznika, który podsunął kiedyś Maytree'emu Henry'ego Greena i Borgesa, a teraz zapytał go, czy lubi Stevensona. Maytree wyciągnął kilka starych notesów. „Małżeństwo to krok tak ponury, poważny i ostateczny, że pociąga lekkomyślnych lekkoduchów już nawet samą swoją okropnością” - przeczytał.

W tym samym notesie Maytree znalazł cytaty z Pod drzewem, pod zielonym. Ktoś w tej powieści

zastanawia się nad parą zakochanych - jak oni mogą się kochać? Przecież w ogóle do siebie nie pasują. „A juści - powiada pojawiający się nagle wieśniak. - Takie jest to choróbsko. Mocniejsze niż obojętność, chytrność i syćko na świecie!” Maytree czytał na głos, a jego przyjacielowi spodobało się określenie Baudelaire’a, który miłość fizyczną nazwał „liryką dla mas”.

Kiedy jego przyjaciel już poszedł, Maytree znalazł

Deary w domu. Obsługiwała telefon niczym haubicę.

Przygotowywała niemal identyczne plany i projekty elewacji dla wszystkich kontrahentów i bawiła się kształtami dachów. Ona i Maytree wciskali każdemu nowemu klientowi czy klientce, że ich poglądy w kwestii wystroju sypialni, kuchni, łazienki, salonu albo ganku znamionują oryginalny gust.

Tego wieczoru Maytree i Deary spodziewali się dziesięciorga gości na obiedzie. Na rozsunętym stole z wiśniowego drewna, na lnianych albo koronkowych serwetkach Maytree uszeregował falangi srebrnych sztuczków i kryształowych naczyń. Coś mu się wydawało, że dzisiejsi dystyngowani goście będą gadać o tym, co przeczytali w gazetach. Niektórzy z nich sami pisywali wspaniałe artykuły i książki. Dlatego, jak sądził, wiedzieli więcej o wszystkim, niż człowiekowi potrzeba do życia towarzyskiego, chociaż na pierwszy rzut oka nie dałby za nich trzech groszy.

Kiedyś spotkania ze znajomymi były łatwiejsze. Czy to znaczy, że się zestarzał? A komu może się podobać życie towarzyskie dorosłych? Gra w ping-ponga wywoływała wśród nich tylko śmiech, w przeciwieństwie do innych, szacownych form rozrywki. Toby i Deary marnowali swoją wielką jadalnię o kilku oknach na urozyste obiady, zamiast bawić się ciągle przy muzyce. Starzy Portugalczycy (czyli, jak sami o sobie mówili, „lizboni”) i Azorczycy (czyli picos) z Provincetown lubili grać w wista, śpiewali fado albo zabierali wnuki w rejsy na swoich łodziach. Maytree zawsze zazdrościł im głośnych zabaw. Ale cóż, nie zmieni Maine w pojedynek.

Kiedy uprzątnęli jadalnię po przyjęciu, pomógł zasapanej Deary wejść na górę i położyć się do łóżka. Potem zszedł na dół i na schodach, przy lampce wiszącej nad tylnymi drzwiami, zaczął przeglądać swój inny stary notes w czerwone cętki. Wciąż go intrygowało, co napisał kiedyś pewien krytyk sztuki o poezji Michała

Anioła: „W mniej więcej dwudziestu wierszach środkowego okresu obserwujemy coraz większe napięcie, albowiem poeta, który ciężko pracuje nad ukończeniem fresków do Ostatniej Wieczerzy w Kaplicy Sykstyńskiej, cierpi męki miłości do dwóch kobiet i mężczyzny jednocześnie”. „Męki?” - pomyślał Maytree.

Kilkadziesiąt lat lektur usprawiedliwiało jego domysły, że mężczyźni i kobiety, wyjąwszy może pięć procent populacji, kochają mniej więcej tak samo.

Książki zarówno męskiego, jak i kobiecego autorstwa dowodziły jednak tylko tego -

choć było to już coś - że przynajmniej od czasów wynalezienia pisma miłość obezwładnia w identyczny sposób wprawdzie ogromną większość, lecz nie wszystkich ludzi - tylko tych, którzy próbowali kiedyś coś napisać. Ale to nieobiektywny przykład.

„Dbaj o swoje przyjaciółki, kochanie” - Reevadare powiedziała dawno temu Lou, ale ona przestała interesować się przyjaciółkami, od kiedy poznała Maytree'ego. Gdy odszedł, ludzie obdarzyli Lou nieproszoną godnością, jaką przyznaje się zwykle kobietom świeżo owdowiałym albo laureatom Nagrody Nobla.

Znajomi obwiniali ją za swój własny chłód, sądząc, że wzbudza w nich takie, a nie inne uczucia, bo ma zbyt wysokie mniemanie o sobie. Lou dostawała od tego wszystkiego szału. Na przyjęciach tańczyła wszystkie zwariowane tańce, bawiła się w kalambury, które w jej wydaniu bywały zaskakujące, śpiewała piosenki harcerskie - robiła dosłownie wszystko, chyba tylko nie stawała na głowie. Poza tym nie mogła sobie wyobrazić pogodniejszej i wierniejszej przyjaciółki niż - jak się okazało - Jane Cairo. Jane wydawała się nie darzyć Lou niechęcią i nie zazdrościć jej tego, co Lou miała z natury albo przez przypadek - na przykład wysokiego wzrostu i bycia żywą legendą.

Jane często odwiedzała na wydmach Lou albo Corneliusa, albo oboje. Pewnego razu zaprosiła Lou do chatki Corneliusa pod jego nieobecność. Siedząc na łóżku, Lou patrzyła, jak Jane nalewa wodę chochlą. Po chwili odwiesiła ją, zrobiła trzy kroki w stronę łóżka, podniosła rękę i - łup! - przygwoździła do ściany wielkiego czarnego węża, który pełzł coraz szybciej, zbliżając się do Lou. Przytrzymując mu łeb kciukiem jak pchle, Jane wydawała się nakłaniać gada, żeby dał się złapać, a potem oderwała go od ściany. Kiedy owinał się połową ciała wokół jej ramienia, Jane, jakby do kadryla, podsunęła mu drugie. Wąż owinał się również wokół niego i równomiernie rozłożył ciężar ciała między obiema rękami swojej poskromicielki. Miał prawie dwa metry długości i był bardzo gruby.

- Uspokajają się, kiedy już do nich dotrze, że zostały schwytane - powiedziała Jane.

Była niskiego wzrostu i krótkowzroczna, jak jej rodzice. Potem wypuściła węża na wydmy, dodając: - Niech pożera myszy.

Czy ludzie, którzy nie boją się węży, nie zaprzeczają swojej naturze ludzkiej? I czy to znaczy, że są kulturalni? Wykształceni?

Jane mówiła dalej, przymykając powieki:

- Dlaczego one zawsze muszą być takie wielkie?

Widziałaś kiedyś małego węża tego gatunku? Wyobraź sobie ich jaja. - Spojrzała na Lou, która nawet nie mrugnęła okiem. - Och, ty i ten twój kamienny spokój! - Lou roześmiała się i rozlała wodę.

Odkąd stała się dorosła, tylko Maytree drwił z niej i drażnił się z nią jak z kimś równym sobie i dopiero teraz także Jane. Jakże to wielkoduszne z jej strony. Jane pracowała w Stowarzyszeniu dla Sztuki i często się widywały, a jej erudycja zdumiewała nawet Lou.

Jane rzuciła łotrowskie spojrzenie zza okularów, postukała się palcem w skroń na wysokości oprawek i powiedziała:

- Moja stalowa pułapka!

Lou wracała do domu po wydmach. Odpływ był bardzo silny i pomyślała, że przypominająca arkusz blachy gładź mułu wydziela zapach księżycy.

Reevadare dość dobrze wiedziała, co mówi, kiedy radziła Lou, by dbała o swoje przyjaciółki. Jane miała wtedy kilkanaście lat. A skoro już mowa o wieku, to Reevadare na tamtym przyjęciu nie mogła mieć wiele więcej niż pięćdziesiątkę.

Tymczasem Lou skończyła w tym roku już pięćdziesiąt osiem lat. Czy zatem Lou jest teraz stara, czy raczej Reevadare była wtedy młoda? Lou nadal czuła się młodo. Dotknęła swoich ust.

A więc to Reevadare była wtedy młoda? Miała żyłaste ręce, pokryte plamami wątrobowymi dłonie i twarz, piskliwy głos, używała za dużo szminki, wielokrotnie wychodziła za mąż, a jednak Reevadare... była wtedy młodsza niż Lou dzisiaj? Nie chodzi o to, by starzy ludzie w ogóle nie wierzyli, że byli kiedyś młodzi - ale nie mogą uwierzyć, że byli młodzi tak długo. Co zatem oznacza starość? Zapewne... pójdzie w odstawkę.

W któreś wietrzne Święto Dziękczynienia Lou towarzyszyła państwu Cairo z wizytą u Jane, która stała za ladą w Stowarzyszeniu dla Sztuki, sprzedając obrazy, zdjęcia, plakaty i czasopisma. Uczni akademicy, rodzice Jane, w których letnim domku nad zatoką mieszkała, wciąż czekali, aż skończy - to znaczy napisze - swoją pracę doktorską. Tymczasem ich genialna córka trzepotała się bezradnie w stojącej wodzie na jakiejś głuchej prowincji, gdzie numery telefonów były zaledwie czterocyfrowe. Nie obroniła więc pracy, ale czy chociaż ją napisała? Jane stanęła oko w oko z ojcem, a jej oczy za szklami okularów wydawały się mniejsze niż w rzeczywistości.

- Widzisz, że nie opłaca mi się pisać doktoratu.

Z łatwością mogła się obronić. Zacytowała Einsteina, który na temat swojej pracy doktorskiej powiedział: „Znudziła mi się cała ta komedia”. W drodze powrotnej Elaine Cairo zaapelowała do Lou z zażenowaniem:

- Pomóż jej znaleźć jakiegoś ambitnego faceta, który byłby dla niej przykładem.

Letnicy uwielbiali Cape Cod, lecz ani przez chwilę nie wierzyli w jego autentyczność.

Lou wywnioskowała więc, że prawdziwe są dla nich tylko drapacze chmur albo opery, ale domyśliła się w końcu, że dla państwa Cairo naprawdę istnieją wyłącznie uniwersytety.

Twierdzili, że skoro ich córka i tak buja w obłokach w Provincetown, zamiast pisać rozprawę doktorską, to mogłaby ocieplić i pomalować im dom oraz wymienić dach. Jane spełniła ich życzenie. Kiedy zostawała sam na sam z Lou, opowiadała jej różne złośliwe historie o swojej matce. Gardziła jej akademickim światopoglądem i mówiła, że traktuje ojca jak szmatę.

Lou pomyślała, że Jane przybywa lat, skoro nie szuka przyczyny swojego rozgoryczenia poza samą sobą.

Często widziała z chatki na wydmach, jak Jane z trudem wlecze się po piasku, żeby odwiedzić ją albo Corneliusa. Nie widziała w tym nic dziwnego, aż wreszcie pewnego lata Jane i Cornelius, starszy od panny Cairo o dwadzieścia lat, wzięli ślub. Jedynymi świadkami

„cywilnej uroczystości były Lou i Edna Reposo, urzędniczka z hrabstwa. Potem przy stole w domu Lou Cornelius odkorkowywał kolejne butelki. Lou przyjrzała mu się z profilu -

zza jego brody ledwo było widać elegancką muchę. Więc Cornelius w swojej chatce na plaży trzymał w komodzie muszkę? Przenocował wtedy w Provincetown, w domu państwa Cairo, ale następnego dnia zatelefonowała z Upper West Side matka Jane, Elaine, i wykopała między nimi topór wojenny.

Dom Reevadare na West Endzie plamiły rozbryzgi kwitnących malw. Może dlatego malujący tą techniką malarze często wybierali go na temat swoich dzieł.

Jane Cairo stanęła pod furtką w tej samej chwili co

Lou. Włosy Jane przytrzymały dwie spinki do włosów i gumka, a w kącikach jej szerokich ust powstawały dwa ciemne trójkąty, kiedy tylko się śmiała albo uśmiechała. Lou odgadła, co się święci - przyjrzała się jej uważnie i domyśliła się, że Jane jest w ciąży.

- Wyglądasz cudownie - Jane zwróciła się do

Reevadare, chociaż garb na plecach gospodyni, zwany przez nią Surtsey, sterczał już niemal wyżej jej głowy.

- Ach, słonko, mam dość problemów, nie muszę jeszcze do tego dobrze wyglądać.

Reevadare kiedyś do nikogo nie powiedziała

„słonko” - grała na swoim podeszłym wieku jak na kontrabasie.

- „Tragedia starości - powiedziała Jane - nie polega na tym, że jest się starym, lecz że jest się młodym”.

Reevadare posadziła je przy czerwonym stole w ogrodzie, gdzie niewidoczny drozd śpiewał na barokową nutę. Wiatr skręcał na wschód, łamiąc linię zimnego morza.

Jane i Cornelius zdecydowali się zamieszkać osobno. A jeśli będą mieć dziecko?

„Będą mieszkać osobno zwłaszcza wtedy, kiedy urodzi się dziecko” - pomyślała Lou.

Cornelius twierdził, że nie znosi dzieci jako takich, podobnie jak idei dziecka. A w mieście przynajmniej jest pralnia. Poczekamy, zobaczymy.

Reevadare miała przedziałek we włosach opalony na czerwono, bo jak wszyscy zgodnie z aktualną modą nie chodziła już w kapeluszu. Gdy Lou była dziewczynką, starzy ludzie, którzy nadal starali się modnie wyglądać, wydawali się jej równie obrzydliwi jak ci, którzy o modny wygląd już nie dbali. Uszy Reevadare przywodziły Lou na myśl Buddę, a jej herbata pachniała skoszoną trawą. Przy kanapkach z sałatką jajeczną Reevadare zapytała Jane, czy planują mieć dzieci.

Jane odpowiedziała, że Cornelius zawsze chciał mieć córkę i nazwać ją Tandy na cześć pewnej postaci z Miasteczka Winesburg. Co chciał mieć? Córkę. O imieniu z książki?

- Jeden facet po pijanemu nazywa pewną siedmioletnią dziewczynkę Tandy, twierdząc, że to imię oznacza zdolność... - Jane przechyliła głowę w lewo, dzięki czemu widać było zarys jej szczęki. - Że Tandy oznacza... „Zdolność ta polega na tym, że ma się dość sił, żeby być kochanym. Tego właśnie mężczyźni od kobiet oczekują i tego nie mogą otrzymać”.

Dlaczego ktoś chciałby obarczać dziecko wymyślonym imieniem, które oznacza, „że ma się dość sił, żeby być kochanym”? Ale Jane odparła, że imię całkiem się jej podoba.

Tandy Blue?

Lou po raz kolejny zadała sobie pytanie: co się dzieje z ludźmi w dolnej części Cape Cod, na piaszczystym cyplu na środku oceanu? Co takiego dzieje się tu nawet z ludźmi inteligentnymi i wykształconymi, że w końcu wzbijają się w niebo niczym krowy Chagalla?

Jak to możliwe, że sublimacja czyni z twardzieli metafizyków bez kręgosłupa?

Mózgownice miejscowych mieszkańców najczęściej zamieniały się w galaretę - albo ludzie z przesytu światłem doznawali rozdwojenia jaźni, chociaż nie rozszczepiali się przecież jak światło w pryzmacie. Lou uznała, że na dolnym Cape

Cod stosunek gazów i płynów do ciał stałych musi być niepojęty. Poza tym zgadzała się z wieloma tubylcami, którzy jak ona (a także Maytree, Deary i Jane) uważali, że rozsądek nakazuje im nie marnować krótkiego życia na kultywowanie i okazywanie dobrego smaku.

Komu?

Lou poczuła się tak, jakby czytała książkę.

- Ciekawe, czego kobiety oczekują od mężczyzn, a nie otrzymują... - zadumała się Jane w ogrodzie Reevadare.

- Przydałaby się im odwaga - powiedziała Reevadare. - Wszyscy moi mężowie byli strachliwi, co do jednego. - Zaśmiała się i zaczęła wymachiwać plamistymi rękami, a Lou wydało się, że już ich przeboleła - co do jednego.

Pewnego śnieżnego sobotniego poranka, gdy w telewizji szła jakaś animowana reklama, Deary spytała

Maytree'ego:

- Czy wiesz, że kiedy mieszkałam jeszcze w Provincetown, widziałam aury dzieci?

Aura Petie'ego była wtedy niebieska!

Owszem, wiedział o tym, a Deary coraz częściej opowiadała mu w kółko jedno i to samo. Kiedy zauważył, że rozstraja go niczym wiatr albo fał, który przewraca maszty?

Przysięgał wierność ich wspólnemu życiu, nie każdemu jej słowu.

Wszedł do swojego gabinetu i potarł twarz, gdy w telewizji orkiestra zagrała uwerturę Chłop i poeta.

Królikowi Bugsowi pewnie dobrze się powodzi.

Maytree bardzo kochał Deary od prawie dwudziestu lat. Czy na pewno? Często słuchał jej w napięciu, od dawna i bez skutku próbując w śnieżnej lawinie takiej czy innej opowieści znaleźć ten jeden płatek, który zdaniem Deary mógł go interesować.

Wcześniej, gdy był z Lou, potem z Deary, a teraz znowu, Maytree powracał do następującego pytania: dlaczego miłość się powtarza, chociaż zawsze wydaje się absolutna?

Dlaczego ciągle się powtarza? I dlaczego miłości za każdym razem się wydaje - choć skąd miłość mogłaby o tym wiedzieć z taką pewnością? - że znowu stała się wieczna i absolutna?

Otworzył notes i znalazł fragment listu Kafki do Felicji Bauer: „Nie mam bardziej szalonego i większego życzenia niż to, żebyśmy zostali nierozzerwalnie ze sobą związani za ręce”.

Oczywiście Kafka pisał listy do swojej ukochanej tylko w okresach rozłąki. Listy miłosne nie tyle dokumentują długie godziny codziennej miłości, ile je poprzedzają. Dzisiaj, po latach spędzonych w Maine,

Maytree zastanawiał się, czy Kafka kiedykolwiek zrozumiał, że być związanym z Felicją za ręce było życzeniem bardziej obłąkanym, niż sobie wyobrażał.

Zaczął na pustej stronie. Wyłożył trzy powody, dla których miłość powraca. Być może każdy człowiek wypełnia albo hoduje pod brodą olbrzymie wole miłości, którą oddaje bez reszty kolejnym wybrankom.

W takim wypadku obiekt naszej miłości jest czymś w rodzaju wieszaka na kapelusze.

A może z drugiej strony miłość jest zwodnicza? Serce nigdy niczego się nie uczy i ciągle wyrwa do przodu, przez całe życie, ku gumowym wabikom myśliwskim, kryjącym zdradliwe haczyki. I wreszcie, po trzeciej, może Maytree nigdy nie kochał Lou, nie mówiąc już o swoich wcześniejszych dziewczynach, a dopiero kiedy nauczył się miłości i naprawdę zaczął kochać, znalazł wreszcie prawdziwą partnerkę w Deary.

F. Kafka, Listy do Felicji, przeł. I. Krońska.

Wszystkie te trzy teorie okazały się apostatyczne, nawet zazwyczaj kusząca hipoteza

„w końcu znalezionego prawdziwego partnera”, na którą zarówno Maytree, jak i Deary byli już zbyt doświadczeni. Apostatyczne, bo powiadały, że miłość między mężczyzną a kobietą, ale także miłość w ogóle, między dowolnymi partnerami, trwająca dłużej niż osiemnaście miesięcy, czyli tyle, ile według naszych uczonych trwa pierwsze zauroczenie, to nic więcej jak tylko fantazja, teatr, siła inercji albo konformizm. Maytree’emu zdawało się to coraz bardziej prawdopodobne, choć wiedział, że mimo wszystko kochał Lou przez tamte długie lata - i ciągle ją kocha. Ponieważ jego teorie okazały się apostatyczne, nie miał dobrego wyjścia, chyba że przesłanka - zakładająca, że w ogóle istnieje coś takiego jak miłość i że się ona powtarza - okazałaby się fałszywa, bo to by sprawiło, że apostazja stałaby się zwrotem ku prawdzie, jak w przypadku

Galileusza. Ale w takim razie o czym jesteśmy najgłębiej przekonani i co daje nam nadzieję, którą żyjemy?

Czy romans to hierofania, czy raczej sidła zastawione przez jakiegoś sokolnika, mocno ściskające kulturę za nogi niczym ptaka? Lukrecjusz powiedział, że miłość to jedynie dreszcz rozkoszy, z którego korzystają ssaki, by się rozmnażać. Ale Lukrecjusz też wypił

eliksir miłosny, zakochał się i w pewnym sensie popełnił samobójstwo, bo pękło mu z bólu

serce, niewątpliwie ku - pomyślał Maytree - tak zwanej ogólnej uciechy.

Jakiś czas potem Deary powiedziała mu, że ledwo trzyma się na nogach i nie ma więcej siły wspinać się po schodach. Nie może złapać tchu. Ma problemy z kręgosłupem. Jest stara. Boli ją szyja. Czy nie rozmasowałby jej pleców? Czy ciągle ma piękne plecy? A czy Maytree nie mógłby zbudować im aneksu, a w nim większej jadalni, w której zmieściłyby się trzy żyrandole?

Długotrwała miłość, którą studiował Maytree, nie zaś zwykły poryw serca, może być wynikiem odpowiedniego skupienia i siły woli. Można by nawet mówić o zatrzymaniu czy zniewoleniu reakcji. Maytree krążył wokół tego poglądu od lat. Miłość w postaci świadomego aktu woli nie przypomina pierwszego uniesienia miłosnego, pod którego wpływem człowiek rzuca się w przepaść. Może ten okres trwa osiemnaście miesięcy, a może siedem lat, mniejsza z tym, nazywajcie go sobie, jak chcecie, ale nie okresem zauroczenia! W każdym razie trzeba przyjąć go do wiadomości i zdawać sobie z niego sprawę. Uczeni wytropili niedawno chemiczną podstawę tych obliczeń: adrenalinę. Podobno po osiemnastu miesiącach ludzki organizm wzdraga się przed kolejną dawką adrenaliny.

Co wtedy? Maytree kochał Lou przez wiele, wiele lat.

Mniej lub bardziej, chociaż głównie bardziej. Tym latom kochania i ich narzucającej się obecności trzeba także oddać sprawiedliwość. A kiedyś ludzie umierali tak młodo! Może długotrwała miłość to jedna z niewielu premii, jakie dostaliśmy od ewolucji. Antropolodzy powiadają, że niemal każda ludzka kultura na ziemi oficjalnie pochwała monogamię, lecz w rzeczywistości ma ją za nic, i tyle. Maytree jednak skrupulatnie darzył Deary miłością, duchową i cielesną, aby uczynić zadość powszechnym zasadom etyki. Był wdzięczny losowi, że dał mu taką szansę.

Długotrwała miłość między rodzicami nie ma żadnego sensu z punktu widzenia nauki, odkąd ich dzieci poznają tajniki polowania i zbieractwa i są w stanie żyć samodzielnie. A jednak według statystyk, kiedy umiera jedno z partnerów długoletniego pożycia, wkrótce po jego śmierci odchodzi także drugie. Może miłość jest w tym wypadku terminem tak pojemnym, dlatego że zawiera zarówno zauroczenie, jak i wzajemną, wynikającą z przyzwyczajenia zależność? Pieprzyć takie gadanie. Dlaczego? Bo Toby po prostu wiedział, że tak nie jest. To, że coś znajduje się poza zasięgiem szkiełka nauki, nie znaczy, że nie istnieje. W miarę jak

Maytree'emu przybywało lat, coraz częściej wydawało mu się, że długotrwała miłość jest w życiu mężczyzny ważniejsza nawet niż praca, kariera zawodowa i pisanie poezji.

Wbrew własnym oczekiwaniom antropolodzy dowiedli, że ideał długotrwałej miłości oraz jej niezaprzeczone (choć rzadkie) przykłady są niemal uniwersalne i występowały we wszystkich kolejnych kulturach, począwszy od epoki kamienia łupanego.

Powiedzmy, że ewolucja wykombinowała sobie, że stadium zauroczenia powinno trwać osiemnaście miesięcy. To mogłoby wystarczyć, by postawić Dzieciątka na nogi i zadbać o nie, choćby miał się nim opiekować jego Dziadek albo starsze rodzeństwo, a mężczyzna wtedy mógłby odejść i zapłodnić inną kobietę. Dlaczego zatem starzy ludzie zakochują się w sobie? Po co niezłomnie kochać? Uczucie miłości ma dla naszego gatunku tak pierwszorzędne znaczenie, że bywa nie do zniesienia, jak bóle porodowe. Pewien odludek z Wessex powiedział kiedyś, że cały czas już przeminął

|- radośnie i dawno temu. Maytree kochał Lou, jeżeli to była miłość, chociaż mniejsza o to, czy minęła mu wesoło, czy nie. Przeszedł do porządku nad niewątpliwą pewnością, że kochał także Deary, ale przez chwilę, tylko na początku - przez chwilę, którą długo przeciągał. Kochać Deary było jego obowiązkiem. Jest z nią i to dla niej zacisnął na wiosłach palce, które mu szybko zziębły, ale wiosłował dalej.

Lou zawsze żywiła skandaliczną nadzieję, że będzie żyć, jak chce. To anormalny zew, ponieważ cywilizacja oznacza miasta, a miasta - normy społeczne. Ale Lou chciała słyszeć tylko swoje myśli. Podziwiała Diogenesa za to, że ogolił pól

głowy, by siedzieć w domu i myśleć. Czy inaczej można by usłyszeć chociaż jedną oryginalną nutę, jakiś zabłąkany w myślach podmiot z orzeczeniem, choćby i najcichszy, jeśli się rzeczywiście pojawił?

Pchnęła więc rumpel mocno w drugą stronę, zawróciła i wzięła ostry kurs pod wiatr.

Jednoizbowa, coraz bardziej podupadająca chatka na wydmach stanowiła ostatnio jej główne schronienie, z którego wypędzał ją tylko huragan albo mróz. Z biegiem lat odzyskała całą mądrość, którą kiedyś straciła - jeżeli w ogóle coś straciła. Starła się trzymać z dala od pędzącego przed siebie świata. Na rynku w Atenach Diogenes zdziwił się i zachwyił, że na świecie istnieje tyle rzeczy, których on nie potrzebuje. Lou dawno już przestała interesować się modą i słuchać radia, z wyjątkiem transmisji z meczów Red Sox. W ciągu kilku ostatnich lat rozluźniła także więzi z ludźmi, których nie lubiła ograniczając się do prasowania, jadań kolacji na mieście i kupowania niepotrzebnych rzeczy, o które potem należało dbać. Nie przywiązywała wagi do niczego, co jej nie interesowało. Otwierała swoje dni jak piniatę, ciosami maczety. Spadło na nią sto swobód, doczepiała więc lata wolności do swojego życia jak ogon do latawca. Ludzie zazdrościli jej czasu, którego nie miała, bo nie dostrzegali, że wszyscy zawsze mają go tyle samo.

Zatoka, ocean i niebo za dnia nie zmieniały się, Lou sądziła więc, że mieszka na kolorowych polach i niejako z przyzwyczajenia nie zwracała uwagi na wszelkie zmiany w okolicy dokonane ludzką ręką. W mieście trudno było jej powstrzymać się od zerkania w niebo mniej więcej co godzina. Nowi przybysze za pomocą latarni i reflektorów odstraszały istniejące wyłącznie w ich wyobraźni bestie, choć żaden z nich nie pytał o statystyki włamań w Provincetown. Wydawało im się, że są mądrzy, ale nieświadomie przywlekli ze sobą wielkomięskie obsesje dotyczące przestępczości, wyglądu i walki o status społeczny, jak szczury przywlekają... no, wiadomo co.

Kiedy zima zmusiła Lou do powrotu do miasta, zebrała się na odwagę i znowu zamieszkała w jednej z tych niskich jaskiń, w jakich mieszka większość Amerykanów, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy.

W maju Droga Mleczna znowu się wybrzuszała, jak gdyby sztormy równonocy czyniły z galaktyki spinaker otwierający się na północne wiatry. Lou dosięgała jednak wrzawa świata, chociaż pochylała głowę, jak wtedy gdy pokonywała przybrzeżną falę, po prostu

Pod nią nurkując.

Trzy dni w tygodniu pomagała personelowi w Domu Opieki Manor, którego pensjonariusze manifestowali bystrość swoich umysłów, wygłaszając wyuczone na pamięć analizy różnych

bieżących wydarzeń - bo wszyscy dniami i nocami oglądali telewizję, opychali się informacjami do nieprzytomności i spieszyli się, by oszczędzić czas - ale po co?

O to nikt nie pytał.

Nie odznaczali się większą zachłannością i miłością własną niż inni ludzie, Lou irytowało jednak to, że tak mało się w życiu nauczyli. Jeden nie cierpiał turystów, drugi południowców, trzeci gardził imigrantami. Nawet umierając, wciąż mieli o sobie jak najlepsze zdanie. Lou będzie musiała mieć się na baczności, bo ich sposób myślenia zaczynał

jej poniekąd przypominać naturę ludzką - co mogłoby oznaczać, że każdy z czterech miliardów ludzi na Ziemi chce walczyć do upadłego i ze wszystkich sił, aby tylko podtrzymać poczucie własnej wartości.

We wrześniu i październiku Lou mieszkała na wydmach, by łowić ryby z brzegu.

Agonia nieba po zachodzie słońca wydłużała się, a morze liżące jej nogi stawało się nagle ciepłe - prawdziwy cud. Dopóki jakaś fala nie ścinała jej z nóg, Lou była w połowie morzem, a w połowie niebem. Drgnęła ze strachu, gdy okoń szarpnął przynętę. Chwyliła świszczącą wędkę, kiedy ryba zaczęła już odpływać z żyłką w pyszczku, i zadzierzgnęła haczyk.

Następnego dnia Jane Cairo w drodze do Corneliusa zajrzała do chatki Lou.

Przyniosła owiniętą w pieluszki Tandy, która wielkością i kształtem przypominała litrowy termosik! Żółta (wcześniej czerwona) twarzyczka Tandy wyglądała spokojnie. Kiedy Lou podniosła leciutkiego jak piórko niemowlaka, powiedziała:

- Zapominajka.

Jane twierdziła, że wszyscy zawsze długo przyglądali się twarzyczce małej i w końcu mówili to samo:

„Zapominajka”. To Cornelius nazwał Tandy Zapominajka. Później tego wieczoru Lou podświadomie odebrała serdeczne pozdrowienia od Maytree’ego z Maine.

Czuła jego zaskakujące, skoczne płąsy kilka razy w roku. Czyżby odbijał się o tę starą jak świat ścianę treningową - księżyc? „Ciekawe” - odpowiedziała, rozbawiona jak Ropucha z baśni Andersena. Może pewnego dnia przyjdzie jej do głowy jakaś myśl albo dwie.

Tymczasem przygotowywała dla nich lądowisko.

CZĘŚĆ DRUGA

Pete właśnie zszedł na ląd w Camden, w Maine. Sweter miał wpuszczony za pasek spodni, na głowie grecką czapkę rybacką, a na nogach płócienne lądowe buty. Lubił

wieczorną porę, żółte światła na molo, okna domów połyskujące błękitem jak najdalszy skraj nieba i rozciągniętą na niebie Kasjopeję. Kiedy jego łódź, Marie, zacięła się w zatoce Maine, Pete wytaszczył na pokład dwutaktowy silnik, zwany „starym mikserem”, i dowlókł się jakoś do najbliższej mariny. W Camden - chociaż nie wierzył, że obaj, to znaczy on i ten silniczek, dociągną aż do Camden - postanowił znaleźć jakieś niedrogie miejsce postojowe, zaczekać na nowy silnik i naprawić albo wymienić pompę paliwową.

Jak zachowa się syn i obrażony na niego ojciec? Pete skończył już trzydzieści dwa lata i był gotów spotkać się z tatą jak mężczyzna z mężczyzną, a także ojciec z ojcem.

Pewnego razu na nabrzeżu, kiedy Pete wrzucał ortalionową torbę na pokład, zobaczył

za wodą oblicze swojego ojca - jego wąską głowę, zmarszczki powstałe od śmiechu i czujne oczy podkreślone brwiami przypominającymi dreszcze. Pete poczuł wtedy, że igła barometru obróciła się gwałtownie jak koło sterowe:

DOBRA POGODA.

I wskoczył na pokład. A barometr od tamtej pory ani drgnął.

Przypomniawszy sobie, jak się bawili w berka na łodziach wiosłowych. Ojciec pozwalał

mu otwierać i zamykać swoją składaną miarkę stolarską. Zbierali razem małże. Czasami rodzice tańczyli przy piosenkach

Louisa Armstronga granych w radio i wówczas wysyłali go, przerażonego, za drzwi.

Gdy ojciec podnosił wzrok znad projektów budowlanych albo wpatrywał się w zatokę, majaczącą na dole za oszklonymi drzwiami, powtarzał często:

„Bo gdzież ich kres, rybaków, żeglujących

W szorstką ciszę po wietrze, gdzie mgła przyczaja czaty?”.

Takie wspomnienia to skromniutkie pamiątki. Pete wybaczył Deary zdradę już dawno temu. Była jedyną dorosłą osobą w mieście, która umiała korzystać z życia.

A co będzie o nim wiedział jego, Pete'a, pierworodny syn, mały Manny? Wszystko!

Bo Manny postrzega świat z wyjątkową ostrością.

Pete piął się w górę chodnikiem stromej Main Street.

Na rogu na ścianie znalazł nazwę ulicy, na której mieszkał ojciec i Deary. Znał numer domu. A jakby co, zawsze będzie mógł wrócić do chłopaków w porcie.

Zauważył na ganku ciemne spodnie, zieloną kanapę, uniesione i zgięte w kolanach nogi i siwą kobiecą głowę na poduszce: Deary czytała „New York Timesa”.

Pete przyjrzał się lampom, komodzie, grzejnikowi i perskiemu dywanowi. Otworzył

rozsuwane drzwi i wszedł. Co z tego, że jego twarz nic im nie powie?

Deary krzyknęła, a on pomógł jej wstać. Przytuliła go mocno. Była niskiego wzrostu.

Po chwili podniosła głowę i powiedziała:

- Petie! Twój pokój czeka na ciebie.

- Mój pokój?

- Co się dzieje? - Głos dobiegł z wnętrza domu, a potem na ganek wszedł ojciec, chudy jak iglicznia, wysoki, o siwo-pomarańczowych brwiach, rozkołysanych ruchach, gęstych siwych włosach i twarzy tak zwanego sympatycznego faceta. Spodnie miał wysoko podciągnięte na pasku. Spojrzenia ojca i syna spotkały się nad głową Deary.

Bał się kiedyś tego wzroku. Z punktu widzenia syna najgorsze było to, że ojciec milczał przez dwadzieścia lat. Aktualny współnik Pete'a, Sooner, mówił mu, że jego ojciec widywał Toby'ego na zjazdach absolwentów ich uniwersytetu. A więc był w Massachusetts przynajmniej raz na pięć lat, ale nigdy nawet nie zadzwonił.

Pete spostrzegł, że uśmiech Maytree'ego rozpala się i drży, a przez jego twarz przebiega tyle zmarszczek, że oczy wyglądają wśród nich jak dziurki w parawanie. Pete wyciągnął rękę, a jego stary ojciec przygarnął go jakby na zawsze - a przy okazji i Deary.

Wtulony w jego kołnierzyk Pete poczuł, że szyja taty pachnie jak rozgrzana miedź, a jego włosy pachną po prostu ojcem. Pete pomyślał, że powinien zachować powściągliwość; wiedział, że potrafi przerażać ludzi swoim entuzjazmem. Potem zobaczył jednak, że Maytree ma łzy w oczach i nie zachowuje żadnej powściągliwości. Och, tata czytał mu książki, oczywiście, że tak. Pete poczuł żylaste ojcowskie ramiona oraz wznoszenie się i opadanie jego kościstych barków. Dobrze pamiętał dźwięczny, daleki głos, którym ojciec całymi dniami i nocami czytał mu różne historie, nawet kiedy Pete umiał już sam czytać. Palce ojca zostawiały na kartkach książek smugi niebieskiej kredy ciesielskiej.

Dlaczego czekał tak długo? Dlaczego - wbrew namowom matki - nie zaprosił ich obojga na swój ślub z Marie?

- Coś takiego! - powiedziała kiedyś Lou. - Więc jednak się tym truć.

- Nie o to chodzi - odpowiedział. Nie powiedział, że spotkanie z ojcem będzie dla nich obu krępujące, bo zdawał sobie sprawę, że matka wyśmiałaby go, gdyby postąpił się zażenowaniem jako wymówką, by nie postąpić słusznie. Ale mimo to mama chyba akurat dobrze wie, co znaczy zażenowanie?

Teraz, w Camden, ojciec w końcu rozluźnił uścisk, może dlatego, by nie udusić Deary.

- Whisky? - zapytał. - Wódka? Gin?

Rumieniła się przed nim niezmienną, pociągła ojcowiska twarz, emanująca tą samą rozedrganą życzliwością co zawsze. Rozwichrzona brwi taty wyginały się w łuk ku dołowi, a kąciki ust ku górze, nadając jego minie rys pełen nadziei. Pete dostrzegał wyraz ojcowskiej twarzy i przymrużone oczy jakby na skraju kadru, na niestarannie przyciętych brzegach zdjęć.

Znaczące ojcowskie skronie krechy zmarszczek pogłębiły się. Pete wiedział, że Toby Maytree ma sześćdziesiąt cztery lata - o wiele mniej niż Deary, nieco mniej niż Cornelius i o trzy lata więcej niż Lou Maytree. Był nadal żwawy jak rybitwa.

- Dziękuję, poproszę gin.

Ojciec wyciągał trochę szyję do przodu. Dlaczego miałby do niego telefonować? Jego krótka siwo-pomarańczowa broda sterczała spiczaste niczym zderzak staromodnej lokomotywy. Deary, uwieszona na ramieniu Pete'a jak dziecko, wciąż obejmowała go obiema rękami.

Dwadzieścia lat milczenia? Cóż to za miłość? Przecież to bez sensu. Czy ojciec bał

się, że syn będzie miał do niego pretensje? Tego Pete nie wiedział; wiedział jednak, że rodzice potrafią kochać swoje dzieci do szaleństwa. Nic nie mogłoby na przykład stać między nim a jego zdumiewającym synem - wesołym, pełnym życia Mannym. Ktoś, kto tak uwielbia swoje dziecko, nigdy go nie zniechęci. Pete'owi wyleciało jednak z głowy, że kiedyś chciał ukamienować tatę na plaży, jak również to, ile musiał się potem wewnętrznie natrudzić, by znieść samą myśl o nim.

Później tej samej nocy znów piął się w górę camdeńskiej Main Street, taszcząc swoje rzeczy. Ocieniony drzewami chodnik przypominał mu jaskinię. Przez te dwadzieścia lat ani razu nie wyobrażał sobie - nawet przez tę krótką chwilę, potrzebną, by uruchomić wyobraźnię

- że ojciec go kocha. A ojciec chyba czekał, aż Pete się domyśli, że teraz nadszedł jego ruch - ruch syna. Pete jednak wszystkie swoje ruchy wykonywał jedynie w myślach, w głębi duszy.

I nigdy nie dał ojcu poznać, co naprawdę czuje.

Czy skrupułom chociaż raz udało się nie okulić lub całkowicie nie zniszczyć miłości albo czułości?

Pete mógł zdobyć rękę Marie Koday kilka lat wcześniej - kiedy wciąż tak starannie unikał nawet mówienia jej „dzień dobry”, że w końcu sama musiała go pocałować. Przyszła się przywitać, kiedy zawinął do portu, i pocałowała go, a wtedy zawrzała w nim krew, aż spadła mu z głowy czapka, którą nosił w mieście. On i Marie zaczęli wspólne życie. Ale usilnie starając się nie naruszać spokoju, czy raczej obojętności ojca, Pete zmarnował wiele następnych lat.

Deary próbowała poprowadzić go dalej przez wypucowany przedpokój. Wyglądała jak letniczka - złota bransoletka, kolczyki, szyta na zamówienie spódnica, szminka. Pete pamiętał ją jako oberwańca. Wciąż była atrakcyjna, ale stała się kulejącą matroną, która niedawno wkroczyła w podeszły wiek. Jej grzywka wydała mu się mocno przeredzona, a brwi ledwo porastały swój dawny szlak. Jednak oczy Deary, jak ocenił, rozjaśniały aż jedną trzecią jej twarzy. Kobięca uroda, bez względu na wiek, wymaga właściwie wyłącznie dużych oczu pod wysoko osadzonymi brwiami.

Deary skończyła sześćdziesiąt siedem lat. Maytree pomagał jej iść, wskazując drogę Pete'owi.

- Pamiętaj - powiedziała Deary, mrugając porozumiewawczo. - Musisz mi to obiecać.

Kiedy umrę, chcę odejść jak cygańska królowa o szerokim uśmiechu i wielkich, sztucznych zębiskach. Spalcie mnie razem z wozem - dodała. - W Provincetown.

- Nie ma sprawy - odparł Pete. - Nie zapomnę.

Spalić Deary w wozie, w Provincetown.

- A gdzie teraz trzymasz ten swój wóz? - zapytał ojciec.

- On stroi sobie ze mnie żarty!

- Prawdę mówiąc, tak - powiedział Maytree.

Później nad zlewem w kuchni powiedział Pete'owi, że dwa lata temu podstępem wymógł na Deary, by pozwoliła się zbadać znanemu w całym mieście wysokiemu, siwemu lekarzowi, którego Maytree nazywał

„doktorem Wybitnym”. W rozmowie, którą z nim przeprowadził po badaniu, doktor Wybitny stwierdził, że biedna Deary cierpi na urojenia, być może dlatego, że nigdy nie miała dzieci.

- Idźcie do innego lekarza - powiedział Pete.

- To wszystko konowały! - pisała Deary z ganku. - Lekarstwo kryje się w dżungli!

Słuch miała doskonały.

Pete został w Camden cztery dni, podpierając ściany (znajomi mówili na niego Podpieracz), a w porcie czekali na części do jego łodzi. Codziennie w porze śniadania do domu Deary i Maytree'ego wchodziła, otwierając drzwi własnym kluczem, szeroka w biodrach i kraciasto odziana niejaka Sarah Smither. Maytree zdążył wcześniej poinformować Pete'a, że jej rodzice, irlandzcy imigranci, mieli tyle dzieci, że on i Deary prywatnie określali je mianem „drobinek-

- Smitherinek”. Sarah dołączyła do nich w jadalni, a ojciec dodał, że opiekuje się nimi i dba o dom. Potem

Sarah napełniła termos kawą, pomogła Deary przejść do gabinetu i pochowała naczynia, przez cały czas pozostając w zasięgu dźwięku brązowego dzwonka Deary.

Pete już pierwszego dnia spostrzegł, że ojciec i Deary tworzą partnerski związek.

- Udało mi się coś osiągnąć - powiedziała Deary.

- Czy nie o to chodzi w życiu?

Niedawno wypatrzyła miejsce na dom na lesistym niegdyś brzegu jeziora. Narysowała plany i projekty elewacji w najdrobniejszych szczegółach. Po długich tygodniach pracy klienci zaakceptowali jej projekt architektoniczny. Maytree i jego ludzie mieli postawić dom, zadaszyc go i osuszyć, a Deary zdobyła odpowiednie zezwolenia. Zanim zabrakło jej sił, wstawiała bardzo wcześnie, by nieustannie popędzać drwali, wozaków, dostawców, montażystów, hydraulików, elektryków, ocieplaczy, tynkarza i kamieniarza. Prowadziła księgowość oraz wystawiała i płać rachunki.

Pete, siedząc przy dębowym stole kuchennym, obierał kartofle, które myła Deary.

Opowiadała mu stare historie z Provincetown znajomym, chociaż już zwietrzałym wysokim głosem, a on podnosił kartofle, które wypadały jej z rąk. Wolałby, żeby mniej wiedziała o jego dzieciństwie, a więcej o męskości i dorosłości. Ale skąd mogłaby o nich wiedzieć? Pete jednak może opowiedzieć o sobie ojcu i Deary w każdej chwili.

- Marie Koday? Kiedyś spędziła całe lato do góry nogami, z głową w wodzie, chodząc po dnie na rękach. Urocze dziecko. Czy nie była znacznie starsza od ciebie?

- Już nie jest.

Deary chciała grać w chapankę, bałamuta i durnia. Prosiła, żeby Pete grał ostro i bił

równy. Dostała zadyszki. Jej ręce śmigały w powietrzu, a pierścionki dzwoniły. Śmiała się.

Wieczorami po kawie Maytree rozmasowywał jej ramiona. Zawsze lekko unosiła głowę, co, jak Pete zauważył w Bostonie, robią tylko piękne kobiety. Ojciec posprzątał ze stołu.

- Piszesz wiersze?

- Może napiszę coś w zimie. Słyszałem, że

Georges Bank jest przełowiony, że brakuje tam ryb. To prawda?

Nigdy tam nie łowił.

- Więc pływacie w zatoce Maine?

- Czasami. Mamy oko na dwa gatunki dorsza.

Deary dwukrotnie przetasowała karty. Wskutek niedomagań gastrycznych ręce miała poźółkłe, z wyjątkiem okolic stawów, które były niebieskie. Pete nigdy nie przypuszczał, że przyjedzie tu, by ją ograć w karty.

W domu ojca w Camden Pete odzyskiwał głowę.

Okno jego pokoju wychodziło na drzewo, które ojciec nazywał klonem. Pete z trudem zobaczył w tym klonie lustrzane odbicie własnej twarzy, drapanej przez gałęzie. Tęsknił za Marie.

„Coś, co nas łączy” - mówili między sobą Pete i Marie z braku odpowiedniego słowa.

Choć rodzice ich obojga, kiedy byli jeszcze bardzo młodzi, przynajmniej raz spali ze sobą, a w niesłychanym wypadku rodziców Marie co najmniej trzykrotnie, to ich, rodziców, swobodne zachowanie, zresztą jak wszystkich,

Wskazywało, że nikt nie podejrzewa tajemnych i nieziemskich właściwości „tego czegoś, co łączy” Pete’a i Marie, ani że trzeba młodych przed tym czymś osłaniać. Czy dobry człowiek, jakim był jego ojciec - Pete zawsze słyszał, że jego ojciec był kiedyś dobrym człowiekiem - mógłby wejść na złą drogę i porzucić rodzinę?

Oczywiście jego rodziców nigdy nic nie łączyło.

A ojca i Deary przed dwudziestu laty? Ojciec miał wówczas czterdzieści cztery lata; dwanaście lat więcej niż obecnie Pete, ale był naturalnie znacznie starszy od niego duchem, jak przystało na ojca. W tym wieku małżonkowie siedzą już tylko na gankach i poklepują się po tym, co pozostało z ich dłoni. A Deary była teraz starsza nawet od mamy Marie - staruszki o farbowanych, czarnych jak węgiel czy smoła włosach, która po zjedzeniu lodu gramoliła się swojemu sędziwemu mężowi na kolana. Było to po prostu groteskowe.

W szybie okiennej Pete widział zarówno klon, jak i własną twarz. Jako chłopiec zauważył, że starzy ludzie, na przykład Reevadare Weaver i Cornelius Blue, potrafili bardzo długo trwać w starości, przez całe dziesięciolecia, bez końca i bezwstydnie. Starzy ludzie to ci, którym brak woli, by odejść, albo taktu, by zauważyć, że dla nich bal dobiegł już końca.

Jako trzydziestodwulatek Pete dokonał całkowitej rekalkibracji cech właściwych „starym

ludziom”, w których wesołe szeregi sam nie zamierzał wstępować. Mógł zginąć na morzu, to całkiem prawdopodobne, ale wolał się zastrzelić, kiedy przyjdzie czas. W końcu mieszkał w Ameryce.

Co najmniej raz dziennie Pete - albo jego ojciec - zastanawiał się, dlaczego tak długo zwlekali.

- Chłopy! - powiedziała Deary, choć przecież ona też nie próbowała nawiązać z nim kontaktu. Mimo to nie ma sensu żałować i tak już straconego czasu. Pete wstydził się, że dawniej skąpił ojcu tych kilku słów, jak na przykład: „przyjedź zobaczyć wnuka”, które by wystarczyły, żeby go uszczęśliwić.

Ostatniego dnia rankiem, kiedy łódź Marie miała ponownie wyjść w morze, Pete przyglądał się mgłę, rozlewającej się na ulicy. Pachnący świerkami mgielny szal wtargnął do domu razem z Sarah Smither, która nawet oprawki okularów miała w kratę.

- Lubię mgłę - powiedziała Deary. - Chyba że zawisa na gałęziach drzew.

- Lubisz mgłę - odparła Sarah. - Chyba że zawisa na gałęziach drzew.

Sarah studiowała psychologię kliniczną. Maytree powiedział Pete'owi, że zastanawia się, czy ją udusić, czy raczej dać jej krakersa, jak papudze. Na razie dał jej podwyżkę, ale co zrobią, kiedy będzie musiała wrócić na studia? Ojciec i syn poklepywali się po plecach, stojąc na kamiennych schodkach. Deary spróbowała uściskać Pete'a, zapłakała pogodnie i powiedziała:

- Nie traktuj nas jak obcych.

Spojrzenia ojca i Pete'a spotkały się ponad jej głową.

Doktor Cobo, kardiolog, prowadził gabinet w suterenie swojego domu. Zdobył

specjalizację kardiologiczną i internistyczną w młodym wieku, ale gdy uciekł z Kuby, musiał

nostryfikować dyplomy w Ameryce, jak gdyby medycyna kubańska była gorsza od amerykańskiej.

Do drzwi doktora Cobo prowadziły z Main Street granitowe schodki. Maytree wniósł

Deary w czeluść wejścia.

- Szmer w sercu - orzekł lekarz.

Badania. Nieszczelna zastawka mitralna pacjentki przepuszczała więcej krwi, niż pompowała.

- Zastoinowa niewydolność serca - zawyrokował doktor Cobo, zwracając się do Deary.

- Możemy panią zgłosić na badania transplantacyjne w Teksasie - powiedział. -

Tymczasem będziemy monitorować stan pani zdrowia w szpitalu. Tlen ułatwi pani oddychanie.

Deary przymknęła oczy i obdarzyła doktora Cobo uszmiukowanym uśmiechem.

- Wolę umrzeć.

Maytree pomógł jej wsiąść do samochodu. Nie chciała słyszeć o leczeniu, nie wspominając nawet o lekarzu czy szpitalu.

- Może kupię sobie wrotki - powiedziała Deary, kiedy Maytree wnosił ją do domu. -

Uwielbiam staruszki na wrotkach.

Godzinę później:

- Przecież oni sami się przyznają, że nie wiedzą wszystkiego! Wejrzyj na ich licencje, mój panie, a padniesz trupem!

Prawie wszyscy ich znajomi, którzy łądownali w szpitalu, chodzili do lekarzy albo poddawali się jakimś operacjom, umierali w męczarniach. „Post hoc non ergo prompter hoc” -

pomyślał Maytree.

W kuchni otoczył swoje ucho dłońmi i przyłożył do mostka Deary. Są szmery!

Słychać, jak chlupie wyciekająca z pompy breja. Zastawka mitralna Deary nie była już żadną uszczelką, tylko kołyszącym się swobodnie w obie strony gumowym jęzorem, który mocuje się zamiast drzwi w psich budach.

Maytree poprzesuwał stoły i wstawił łóżko do salonu, a obok ustawił wózek inwalidzki. Deary zatelefonowała do swojej fryzjerki, żeby raz w tygodniu przychodziła układać jej włosy. Wydała też odpowiednie instrukcje Maytree'emu, który miał być teraz ogrodnikiem, sprzątaczką i kwiaciarzem. Leżała już zadowolona w łóżku, gdy wymieniła kolejnych kilkanaście osób, które poszły na operacje i umarły w boleściach.

Cmentarze są pełne takich ludzi.

Doktor Cobo poprosił, by Maytree później do niego

Wstąpił, i w czasie tej drugiej wizyty powiedział mu, że kardiologia może ją leczyć jedynie paliatywnie. Mięsień sercowy Deary nabrzmiał i osłabł już bez ratunku.

Tak czy owak nie będzie cierpieć. Lekarz; starał się jednak uświadomić Maytree'emu, że nie jest prorokiem.

- Wkrótce - powiedział, a naciskany przez

Toby'ego, dodał: - Może za kilkanaście, a może za kilka miesięcy.

Maytree miał nadzieję, że Deary nagle nie zrobi się pobożna - i nie zawiódł się.

- A byłeś z nią kiedyś u doktora Wybitnego? - zapytał z ganku jego przyjaciel malarz.

- On mówi swoim pacjentkom, że to tylko urojenia.

Maytree zrezygnował z pracy i odstąpił dwa swoje projekty innym budowlańcom.

Kupił kilka szlafroków i dowiedział się, co to jest „szkocka krata” i „kordonek”. Przyjaciele, czyli malarz z żoną, nieśmiało ich odwiedzali. Maytree uwielbiał tego faceta, ale wiedział, że

choć się przyjaźnią, nie ma między nimi żadnej bliskości. Kiedy przychodzili, wyłączał telewizor. Jego ekran ciemniał i zmieniał się w plamkę światła, która nagle gasła.

Odwiedzać się w swojej, jak sama mówiła, „krypcie” Deary pozwalała tylko Sarah Smither, która czytała jej na głos opracowane w pomarańczowe okładki biografie sławnych ludzi, przeznaczone dla dzieci.

Otulona w kwiecisty jedwab Deary uśmiechnęła się, słysząc, jak młody Abe Lincoln podstępem przyłapał pewnego chłopaka, który zostawiał ślady zabłoconych nóg... na suficie, i dał mu nauczkę.

Kiedy nudziła się na wózku albo w łóżku, Maytree nosił Deary na rękach jak lalkę.

Gdy pewnego razu dźwigał ją do łazienki, podniosła otwartą dłoń na wysokość jego oczu.

- Spójrz na moją linię życia. Co ci mówi?

- Że nic nie widzę i zaraz się przewrócimy.

Była gotowa na śmierć, jak gdyby to był pierwszy lepszy bankiet.

- Macie może coś do przekazania komuś na tamym świecie? - spytała pannę Smither i przerażonego listonosza. Oczy jej się zamykały. Nie miała już siły wykrzykiwać swojej ulubionej pieśni Antonio Spangonio (Toreador niezguła). Maytree dołączał do niej:

- „Kiedy dopadnę tego łajdaka, zabiję go, o tak...

Wytnę mu serce, o tak”.

Pewnego ranka Maytree usłyszał finał.

- „On zginie, on zginie! Gdy postawię na dobrego konia, przytulę ją do swego łona i gdy dopadnę Antonia... Jeszcze dziś!” - Tu zapadła cisza.

- Zapomniałaś o „bum, bum” - powiedział

Maytree.

- Nie, to ty. To znaczy ty musisz to zaśpiewać, bo ja nie mogę.

- „Bum, bum!”

Pewnego ranka po kolejnej grudniowej zamieci

Toby poślizgnął się na zlodowaciałym śniegu i wypuścił Deary z rąk. Właściwie rzucił nią - ale łagodnie, lobem.

Niósł właśnie Deary do doktora Cobo, bo widok jego kastylijskiej twarzy przynosił ukojenie im obojgu.

Zapewne mimo wszystko lekarz stosował magię wudu.

Zanim upuścił Deary, Toby niósł ją przed sobą niczym tacę. Ważyła tylko czterdzieści jeden kilogramów. Poczuł, jak poślizgnęła mu się noga na oblodzonym kamieniu, i natychmiast rzucił Deary na świeżo odgarnięty śnieg przy schodach. W tej samej chwili szarpnął się jednak naprzód i zwykły upadek zamienił się w katastrofę.

- Kochanie? - szepnęła Deary. Zwykle mówiła do niego per Maytree. - Nic ci się nie stało?

- A tobie?

Powiedziała mu później, że też słyszała, jak jego kości pękają niczym marchewki. Ale przez prawie godzinę nic go nie bolało.

W szpitalu, niewątpliwie prowadzącym swoją działalność dla zysku, lekarze robili, co mogli, chociaż brakowało im personelu. Kazali Maytree'emu położyć się na łóżku za parawanem i czekać. Deary, której nic się nie stało, też musiała zostać. Ktoś spojrzął na nią i zaraz wybiegł z gabinetu, a ktoś inny osłuchiwał jej serce.

- Zrobimy jej tylko podstawowe badania - zwróciła się do Maytree'ego pielęgniarka na ostrym dyżurze.

- Nie - odpowiedział. - Absolutnie nie.

Deary odmówiła hospitalizacji, piętrząc ściany przeszkód i podpisała ze sto papierów potrzebnych do wypisu, trzymając długopis w swoich niebieskich palcach. Siedziała na stalowym stołku na kółkach i w końcu się na nim poślizgnęła, a stołek wjechał w stanowisko pielęgniarek. Potem zjawiała się matka panny Smither, niosąc stojak z tlenem - którego Deary odmówiła - oraz jej poduszkę. Matka panny

Smither, bardzo zacna kobieta, która pracowała w piekarni, gdzie wypiekała pączki z dynią, wzięła Deary na kolana, żeby ją ukołysać i ogrzać. Maytree spostrzegł, jak pani Smither wsuwa odrobinę wazeliny do nozdrzy Deary, i zapragnął, by zastrzeliła ich oboje.

Znacznie później dowiedział się, że złamał kość ramieniową powyżej łokcia. I lewy obojczyk. I prawą kość strzałkową, w dwóch miejscach. A także prawy nadgarstek oraz kciuk, przy czym prawa kość łokciowa pękła mu na dwoje. Ponadto złamał jeden kręg lędźwiowy; wydawało mu się, że najważniejszy i że z każdym najdrobniejszym skurczem mięśni odczuwa ból.

Żebra nie przebiły płuc, ale na czwartym i piątym pojawiło się kilka pęknięć w części grzbietowej. Pomyślał, że jego kości nie tylko niczego nie „wytrzymały”, ale po prostu połamały się. Ortopeda kilkoma szarpnięciami, które pacjent zapamiętał na długo, nastawił

cztery złamania w ramieniu Maytree'ego, po czym zagipsował mu obie ręce, jedną powyżej, a drugą poniżej łokcia.

Uważał swój upadek z sześciu kamiennych schodków za tak spektakularny, że wołał

go sobie więcej nie wyobrażać. Zdjęcia rentgenowskie jego obrażeń przypominały fotografie Ziemi po upadku meteorytu tunguskiego: syberyjską tajgę po uderzeniu z nieba. Do gabinetu weszła jakaś starsza kobieta i zakleiła mu plastrem pęknięte żebra - jak gdyby mogły uciec.

Zagipsowaną rękę Toby'ego wsunęła sobie pod ramię, po czym pociągnęła jego kciuk, żeby ustawić go w odpowiedniej pozycji w stosunku do niewidocznego pod gipsem nadgarstka, i

podwiązała do niego deszczułkę. Na polecenie lekarza podała Toby'emu tylko acetaminofen - czego zresztą dowiedział się później z rachunku, na którym wyszczególniono wszystkie usługi.

My, Amerykanie, cieszyliśmy się prawem do zbędnego cierpienia, którego brakuje innym, pośledniejszym od naszego narodom.

Pani Smither, która odwiozła ich do domu, była w zielonym pilśniowym kapeluszu.

Wpatrzony w niego Maytree odezwał się z tylnego siedzenia najgłośniej jak tylko mógł.

- Pani Smither. Wiem, że obie z córką ciężko pracujecie. Ale zastanawiam się, czy...

Żebra pękały mu na nowo z każdym oddechem, a kręgi trzeszczały niczym ocierające się o siebie kry.

Złamał obie ręce. Złożył głowę na swoim płaszczu, zwiniętym w kłębek na kolanach Deary. Przez cały dzień, odkąd upadł - albo odkąd rzucił ją na śnieg - zdawała się zdjęta niemotą. Nie mają żadnego wyboru ani żadnych szans, jeśli Toby nie będzie mógł jej nosić i opiekować się nią. Ona także była tego świadoma.

Nie miał do kogo zwrócić się o pomoc. Pod kołami jęczał suchy śnieg, a kości Toby'ego trzeszczały, jak gdyby samochód poruszał się na trójkątnych kołach.

Przenosiny do Provincetown na razie zapewniłyby

Deary bezpieczeństwo, a jemu pozwoliłyby dotrzymać słowa. Odkąd odtrącił swoje życie z Lou dwadzieścia lat temu, zawsze dotrzymywał słowa, czasem do absurdu, jak kiedy poszedł na łyżwy, bo obiecał znajomym, choć przeziębienie, które go wtedy dopadło, przeszło właśnie w obustronne zapalenie płuc.

- Czy pani albo Sarah... Czy gdybyśmy zaproponowali wam dwukrotnie większe zarobki... pomogłybyście nam w domu przez kilka miesięcy, dopóki nie wyzdrowieję? W

Provincetown, na Cape Cod, w jakimś ładnym domu?

Pani Smither miałyby oczywiście swój pokój i żadnych innych obowiązków. Bez względu na to, czy Maytree może używać rąk, czy nie, Deary umiera. Dlaczego nie przenieśli się do Provincetown choćby wczoraj?

Pani Smither odpowiedziała, że Sarah zaczyna w czerwcu pracę na stanowisku doradcy w urzędzie okręgowym, a ona, pani Smither, nie może porzucić posady nadzorczyńi linii produkcyjnej pączków z dynią.

A czy Pete nie może się nimi zająć? Nie, dobry Pete za nic nie może ściągnąć na głowę swojej żonie dwojga obcych ludzi. Pete i jego żona mieli przecież synka i tylko dwa pokoje.

Tego wieczora Maytree pił wódkę wprost z butelki, a Deary z trudem chwytła powietrze, leżąc obok w łóżku. Latarnie pod oknem żółciły glazurę oblodzonego klonu.

Oddech Deary momentami ustawał, jak zawsze, ale po chwili powracał z głośnym parsknięciem.

Co oni mu wstrzyknęli, karmę dla kolibrów? Czy nikt z nich nic sobie nigdy nie złamał? A może by tak pół dawki śmiertelnego zastrzyku, co? Gdyby był nieuleczalnie chory, dostałby przynajmniej znieczulenie ogólne.

Maytree mógł kupić Pete'owi i Marie dowolnie duży dom - ale Pete nie chciał się zgodzić na tę propozycję. Wciąż miał młodzieńczą dumę. Jak mogliby się gdziekolwiek przeprowadzić, skoro Marie dopiero co urodziła? On i Sooner mogliby wciągnąć dom Pete'a na wielką ciężarówkę... Nie, Sooner wrócił do

Missouri na zimę i nie może już niczego przewozić.

W tym sęk.

Maytree pomyślał, że zapewne w tej chwili mniej więcej miliard ludzi na świecie nie śpi i podobnie jak on odchodzi od zmysłów z bólu. Było już po sezonie, mógł więc wypożyczyć w Provincetown jakiś dom dla siebie, Deary i mieszkającej z nimi pielęgniarki, albo nawet dwóch, o ile Deary zniosłaby obcych ludzi, których akcent i strój zdradzałyby plebejskie pochodzenie. Po co zaoszczędził tyle pieniędzy, skoro okazują się bezużyteczne?

Mógłby wynająć, powiedzmy, trzy prywatne pielęgniarki, które dyżurowałyby na zmianę po osiem godzin dziennie - o ile w ogóle uda im się znaleźć jakąś pielęgniarkę. Ale to wszystko znów pod warunkiem, że Deary zniosłaby w domu obcych ludzi, którzy niczego nie odkładaliby na swoje miejsce i ośmielaliby się gładzić ją po głowie. Podobno Cornelius Blue i Jane żyli w dwóch osobnych chatkach na wydmach i dwóch osobnych mieszkaniach w mieście; odwiedzili ich. Jane mieszkała z opatulonym niemowlakiem, z Tandy. A Cornelius miał w mieście kawalerkę! Jeden pokój. Poza tym skoro ten stary kawaler nie chciał się zaopiekować jedną bezradną istotą, jaką była Tandy, to tym bardziej nie zaopiekowałby się trzema.

Zbłąkanych wędrowców, wśród których kiedyś często bywała Deary, przygarniała czasem Reevadare. Ale

Reevadare lubiła także wydawać przyjęcia - lubiła, kiedy to jej usługiwano, a nie odwrotnie, a poza tym nigdy nie zamykały jej się usta. Maytree odrzucił Manor, czyli dom opieki. Czy może jeszcze mieć jakąś nadzieję? Tak, bo od dawna wiedział, że zwróci się do Lou. Wiedział o tym od chwili, kiedy uległ wypadkowi.

Gdyby mógł rozprostować łokcie, ukryłby twarz w dłoniach, miał jednak na szczęście doświadczenie - i to duże - w stawianiu czoła wstydom. Obludzony klon pod oknami miał

swojego przezroczyściego sobowtóra. Maytree usunie się na bok, żeby jego prawdziwa żona mogła transportować Deary z łóżka do łazienki, dopóki Deary nie umrze. Lou zachowała jego nazwisko. I zgodzi się ich przyjąć, a on powita je obie gościnnie w domu Lou. Wiedział, że Lou jest wielkoduszna. Pomoże im i basta, nie tylko dlatego, że Maytree wpadł w tarapaty i nie miał się do kogo zwrócić prócz niej, ale dlatego, że Lou mogła im pomóc.

Przebaczenie nie miało z tym nic wspólnego. Oboje byli dojrzały, zarówno on, jak i Lou. Dojrzały starzy ludzie. W ich wieku przebaczenie to dziecinna łatwizna, jeżeli się wie, za które sznurki pociągnąć. Podobnie łatwe jest skinienie głową, oznaczające przyjęcie przebaczenia i przejście nad nim do porządku dziennego. W młodości Toby pomyślałby, że każdy koniec, nawet śmierć, jest lepszy od przebaczenia, zwłaszcza kobiety, i lepszy niż prośby o pomoc, zwłaszcza jeżeli musiałby prosić o pomoc byłą żonę, którą kiedyś porzucił.

Teraz on i Lou - jeśli Lou była jak Pete, którego Toby skrzywdził bardziej - mogli spotkać się jak równy z równym. Jego prośba była wyrazem szacunku dla jej dobroci. Gotowość do przedłożenia owej prośby mieściła się w czymś, o czym już doskonale wiedział: że należy dobrze myśleć o tych, których skrzywdziliśmy, nie wspominając już o tych, którzy skrzywdzili nas. Maytree miał nadzieję, że tok rozumowania Lou przywiódł ją do podobnego wniosku. Naprawdę miał nadzieję, że zajmie się nimi tylko do śmierci Deary.

Pani Smither odwiezie jutro Maytree'ego i Deary do Provincetown swoim samochodem. Jeśli Lou im odmówi, pani Smither na pewno przynajmniej pomoże mu się zastanowić, gdzie jeszcze mógłby poszukać pomocy. Czy on i Lou poznają się po tylu latach.

Ciągle ich do siebie zapraszała - oszukując się przy tym. Nie, żadne inne możliwe rozwiązanie nie może być gorsze. Wyjadą wcześniej. Maytree natychmiast się ożywił. I zasnął.

Było po drugiej po południu następnego dnia, kiedy wjechali na rondo w Orleans.

Maytree siedział koło pani Smither, a Deary drzemała z tyłu i rzucała się przez sen. Ziemia na Cape Cod była cieniutka; brakowało w niej kamieni. Kiedy Nausetowie znajdowali jakiś polodowcowy ostaniec, wydeptywali do niego ścieżki, by mleć na nim kukurydzę, a geodeci korzystali później z tych głazów jako punktów orientacyjnych. Pod Eastham Maytree zobaczył barwne przydrożne sklepy.

Z mapy na stacji benzynowej wynikało, że pomalowane na zielono tereny Parku Narodowego Seashore, o które wszyscy walczyli, ocaliły leżącą niżej część Cape Cod. Minęli martwe Jezioro Pielgrzyma. Przed nimi wędrująca wydma przemieszczała się na drugą stronę drogi jak ślimak, na stopce. Maytree zobaczył sześciu robotników drogowych (a może byli to więźniowie?), usiłujących zawrócić tę wydmy miotłami.

Samochód skręcił w lewo, w kierunku zatoki. Pod jego dawnym domem pani Smither stwierdziła, że nie ma gdzie zaparkować. Miasto skurczyło się, a mury rozmnożyły jak kryształ, które tworzą nowe fasety w próbkach. Zaparkowali z tyłu, na Bradford. Toby poprosił, żeby pani Smither nie wyłączała silnika, bo wtedy w aucie będzie działać ogrzewanie. Trącił biodrem drzwi, żeby je zamknąć. Pójdzie sam. Pod rozpiętą kurtką skrywał opatrunki gipsowe i temblaki.

Jak zacznie? Wyrósł już z elokwencji. Za pierwszym razem najpierw się przedstawił, ale Lou może się to wcale nie wydać zabawne. Musiał zaczerpnąć powietrza. Wyczyta z jej twarzy, co myśli.

Już na szczycie schodów odgadł, że jej nie ma. Zadzwoił do drzwi, odczekał chwilę, wszedł do środka, gdzie pachniało morzem i Lou, i zawołał. Pusty dom, w którym kiedyś mieszkali, wciąż sprawiał gościnne wrażenie. Wrócił do samochodu i wytłumaczył pani Smither, jak dojechać do Pete'a.

Jego żona Marie otworzyła drzwi wychodzące wprost na schody. Maytree przedstawił

się. Wpuściła go do środka. Marie była wyższa niż Pete, miała szczupłą twarz i była wylewna.

Jej pełna śmiechu gadanina albo przychodziła naturalnie, albo raczej oznaczała, że dziewczyna jest bardzo szczęśliwa. W wyciągniętych rękach trzymała czarnookiego niemowlaka, Manuela, który zagapił się w dal. Brwi miał bujniejsze niż Cary Grant. Maytree

zdobył się na odwagę, by stanąć twarzą w twarz z Lou, ale jego rodzony wnuk we własnej, półprzezroczystej osobie obezwładnił go całkowicie i oczy zaszyły mu łzami. Marie powiedziała, że łódź Pete'a ma przyplłynąć po zmroku - zachowywała się tak, jakby znała Maytree'ego całe życie. Toby usiadł i strzelił sobie piwko, choć ból złamanych kości rozbrzmiewał w jego uszach syreną alarmową. Wysysał z niego siły z każdą chwilą i Maytree z najwyższym trudem słyszał świat zewnętrzny w ogłuszającym ryku swoich cierpień. Marie powiedziała mu też, że matka Pete'a pojechała zamknąć chatkę na wydmach na zimę. Dopiero w grudniu? Maytree uklonił się i wyszedł. Musiał ją znaleźć przed zmrokiem.

Na Bradford w oficynie znaleźli nowo wybudowany motelik.

- Gdzie my jesteśmy? - wyszeptała Deary, kiedy samochód stanął. - O, popatrz, w Provincetown. Jak to się dziwnie plecie...!

Sięgnęła do torebki po lusterko. W zeszłym tygodniu prawie nic nie jadła, kolejno wygaszając piece swojego życia. Maytree zameldował ich w recepcji.

Deary ze swojego łóżka widziała niebo kłębiące się nad zatoką, a każda rozbijająca się na brzegu fala eksplodowała w jego połamanych kościach niczym bomba. Pani Smither podała Maytree'emu wodę do picia, zapięła mu kurtkę, zasłaniając nią opatrunki, i naciągnęła czapkę na uszy, po czym Toby ruszył na północ, ku wydomom.

Za jego młodych lat wszyscy miejscowi mieszkańcy, mężczyźni, kobiety i dzieci, umieli się orientować w terenie według gwiazd. Kiedy nocne niebo zasnuwały ciemne chmury, cały Cape Cod wiedział, że będzie

„Ciemna noc!”, jak wtedy często mówiło się nawet na powitanie. Niemal równie często jak „Piękny dzień!”.

Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: „A jakże!” albo: „Bardzo mroczna”. Noc, pora o szczególnym charakterze, wymagającym uruchomienia instynktu, była dla miejscowych jak dobrze znany salonik, w którym potrafili się poruszać nawet po omacku.

Tego dnia jednak, kiedy nocne niebo zdemolowały światła elektryczne, Maytree jęknął tak strasznie, jak gdyby właśnie zginął cały wszechświat. Ludzie już zapomnieli, co to znaczy patrzeć w niebo, i Maytree nagle zrozumiał, że ponieważ pamięta jeszcze gwiazdziste noce i wojnę, jest już starym człowiekiem. Tyle tylko, że wojna trwała krócej niż dziesięć lat, a ludzie nie patrzyli w niebo od znacznie dłuższego czasu.

Kompletna ciemność zaskoczy go gdzieś na wydmach. Na tę myśl Maytree odwrócił

się i delikatnie kopnął drzwi motelu. Pani Smither pomogła mu zdjąć buty, bo idąc bosy, będzie mógł wyczuć drogę pod stopami. Deary uśmiechnęła się do siebie. Maytree był

ciekaw, czy Deary pamięta wydmy.

Tego samego ranka w chatce na wydmach Lou wzięła długie nożyce do cięcia blachy i pokroiła na kawałki druciany zmywak do szorowania naczyń, a potem przyklękła na podłodze ze szpachlą w ręku, by uszczelnić dziury i szpary w ścianach i podłodze. Musiała w tym celu przesunąć wszystkie meble w pokoju, nie wyłączając łóżka. Kawałki drucianych zmywaków i wełna stalowa pełniły rolę ostrych jak brzytwy, nieprzebytych zapór dla myszy, ale jeśli nie

wcisnęło się ich odpowiednio głęboko, łatwo wypadały. Co prawda do chatki i tak dostaje się zawsze parę myszy i węży, być może przez szczelinki między jądrami atomowymi i elektronami. Myszy budowały sobie ze strzępów poduszek gniazda wielkości piłek do koszykówki.

Z wysoka nadpływał cirrus w kształcie latającego klina. Lou patrzyła, jak horyzont wypełnia się nim, zagęszcza i zamyka, a do południa nisko wiszące chmury całkiem zakryły niebo. Rozległa się syrena portowa.

Wieczorem z chatki na wydmach Lou zobaczyła nieco rozmazane w ciemności białe i czerwone światła. Znaczyły one, że większość floty rybackiej, zaalarmowana prognozami meteorologicznymi, wpłynęła na wody przybrzeżne, pod osłonę zawietrznej. Ten zawsze złowieszczy widok od lat napełniał ją strachem, dopóki nie dowiedziała się, że po huraganie nie zobaczyłaby na pełnym morzu ani jednej łodzi. Czy Pete jest wśród nich? Gdyby sztorm okazał się silniejszy, niż przewidywano, kutry popłynęłyby w kierunku falochronu i weszłyby do zatoki, by schronić się za siedmioma wzgórzami Provincetown, a w najgorszym wypadku stanęłyby nieco bliżej pełnego morza, by mieć możliwość manewru.

Maytree przeszedł na drugą stronę zimnej szosy - po dwudziestu latach chodzenia w butach jego stopy stały się wrażliwe, także na temperaturę. Wszedł w las, wspinał się coraz wyżej i po pewnym czasie poczuł, że igły sosnowe pod jego stopami ustępują piaskowi. Stąd musiał ruszyć już prosto na czubek ciągle usuwającej mu się spod nóg wydmy; czuł się jak ktoś, kto usiłuje wejść na górę po ruchomych schodach zjeżdżających w dół.

Z pierwszej wysokiej polany roztaczał się panoramiczny widok, obejmujący wszystkie niewyraźnie majaczące wydmy po jego lewej i prawej ręce. Widziany stąd las zdawał się rosnać za łukiem horyzontu. Za plecami Maytree'ego lała się struga rozmytych świateł, którymi upstrzone było zarówno samo Provincetown, jak i jego odbicie. Światła nie przepalały mroku na wskroś, wyglądały raczej jak przyklejone do tła. Bez względu na to, jak głębokie ciemności panowały na brzegu, albedo piasku zawsze było tu tylko nieznacznie większe niż krzaków czy drzew. Przykucnąwszy za jakimś lejem, Maytree rozejrzał się, żeby ustalić swoje położenie. Wydmy i ścieżki wydeptane przez ludzi mogły przez lata zmienić swoje położenie i bieg, a południowo-zachodni wiatr, wiejący Toby'emu w kark, nie pomoże wyznaczyć kierunku marszu, ponieważ może być zmienny.

Jak mawiała ich stara.przyjaciółka Mary Heaton

Vorse, Maytree był „nocnonogi”. W górę, w dół, skręt w górę, skręt w dół, skręt w lewo i jeśli będzie miał szczęście, trafi na wilgotny, ubity piasek. Dalej powinien znaleźć w wielkiej bruździe nocy zygzakowatą niczym fala drogę dla samochodów terenowych, która leży dalej na południe, za wielkim wzniesieniem łączącym się z pierwszą wydumą. Będzie musiał trzymać się śladów opon na każdym łuku, by nie wpaść na jakiś krzak albo walący się ze starości budynek posterunku straży przybrzeżnej. Potem, jeśli uda mu się trzymać lewej strony szlaku, żeby wyczuwać pod stopami w piasku - od zawietrznej strony wydmy - każde zagłębienie szersze niż ślad przemarszu ropuchy, i jeśli uda mu się zliczyć wszystkie boczne ścieżki, to może nawet zdoła znaleźć wąziutką drogę na skrót, na grzbiecie w lewo, a na końcu ostro w prawo, prosto do chatki na wydmach, którą zostawił Lou. Gdyby jednak, co było bardzo prawdopodobne, nic nie wyszło z tego planu, mógł po prostu wdrapać się na wydmy w dowolnym miejscu - o ile, nie zdając sobie z tego sprawy, nie minął już celu - i iść po prostu jej trawiastym skrajem, dopóki nie natrafiłby na chatkę albo jakiś znany sobie szlak.

Gdyby dotarł do morza, oznaczałoby to, że zaszedł za daleko.

Poruszał się między stromymi wzniesieniami chwiejnym krokiem, bo miał

unieruchomione ręce i trudno mu było złapać równowagę. Znał tylko tę starą trasę, choć wiedział, gdzie się znajduje, gdzie leży chatka i gdzie jest morze. To mało. Jednak gdyby pierwszą wydmę i chatkę pochłonał przypyływ, Cornelius albo Pete powiedzieliby mu o tym.

W ciemności nie był w stanie iść na tyle szybko, żeby się rozgrzać. Dlaczego podczas ośmiogodzinnej podróży samochodem ani razu gdzieś nie przystanęli, by mógł kupić dla Lou, powiedzmy, sos sojowy? Z drugiej strony właściwie wszystko jedno, co by jej przywiózł - bo pytając panią domu bez ogródek (krótko: tak czy nie?), czy przyjmie pod swój dach na miesiąc albo więcej dwie osoby - w dodatku właśnie te - które wymagają karmienia i całodobowej opieki, Toby musiałby podarować niezycziwej gospodyni jakiś wyjątkowo wspaniały prezent, żeby zmieniła zdanie.

Minęło dwadzieścia lat, więc w supermarkecie A&P, który widział na Conwell, na pewno mają już sos sojowy. Przypomniał sobie delikatną urodę Lou sprzed dwudziestu lat, jej spokojne ruchy, a nade wszystko przyjazne brzmienie głosu. Drżał z zimna. Najgorsze, co może zrobić Lou, to powiedzieć „nie” i wyrzucić go za drzwi. Jednak to, co najgorsze, z każdą chwilą wyglądało coraz gorzej.

Maytree uderzył głową o uschłą gałąź, która pękła z trzaskiem. Poprzedniej nocy w Camden nie mógł zasnąć z przeraźliwego bólu, więc z braku wyboru, w towarzystwie wódki, przeprowadził w myślach skompli” kowany dowód, że jeden odjąć jeden równa się dwa, osiągając doskonały, wprost idealny wynik. Jak wyglądało to niemożliwe równanie? Mniej więcej tak...

On, Maytree, wróci do domu odważny - bo oczywiście nabrał tymczasem odwagi -

odwaga zaś żąda od nas, by dobrze myśleć o ludziach, nawet o tych, których skrzywdziliśmy.

Wytrwale piął się w górę po piasku. No oczywiście: mniejsza o Lou, mniejsza o Pete'a i mniejsza o Deary - to on zostanie wielkim bohaterem, niech to szlag trafi. Na szczęście przyszedł mu do głowy jego ulubiony aforyzm z Powrotu do Howards End, który powtarzali z Corneliusem od lat: „Niegodziwość podnieca kobiety”.

Nagle, nie wiadomo skąd, znalazł się przy nim wysoki pies o jasnej sierści. Zwierzak na jeden spacer.

Często mu się zdarzało, że nieznane psy przyłączały się do niego na jeden spacer niejako ex nihilo - psy, których nie widział nigdy przedtem ani potem.

W Camden też w każdej chwili mógł się pojawić jakiś obcy czworonóg, żeby poprowadzić go wokół domu.

Ale ten tutaj jakby na niego czekał. Miał chyba białą mordę. Takie psy zazwyczaj nie były w obrożach i grzecznie szły przy nodze, traktując Maytree'ego jak swojego przewodnika. Toby nigdy nie pogłaskał jednak żadnego przedstawiciela tego niezemskiego gatunku ani nie próbował do niego mówić.

Miał przemoczone ubranie od mgły bijącej z ziemi - a może przepocone. Powinien był

włożyć jeszcze jedną, albo nawet dwie czapki. Napiłby się herbaty. Ludzie mówili, że jego pogruchtane kręgi i żebra z czasem się zagoją. Ale to stało się dopiero wczoraj.

U podnóża drugiej wielkiej wydmy każdym nerwem podeszew swoich stóp Maytree próbował wyczuć zgrabny pas gliny albo ubity piasek, które poprowadziłyby go wokół

podmokłej kotlinki. Znalazł drogę, ryzykując jednak, że wpadnie w bagno. Przyjemnie było czuć pod stopami krzaczki żurawin, ale ich obecność oznaczała, że zszedł nieco z trasy. Do śródstopia wciąż przylepiały mu się zeschnięte, skrwawione źdźbła trawy. Groził mu upadek z wysokości i ryzykował, że wydłubie sobie oko jakąś gałęzią. Wiatr zmienił kierunek na północno-zachodni i zaczął wiać mu w twarz, ale po chwili znów uderzył w plecy. Stał się przeraźliwie zimny, a przy tym mógłby dać odpór niejednej nawałnicy; Maytree zadygotał na całym ciele wśród ciemności i pustki.

Właściwie wolałby zawrócić, wejść pod śliwę w kotlince od zawietrznej, znaleźć tam kropelkę brandy i usnąć, tuląc się do psa. I wcale nie prosić Lou o to, o co musiał ją poprosić.

Mimo to nie zwinął żagli. Żeby już więcej nie ryzykować, zrezygnował jednak z drogi na skróty i wspiał się na pierwszą wydmy po stromej, ale znanej sobie ścieżce. Każdy krok w górę oznaczał pół kroku w dół, bo nogi osuwały mu się na piasku. Na wierzchołku Toby zwrócił się na wschód. Głogi kolonizowały ten ostatni skrawek łądu, za którym pieniało się i rozsiewało swoje sole morze, wyłaniające się jakby z jakiejś przedwieczności. Daleko z prawej paliło się światło chatki Lou.

Kiedy stanął w progu, Lou zobaczyła tylko czapkę rybacką i siwo-pomarańczowe rzęsy, okazało się jednak, że to Maytree we własnej osobie. A niech to gęś kopnie! Rękawy jego wybrzuszonych z przodu kurtki zwisały puste, jak gdyby pod jej połamami trzymał na rękach noworodka, którego przypadkiem znalazł gdzieś po drodze. Światło lampy naftowej oślepiło go i rozjaśniło jego źrenice.

- No to wejdź.

Maytree skinął głową, nie ruszając się z miejsca.

- Bo wypuścisz całe ciepło z chatki.

Wysoki, szczupły facet, lekko przygarbiony. Skóra wokół skroni, nosa i na policzkach trochę mu się pomarszczyła, podkreślając zaokrąglone czoło.

- Zdejmij czapkę - powiedziała Lou, ściągając mu ją z głowy, bo Maytree nie mógł

przecież ruszyć ręką. Włosy mu przerzedły, ale nie był łysy. Nie wiedząc, co powiedzieć, stał

w bezruchu w jedynym w tej chatce pokoju, a Lou zaczęła przygotowywać herbatę.

Dopiero potem zorientowała się, że Maytree nie jest w stanie sam zdjąć kurtki. Kiedy ją rozpięła, zobaczyła na obu jego rękach opatrunki gipsowe i bezwładne, sine palce, przypominające ramiona ośmiornicy. Nie wiedzieć czemu rozbawił ją ten widok. Przysunęła Toby'emu krzesło, na którym kiedyś zawsze siadywał, i dorzuciła do pieca najpierw jedną, a potem drugą szczapę drewna. Można by pomyśleć, że mężczyzna, któremu ktoś zdejmuje

czapkę z głowy i bez ceregieli rozpina kurtkę, powinien się poczuć swobodnie - i tak też się chyba stało. Maytree usiadł i zsunął kurtkę do połowy ramion. Miał przemoczone skarpetki i krótką, rudą bródkę. Przypomniała sobie, że Pete jej o niej wspominał. Lou zachowywała się spokojnie jak zwykle. Na pobrużdżonej twarzy Maytree'ego zauważyła ślady częstych i ewidentnie szkodliwych dla skóry uśmiechów, którymi pokrywał zmieszanie.

Wstał, otworzył drzwi wejściowe i rozejrzył się.

- Co się stało?

- Był ze mną taki pies.

Maytree wyrzął przed chatkę i Lou, nawet nie ocierając się o niego, przez moment także spojrzęła na rzeškę noc.

Z miejsca, w którym siedzieli, wydawało się, że w szybie odbijają się dwie lampy i ta ze słabszą żarówką dygocze przed domem jak ćma. Maytree odwrócił się. Ależ ty masz wielkie uszy! Zarówno jego, jak i jej usta stały się z wiekiem węższe - bo usychały. Powieki Toby'ego wspierały się jedynie na krótkich, grubych rzęsach, a zmarszczki w kąciakach oczu rozlewały się niczym ogon komety na tkaninie z Bayeux.

- Na litość boską, co cię tu sprowadza?... - Lou urwała.

Dlaczego miałyby stroić sobie z niego żarty? Zresztą była prawie pewna, że zna odpowiedź na pytanie, które mu przed chwilę zadała: Toby ma obie ręce w gipsie, nie może więc opiekować się chorą na serce Deary.

- Maytree... - zaczęła znowu i uśmiechnęła się.

- Dobrze cię widzieć.

A zwykle to on zdradzał pewne skłonności do przesady.

Pochylił się nad kubkiem pełnym herbaty i zajrzał do niego ze zmartwioną miną.

- Kiedyś to tobie nie zamykała się buzia - powiedziała Lou. - Co u was słychać?

Czy po dwudziestu latach spędzonych w Maine nie mają tam żadnych przyjaciół? Czy Deary nie ma matki? Przecież kiedyś miała całkiem dobrze ubraną i dystyngowanie wyglądającą matkę, która już bardzo, bardzo dawno temu uciekła z Provincetown na widok opalającej się topless plażowiczki i dwóch trzymających się za ręce mężczyzn. Czy Deary nie ma rodzeństwa? Nie. A czy w Maine nie ma szpitali? Domów opieki? Prywatnych pielęgniarek?

Lou oczywiście doskonale wiedziała, że Deary uważa medycynę za maszynę śmierci, chciała jednak wiedzieć tylko jedno: czy już ma uśmierzyć cierpienia Maytree'ego i skrócić jego męki, czy raczej pozwolić mu jeszcze bujać się przez chwilę w niepewności, dlatego że została przed laty porzucona. Oczywiście, że przyjmie ich pod swój dach. Każdy by tak postąpił na jej miejscu.

- Deary niedługo umrze. Bardzo niedługo. - Maytree spojrzęł na nią wzrokiem dżentelmena, którym zresztą był. - Może słyszałaś. - Lou skinęła głową. -

Choć ona oficjalnie nie wie, że umiera. Zawsze obiecywałem, że przywiozę ją do Provincetown, by mogła tu umrzeć, no i przyjechaliśmy. Nie mogę dłużej się nią opiekować.

Złamałem obie ręce. Na razie nie jestem w stanie zadbać nawet o siebie.

- Oczywiście, że ja się nią zajmę - odpowiedziała Lou, choć Maytree mówił dalej, jakby jej nie słyszał.

- A Pete i Marie mają tylko dwa pokoje.

Więc Toby chciał się zwalić na głowę Pete'owi, którego porzucił w dzieciństwie, Marie i ich małemu

Manny'emu? On i Pete już zaleczyli nawzajem swoje rany, ale czy Maytree bał się Lou aż do tego stopnia? A przecież ona nie musi leczyć żadnych ran, bez względu na to, co on czy ktokolwiek inny o tym myśli.

Maytree i Deary to po prostu jej starzy przyjaciele.

Jak może pomóc Deary? Będzie się musiała tego nauczyć. Tymczasem pożegnała się ze swoją samotnością.

Nie dlatego, że taki miała plan, ale pod wpływem kaprysu; pożegnała się z życiem wyłącznie pośród własnych rzeczy, które zawsze odkładała na miejsce, z pitraszonymi naprędce posiłkami i ze swobodą myśli.

Zresztą całe tłuste stado myśli Lou właśnie odleciało, trzepocząc głośno skrzydłami.

Po co jednak człowiekowi samotność, jeśli nie po to, by go uszlachetniać? Lou zawsze prowadziła dom otwarty. Kiedy ostatnio była komuś potrzebna? Aż się paliła, by zrobić dla Deary i Maytree'ego wszystko, co okaże się konieczne.

- Oczywiście, przyjeżdżajcie. - Nie słysząc właściwie swoich własnych słów, ciągnęła:

- Zniesiemy stare łóżko Pete'a na dół, do sutereny, żeby Deary mogła wyglądać na plażę, a ty będziesz mógł spać na kanapie.

Albo przyniosę materac, na którym kiedyś spało się w tej chatce, wiesz, ten z koi okrętowej, i dobierzemy do niego odpowiednie łóżko. Na pewno byłoby ci na nim wygodniej niż na tej starej kanapie. Moglibyśmy też rozebrać nasze stare łóżko, znieść je na dół i z powrotem złożyć. Tak byłoby najlepiej, ma najlepszy materac. A ja mogę spać na starym łóżku Pete'a.

Toby przyglądał się jej zza stołu szeroko otwartymi oczami, jak gdyby była niespełna rozumu, ale Lou zdała sobie z tego sprawę dopiero później. Niewykluczone, że nigdy jeszcze nie wygłosiła takiej długiej przemowy. I niewykluczone, że Maytree uważał całkowite przemeblowanie domu za mało istotny problem. Sprawiał wrażenie, jakby w życiu nie poświęcił materacom ani chwili namysłu.

W świetle lampy nocna chatka przypominała ul.

Maytree wstał - byli równi wzrostem. A może by tak nazwać ten domek

„Pokurczem”? Odwrócił wzrok, ale nie dlatego, że był zażenowany. Poprosił, by Lou zapięła mu kurtkę. Zamierzał wrócić do Deary jeszcze tej nocy.

- Nie opowiadaj głupstw.

Opierał się, ale uległ, chociaż pokrywa chmur zaczynała się rozrywać. Kiedy na chwilę wyszedł na dwór, Lou przypomniała sobie, że mniej więcej od dziesięciu lat wokół

chatki trwa nieustanna inwazja japońskich dzikich róż, i zastanawiała się przez chwilę, czy Maytree nie ugrzęźnie w jednym z ich krzaków.

Jak zdoła się z niego wyplątać? Cóż, będzie musiał po prostu ją zawołać. Lou pomoże im obojgu, bo ma dwie zdrowe ręce, jak każdy normalny człowiek. Jak długo zrastają się złamane kości?

Maytree spał, jak wszyscy goście w chatce na wydmach, w śpiworze i na okrętowym materacu, leżącym bezpośrednio na podłodze. Kiedy ułożył się do snu, Lou zgasła ostatnią lampę, ale po pewnym czasie usłyszała jego głos z ciemności. Brzmiał teraz gardłowo, a zarazem żartobliwie.

- Nie dasz mi po mordzie?

- Miałam na to ochotę, kiedy Petie był malutki, a ty wkładałeś sobie zatyczki do uszu.

- Zatyczki do uszu? Nie przypominam sobie żadnych zatyczek. Chodziło mi o to, że cię rzuciłem dla

Deary i uciekłem.

- Zauważyłam. Ty draniu. Wyśpij się.

- Jesteś tak cudownie...

Warknęła, więc Maytree urwał. Potraktował ją jak obcego człowieka, który pomaga mu zmienić koło w samochodzie.

Lou nie mogła zasnąć. Czy powinna udawać, że to wszystko wydaje się jej trudne i wcale nie tak całkiem oczywiste, żeby złagodzić, czy może raczej usprawiedliwić jego cierpienia? Zrezygnowała ostatecznie z udawania, to byłoby męczące. A może Maytree myślał o niej źle, a o sobie dobrze, i wydawało mu się, że ponieważ kiedyś porzucił ją i Pete'a dla Deary, Lou przez ostatnich dwadzieścia lat czuła się skrzywdzona i targała nią wściekłość? Przecież zna ją dobrze i wie, że tak nie było. No chyba! Bo inaczej naprawdę by ją uraził. Otworzyła oczy w ciemności, żeby przemyśleć, co ma do załatwienia. Deary i Maytree zwabią tu pewnie różnych swoich starych przyjaciół z miasta, którzy będą chcieli ich odwiedzać. Potrzebuje kubków, filiżanek, talerzy, misek, widelców i łyżek. Pojedzie z panią Smither samochodem do Snow's w Orleans. Potrzebuje także kilku kompletów pościeli, a może więcej, i ręczników, też dużo. Potrzebuje krzesel. Pralnia jest na drugim końcu miasta. Może pożyczyć samochód od

Jane? Przede wszystkim będzie musiała przygotowywać im urozmaicone posiłki, robić zakupy, usługiwać i sprzątać; sprzątać i organizować życie wszystkim domownikom - i właśnie to będzie najgorsze.

Czy wózek inwalidzki zmieści się w drzwiach do łazienki? I czy Deary sama kładzie się do łóżka? Bo jeśli nie, Lou będzie musiała jej w tym pomóc.

Przy śniadaniu ożywiony Maytree, kręcąc się koło pieca, powiedział, że wczoraj w recepcji motelu słyszał, jak pewien turysta informuje swojego syna, że Droga Mleczna to formacja gwiazdowa nad Arizoną. Potem Toby wyszedł z chatki i zawołał:

- A gdzie się podział ustęp?

Lou roześmiała się i odpowiedziała, że stoi w nowym miejscu już od co najmniej piętnastu lat.

- Gdzie jest lustro?

- Zdjęłam je ze ściany. W szufladzie leży ręczne lustro.

- Zdjęłaś lustro? Dlaczego?

- Chciało oglądać za dużo kosmetyków.

- Kosmetyków?

Maytree uśmiechnął się, podobnie jak ona, widząc, że niemal od razu zaczynają rozmawiać jak stare małżeństwo. Chyba przyjdzie mu się pogodzić z jej niezłomnym poglądem, że spotkali się już wcześniej w innym wcieleniu. Kiedy się uśmiechał, choć także kiedy miał poważną minę, Lou widziała równoległe zmarszczki na jego policzkach, przywodzące jej na myśl boczek w plasterkach.

Toby szykował się do wyjścia do miasta. Sprzed chatki, gdzie przystanęli, widać było, że na nizinie zalega mleczna mgła.

- Już zapomniałem, jak nieziemskie potrafi być to miejsce.

Z białego jeziora mgły gęstej niczym farba wystawały tylko czubki wydm. Wznosiły się wszędzie wokół jak piaskowe góry, wyrastające w połowie drogi do nieba. Ich szczyty sterczały nad płaską linią mgły równiutko niby atole. Lou widziała każdą kreskę i plamkę na ich jasnobrązowych wierzchołkach, odcinających się od ciemnoniebieskiego nieba.

Piaskowym górom niczego nie brakowało - poza kontaktem z ziemią i przyczyną ich swobodnego lotu. Wyglądały jak leniwie szybujące nad ziemią namioty, które urządziły sobie powietrzne rendez-vous. Gdy Lou spuściła wzrok, zobaczyła ścianę białej mgły, spod której wystawały jedynie jej stopy.

Maytree powiedział, że pani Smither wróci do

Camden i zabierze go do Maine zaraz po śmierci

Deary. Kiedy Lou przenosi się z wydm do miasta?

Nadal unikał jej wzroku.

- Zamknięcie chatki na zimę zajmie mi dzień albo dwa. Ale wy jedźcie od razu do Provincetown.

Pete i Marie pomogą wam się urządzić.

Lou patrzyła, jak Maytree idzie przez wydmy chwiejnym krokiem, z rękami skrytymi pod kurtką.

Poruszał się tak, jak gdyby miał protezy nóg, a po chwili wniknął we mgłę niczym w ścianę płynnego gipsu, który natychmiast oblepił jego stopy. Lou przyglądała się, jak jego sylwetka maleje i znika w oddali.

Maytree dematerializował się po kawałku: najpierw zniknęła noga, potem biodro, barki, a na końcu głowa - jak gdyby wchodził w rozpuszczalnik. Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze go kiedyś zobaczy. Ale już jutro wieczorem wszyscy mogą być razem w jej domu w mieście. Musi jak najszybciej wziąć się do roboty.

Jak zaopatrzy swój dom w Provincetown? Szybko zmieniła decyzję i postanowiła opuścić chatkę na wydmach bez zwłoki; w zaistniałej sytuacji nie jest najważniejsza. Może ją zamknąć Pete. Teraz Lou chciała wyczyścić szyby w wychodzących na plażę drzwiach domu w Provincetown i wyblagać, wypożyczyć albo kupić pościel, żywność, miski i talerze.

Regularnie odwiedzała swoich znajomych w domu opieki Manor i pomagała tutejszemu personelowi. Na pewno pożyczą jej składany stolik na kółkach. Jaki kolorowy obraz Deary chciałaby oglądać nad swoim łóżkiem? Jaką dietę stosują chorzy na serce? Lou miała nadzieję, że mogą jeść kartofle, kapustę, rzepę, dynię, zieleninę, małże, żeberka wieprzowe i ryby.

Napiła się wody i zamknęła drzwi wygodki na haczyk, a potem wcisnęła do plecaka brudną bieliznę i brązową foliową torbę na śmieci. Musiała się spieszyć - przez najbliższe dwa dni czeka ją mnóstwo roboty. Dlaczego czas letni nie może obowiązywać przez cały rok? Czy rolnicy nie stanowią najwyżej jednego procentu ludności Ameryki?

Mgła rozwiewała się, gdy Lou ruszyła w poprzek grzebienia pierwszej wydmy w stronę drogi dla terenówek. Po drodze dołączył do niej biały pies, który pojawił się nie wiadomo skąd i teraz wędrował z nią zakosami po wydmach. Nie usłyszała, jak Maytree o nim napomknął, ale wspomnienie byłego męża, który z nocą na ramieniu stanął wczoraj w progu chatki w świetle lampy, wypełniając sobą całe drzwi, zaparło Lou dech w piersi.

Rosa zwilżyła piasek i nadała mu brązowy kolor.

Ślady Maytree'ego, a teraz ślady Lou przebijały się przez brunatną powierzchnię, sięgając suchego piasku pod spodem; miał niebieskawy kolor, bo bagnista kotlinka wyciągała wilgoć z wydmy jak żyła. Lou przystanęła, by napić się wody z niemal całorocznego stawiku.

Rosły tu różne archaiczne rośliny, pamiętające pierwsze podrygi życia na ziemi: babimór, kępki porostów, purchawki, byliny z gatunku *Sedum pulchellum* i owadożerne rosiczki. Po chwili Lou zostawiła te roślinne dinozaury za sobą, minęła wrzosowisko i zaczęła wspinać się pod górę, a biały pies pobiegł naprzód i co chwila oglądał się za siebie, jakby chciał ją skarcić za to, że nie biegnie.

Deary była chyba całkowicie bezradna i znalazła się w dramatyczniejszej sytuacji niż on, skoro Maytree przyszedł do niej po pomoc - wprawdzie nie na kolanach, ale i taka myśl musiała mu przemknąć przez głowę. Lou łatwiej byłoby wyobrazić sobie obolałą chmurę niż złożoną bólem Deary, tę wiecznie młodą dziewczynę. Czy jakkolwiek choroba zabija bezboleśnie? Czy

istnieje nadzieja, że do akcji wkroczy też jakiś lekarz? Maytree, gdyby tylko mógł używać rąk, byłby idealnym gościem w jej domu. Dzięki niemu Pete i Marie częściej by do niej wpadali, a on i Deary siedzieliby w mieście, dopóki Maytree'emu nie zdjęto by gipsu albo Deary by nie umarła - w zależności od tego, co nastąpiłoby w pierwszej kolejności. A Pete i Marie przywoziliby ze sobą małego Manny'ego.

Czy przed tym upadkiem Maytree pracował ciągle na wysokości? I czy dałby jeszcze radę wejść na drabinę? Najwyraźniej miał problemy z kolanami. W domu przeciekał dach i Lou chciała, by Toby go naprawił.

Potrzebowała też nowego bojlera. Okna się zacinały, a ramy pękały. Mieszkać z cieślą pod jednym dachem to jak mieszkać ze świętym Mikołajem - który w tym wypadku dźwiga w worku swoją umierającą, ukochaną Deary.

A więc Lou w gruncie rzeczy wyda w swoim domu coś w rodzaju przyjęcia na cześć umierającej Deary

Hightoe. Nigdy w życiu nic jej tak nie zdumiało.

Szybko pokonała ostatni odcinek dzielący ją od dębowo-sosnowego lasu przy drodze.

Gdzie się podział pies? Z drzewa nad głową Lou odezwał się ptak, czerwonooki wireonek:

- Widzisz? Słyszysz? Wierzysz?

CZĘŚĆ TRZECIA

Patrzyła, jak Pete wnosi na rękach do domu Deary, która odwróciła opartą na jego ramieniu głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Cześć, Lou.

Lou od razu zauważyła, jak bardzo zmieniła się przez te dwadzieścia lat. Jej skóra stała się ziemista, a powieki pomarszczyły się i wyglądały tak, jakby były złożone z trzech fałd skóry. Ale dlaczego uparła się, żeby włożyć tweedową garsonkę od Harrisa i kolczyki?

Lou podejrzewała, że Deary traktuje inwazję na jej dom jako wyjątkowo kłopotliwą wizytę towarzyską.

- Nie mogę ruszyć ręką ani nogą - zwierzyła się, kiedy Lou odkryła kołdrę. -

Powinam była nauczyć się tańca brzucha!

Lou po cichu zgodziła się z tą opinią.

Rozebrane na części wielkie łóżko Pete i syn Soonera Roya przenieśli na dół, gdzie skręcili je z powrotem i ustawili pod oszklonymi drzwiami, by Deary mogła obserwować morze, chmury wędrujące po niebie i ewentualnych spacerowiczów na plaży. Kiedy Pete obniósł już Deary po całym domu i wreszcie złożył jej kościste ciało na łóżku, leżała bez ruchu, dopóki Lou nie wyciągnęła ręk, żeby podsunąć jej poduszkę pod głowę i obciągnąć spódnicę.

- Takie rzeczy czasem się zdarzają - powiedziała

Deary.

Lou nie była pewna, co miała na myśli - swoją śmierć czy ucieczkę z Provincetown z mężem przyjaciółki - ale odpowiedziała:

- Bez dwóch zdań.

Jej rozbawienie najwyraźniej uspokoiło Deary.

- Przywiozłaś szlafrok?

- Mam cały wagon szlafroków.

Kiedy Lou pomagała jej włożyć koszulę nocną, pomyślała, że Deary jest prawie martwa. Owszem, ale w takich wypadkach „prawie” robi wielką różnicę - choć oczywiście do czasu. Deary ściągnęła pierścionek ze szmaragdem i zaraz musiała trochę odsapnąć.

Potem zdjęła pozostałe pierścionki, znów odpoczęła, spróbowała odpiąć ciężki naszyjnik, a na końcu, krzywiąc się, wyjęła z uszu złote kolczyki. Lou domyślała się, jak wielką Deary odczułaby ulgę, gdyby postanowiła zaprzestać walki o życie. Jej koszula nocna była z jedwabiu. Później Pete powiedział, że grzbiety dłoni Deary od kilku miesięcy coraz bardziej sinieją. Ciemnoniebieskie plamy pod jej skórą przebiegały w poprzek żółtawych kości po linii prostej jak tor lotu meteorytu.

Lou wyrzała na zewnątrz przez oszklone drzwi i przypomniała sobie, że widziała kiedyś Deary ćwiartującą na przynętę skrzyplące z zatoki Cape Cod.

Deary zastawiała pułapki na węgorze i był jej potrzebny wabik. Wtedy - a było to w maju - mieszkała w jakimś zaułku. Lou natknęła się na nią, kiedy rozrąbywała siekierą skrzyplące, chroboczące w stojącym obok koszu na śmieci. Deary położyła jednego skorupiaka na płycie październowej na chodniku, uniosła siekierę i przerażała zwierzę na pół.

Potem, kiedy połówki kraba zaczęły pełznąć w przeciwnie strony, zagarnęła je niczym połówki cebuli, obróciła o dziewięćdziesiąt stopni i znowu przerażała na pół. Lou przypomniała sobie, że nawet poćwiartowane skrzyplące wciąż próbowały uciekać. Deary wrzuciła drgające jeszcze kawałki przynęty do miski, wyciągnęła kolejnego skrzyplącego z kosza za telson (z telsonów skrzyplący

Nausetowie wyrabiali szydła) i znowu uniosła siekierę. Lou obserwowała ją przy tej robocie, a Deary podarowała jej później mnóstwo węgorzy - na przynętę.

Na początku Deary dużo mówiła. Trzeciego dnia chrapliwym głosem opowiadała Lou i Pete'owi o skałach takim tonem, jakby w ostatniej chwili życia powierzała im obojgu swoje dziedzictwo. Opowieść zajęła jej z przerwami prawie dwie godziny, a można by ją streścić tak: powinien powstać film opowiadający o wszystkich skałach tego świata („Rozumiecie?”).

Jeżeli pokroić skałę odpowiednio cienko, a potem połączyć jej plasterki jak kadry, otrzymamy coś w rodzaju filmu dokumentalnego, przedstawiającego długą historię świata z punktu widzenia danej skały. Skały Ziemi kryją wizualną historię wszystkich czasów. Trzeba jedynie połączyć pojedyncze kadry i trzymać je zwinięte niczym taśmę filmową w pudełkach, posegregowanych prowizorycznie według kontynentów i dalej, według niemal nieskończonej

listy regionów geograficznych i epok. W tym celu niezbędni będą liczni montażyści.

- To nie jest mój pomysł. Po prostu gdzieś to słyszałam.

Lou błagała ją, żeby powiedziała, co chciałyby zjeść albo wypić, ale Deary tylko oblizwała usta.

- W dowolnym momencie po sklejeniu filmów trzeba je już tylko przepuścić przez projektor, żeby obejrzeć wszystkie, każdy z osobna, i w ten sposób zobaczyć cały świat z każdego miejsca na ziemi, ze wszystkich punktów widzenia i w każdej epoce.

A w każdym razie można by je oglądać do pewnego czasu, do takiej czy innej przypadkowej sklejki, do miejsca, w którym ktoś oszalały z ciekawości powie „stop” i znowu zaczną plasterkować kamienie.

W trakcie tej wielkiej roboty uzyskalibyśmy nowe kamienne filmy o życiu w danym regionie: o ludziach, którzy pojawiają się na naszej planecie i przemieszczają się po niej.

Czy Deary postradała zmysły? Lou zrobiła pytającą minę, zwracając się do Maytree'ego. Stał koło łóżka jak sparaliżowany, z rękami w gipsie.

- Ona zawsze wymyślała takie rzeczy.

Lou ucieszyła się, że nie stracił przy Deary swojej rycerskości. Jak on mógł to wytrzymać przez te dwadzieścia lat? Znowu zaczęła się zastanawiać, czy Deary czegoś się nauczyła w szkole. Och, ale w gruncie rzeczy, jak człowiek może w ogóle cokolwiek wytrzymać?

- Jak te kormorany mogą to wytrzymać? - pisnęła

Deary.

- Co?

Maytree i Lou popatrzyli po sobie.

- Jak mogą wytrzymać w takiej zimnej wodzie.

Dogasały właśnie resztki światła chromowanego, zimowego dnia, a horyzont przesłaniała zmrożona morska mgiełka. Czy Deary coś dzisiaj jadła? Tyle co nic, przecier jabłkowy.

Pete Maytree i Charlie Bonobos poszerzyli drzwi, aby mógł się w nich zmieścić wózek Deary, która jednak w ogóle już nie wstawiała z łóżka. Maytree spał na kanapie, a Lou wstawiła stare posłanie Pete'a do swojego pokoju.

Deary mizerniała coraz bardziej; twarz jej wychudła. Pozostała z niej już właściwie tylko pofałdowana i pomarszczona skóra, długie, żółtawe małżowiny uszne, bezwargie usta i wybałuszone oczy, przypominające zikkuraty i oczy żółwia Lou, zwanego Jankesem. Na co Deary ma ochotę? Pete i Marie pozwalali raczkować po niej Manny'emu i Deary nigdy nawet się nie skrzywiła. Manny był wtedy tłuściutki niczym świąteczna gęś. Gramolił się na łóżko i chodził na czworakach po przykrytej kołdrą Deary. Opierał się o ścianę, przykłękał nad chorą, która gładziła go palcem po łydce, po czym opuszczał na ziemię najpierw jedną, a potem drugą stopkę w skarpetce, aby przypuszczać z podłogi kolejne ataki na łóżko. A potem usiłował włączyć do tej zabawy Jankesa.

Marie upierała się, że wszyscy powinni próbować nakłonić Deary, by przez cały dzień co godzinę przyjmowała płyny; w nocy mogłaby ssać mokry ręcznik.

Marie twierdziła, że kiedy jej dziadek miał dwadzieścia parę lat, wyszedł z obustronnego zapalenia płuc tylko dlatego, że cała rodzina słyszała, jak stary doktor Gaspar krzyczał: „Twoje życie zależy od tego, ile wypijesz wody!”.

Wszyscy widzieli, jak Deary wodzi oczami za ludźmi i psami korzystającymi z zimowej plaży niczym ze zwykłej drogi. Niektórzy spacerowicze byli ich wspólnymi przyjaciółmi i wpadali do Lou w odwiedziny.

Każdy zmagał się z wiatrem, dzieci się bawiły, a co kilka chwil w górę wystrzelał pod ostrym kątem głupek, wzbijając kłęb białej piany wodnej. Czarne kaczkę, gągoły i nury szybowały po zatoce, gotując się do zimowego odlotu na południe - wyglądały jak wabiki myśliwskie.

Lou, Maytree i Pete wychodzili z domu na zmianę, każde przynajmniej raz dziennie.

Wyrzucanie śmieci wiązało się z wycieczką, na której można było odetchnąć wiatrem.

Maytree opłacił rachunki na pocztę, a Lou zawiozła Deary do doktora Gaspara juniora, który

- chociaż Deary od razu chciała wyjść z jego gabinetu - zaczął się starać o salę na intensywnej terapii w Hyannis, gdzie mógłby położyć pacjentkę, jeśli by zgodziła się pójść do szpitala.

Jane i Reevadare, młody

Sooner, Irene Bonobos, państwo Kodayowie, Cornelius, przyjaciele Pete'a, a także liczni rybacy i malarze wpadali do Lou codziennie z gulaszem z owoców morza, makaronem typu kolanka, solonym dorszem, zapiekankami z mały i kapuśniakiem. Jeden z Macarów niemal codziennie dostarczał Lou świeżo złowione łupacze albo przegrzebki, a dwa razy w tygodniu ktoś - nie wiadomo kto - zostawiał im parę jajek w misce pod drzwiami. Po tygodniu Jane zaproponowała Lou, że ją zastąpi, by mogła odetchnąć, Lou jednak się nie zgodziła -

musiałby bowiem minąć kolejny tydzień, zanim nauczyłaby Jane, co i jak trzeba robić.

Zamiast na łodzi Pete na czas pobytu Maytree'ego i Deary trzymał wachty na lądzie.

Wywoził śmieci i zaopatrywał oba domy w żywność i inne zapasy. Kiedy przyjaciele pytali go, jak mogą pomóc, odpowiadał:

„Spacerujcie naszą plażą”. Razem z matką wykopał głęboki dół w piasku pod oszklonymi drzwiami. Następnie wymieszali cement w tekturowym wiaderku do mieszania farby, wleli go do dziury, wstawili słup i umocowali na nim karmnik dla ptaków, w którym Lou wykładała resztki ze stołu i słoninę. Pete pomyślał, że jeśli dzięcioł zacznie opukiwać kawałek słoniny, nie zdoła wyciągnąć z niej dzioba. Ze ściętych już mrozem wydm zszedł wreszcie Cornelius; zamieszkał w mieście, u Jane. Jane ubierała Tandy ciepłutko od stóp do głów i Cornelius spacerował z małą za rękę - mitenka w mitenkę - tam i z powrotem po plaży, w zimowych butach, na wprost oszklonych drzwi.

Były to pierwsze dłuższe spacery Tandy. W domu Lou zdjęła z zaróżowionej na policzkach dziewczynki kilka kolejnych warstw ubrań i posadziła ją na łóżku przy Deary, której brwi przypominały bruzdki w kształcie spadzistego, trójkątnego daszku.

Porażający widok dziecięcej buzi i twarzy starej wiedźmy można było obserwować za ledwie przez chwilę, bo Tandy od razu uciekła.

Reevadare ukrywała się w Brewster, gdzie wyszła za męża za pewnego miejscowego staruszka, który witał ją słowami: „Oto moja latawica!” albo: „Oto moja nierządnicą!” - co Lou wydało się nieco literackie, ale

Reevadare zwała z nóg. Pete poznał kiedyś jej męża i zapytał: „Masz sztormiak? Bo idzie sztorm”. Oczywiście Pete swoim zwyczajem powiedział właściwie

„sztorrrm”. Lou nie chciała ugościć Reevadare, dopóki nie dowie się, co myśli o postępowaniu Deary, ale

Maytree powiedział Lou, że z listów Reevadare, które przez długie lata pisała zawsze zielonym atramentem, wynikało, że nigdy nie miała do Deary żadnych pretensji.

- To było dawno i nieprawda - uznali oboje.

Kiedy Reevadare w sobolowym płaszczu i obszytych futrem butach weszła do pokoju chorej, powiedziała Pete'owi, by wrócił do domu, po czym usiłowała przepłoszyć Maytree'ego i Lou:

- Idźcie się przespać. Wykąpać.

Puder. Reevadare codziennie przywoziła im z Brewster coś niepotrzebnego.

Pewnego razu siedząca przy łóżku na krześle Lou zapytała Reevadare, dlaczego, skoro rozpiera ją taka energia, sprzedała swój dom i wyprowadziła się z miasta. Deary lubiła słuchać ich rozmów.

- Oczywiście ze względu na ogród. - Reevadare podgrzewała sobie właśnie kakao. -

Moje kolana zastrajkowały i odmówiły pracy w ogrodzie, więc nie mogłam go nawet pielęgnować. Bardzo nie chciałam sprzedawać tego domu.

- Nie lepiej było po prostu zrezygnować z ogrodu?

Lou nie mogła sobie przypomnieć, żeby jakiegokolwiek pytanie wzburzyło kiedyś Reevadare do tego stopnia.

- W żadnym wypadku! Z ogrodu po prostu się nie rezygnuje! - zawołała, jak gdyby Lou zaproponowała jej dzieciobójstwo.

Reevadare spędzała więc teraz całe dni, krążąc tam i z powrotem samochodem po drogach stanowych numer 6 i 6A. Jej kapelusz wciąż ledwo wystawał ponad kierownicę.

Sprawiła sobie drogą sztuczną szczękę i wyglądała jak Burt Lancaster. Ludzie mówili, że jest tak towarzyska, że chętnie pojawiłaby się nawet na przyjęciu z okazji otwarcia koperty. Wozila swoich zamożnych przyjaciół z Brewster do galerii w Provincetown. Lou usłyszała kiedyś, jak Reevadare mówi pewnemu usidlonemu przez nią malarzowi, że intelektualistom brak jest zdrowego rozsądku. Może udowodnić, że ma słuszność, w trzech słowach: „poród siłami natury”.

Albo w dwóch: „tolerancyjne małżeństwo”.

Wieczorami, kiedy zmieniwszy Deary koszulę nocną, Lou kładła się do łóżka, słyszała na dole Corneliusa i Maytree’ego, a często także Pete’a, popijających i opowiadających sobie różne historie przy zielonym stole w kuchni. To dobrze, ona i Deary mogły sobie pospać. Ale czy Deary nie byłoby łatwiej oddychać na siedząco?

Oparty o ścianę za zagłówkiem łóżka Maytree rozłożonymi szeroko rękami w gipsie rozplątywał włosy

Deary, którym pozwalał opadać swobodnie na czoło.

Dmuchał na nie, bo miała spoconą głowę. Pete wyszedł, a Lou spała. Lou nigdy nie miała dość sił, by długo chować urazę. Maytree był tu, w jej domu - z Deary, z Petem i z Lou.

Lou i Toby współpracowali ze sobą codziennie tak sprawnie jak rybacy wspólnie ciągnący sieci. Czuli się ze sobą na luzie, jak dawniej, a to go uspokajało i jakby spowalniało. Nie miał

poczucia, że stał się bardziej nerwowy - pozbył się zegarka i zaczął oddychać w rytmie fal.

Przez całe dwadzieścia lat trwał na swoim stanowisku w Maine. Deary zdawała się sądzić, że gromadzenie dóbr materialnych i pieniędzy to naturalny przejaw starzenia się. Czy była z nim szczęśliwa? Deary urodziła się szczęśliwa. Pamiętał, jak Reevadare wychodziła z różnych przyjęć, mówiąc: „Idę do państwa

Bieleckich”. Państwo Bieleccy, a raczej bieleccy, to była jej pościel - ale Reevadare chciała, by gospodarze myśleli, że idzie na inne przyjęcie (może na takie, na które oni nie zostali zaproszeni). A teraz Deary siedziała w otoczeniu bieleckich przez cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chwytała powietrze otwartymi ustami, jakby chciała je ukąsić, rzucała się na nie. Ale odwracała się od maski tlenowej, którą próbował jej włożyć Toby, bo po tlenie robiło jej się sucho w ustach.

Jedna z ostatnich opowieści Deary dotyczyła wojny, którą przetańczyła w Ameryce z marynarzami, noszącymi na głowach papierowe kubki zamiast czapek, albo z żołnierzami.

Przetańczyła wojnę przy...

- jak nazywały się te wszystkie utwory z tamtych czasów? (Matka Maytree’ego utrzymywała, że wojnę, która kosztowała ją sporo pieniędzy na obligacje i kilka lat ochotniczej pracy, wygrali uśmiechnięci marynarze i żołnierze, którzy pokonali komiksowego Hitlera i cesarza Hirohito za pomocą nylonowych pończoch, czekolady, lucky strike’ów i smalcu). Deary zaczęła szeptem nucić: „Wyjdź przez okno i wróć, wyjdź przez okno i wróć, wyjdź przez okno i wróć, tak jak dawniej”. Lou знаła tę piosenkę i też zaczęła śpiewać.

Pewnego dnia

Deary próbowała zaintonować „Sto lat...” - utwór, który zawsze sprawia wszystkim trudność. Na parapecie za oknem Maytree zobaczył sikorkę - jej oddech kondensował się wokół dzióbka w białym kłębuszku pary, wyglądającym jak komiksowy dymek, w którym powinien widnieć jakiś dowcipny tekst. Gdy pierwszy kłębuszek zniknął, pojawiał się drugi, potem trzeci i tak dalej; przypominało to kanonadę perel. Na kilka dni przed śmiercią Deary wyszeptała niejako „do

protokołu”, że czuła się znacznie gorzej, kiedy zachorowała na grypę Hongkong. Maytree przypomniał sobie tamtą zimę - nie obchodzili wtedy nawet świąt Bożego

Narodzenia. Teraz Maytree ułożył śpiącego Manny’ego koło zgiętego w łokciu ramienia Deary. Oboje, Manny i Deary, obficie się pocili.

Następnego dnia Deary przestała korzystać z nocnika. Jej stopy i nogi w kostkach spuchły, jakby pokąsały ją najpierw komary, a potem pszczoły, aż wreszcie nabrzmiały jak banie. Rzadko odzyskiwała świadomość.

W chwilach przebudzenia jej uprzejme zezowate spojrzenie zdawało się mówić wszystkim, że ich gadanie o niczym śmiertelnie ją nudzi.

- Głowa... - odezwała się pewnego razu, a potem jej oczy przestały reagować na ruch.

Poczerniała i usychała jak liść. Maytree patrzył, jak

Lou zmienia mokre okłady na czole umierającej. Doł póki rozmawiali, nie odchodzili od łóżka, na którym spała Deary, pochrapując. Nie chciała jeść żadnych soczystych owoców, na które, jak sądzili, mogłaby się skusić, i odwracała głowę, gdy podsuwali jej wodę, lody albo pokruszony lód. Maytree zawsze myślał, że po trzech dniach bez wody człowiek musi umrzeć, ale okazało się, że to nieprawda.

Straciła przytomność i umarła dopiero osiem dni później. Minęło osiem tygodni, odkąd przyjechali do

Provincetown. Zgasła cicho i spokojnie niczym lampka kontrolna, a całą jej uwagę najwyraźniej pochłaniało to, co działo się w jej wnętrzu, pod powiekami.

Czy mogło to być coś innego niż nadejście wielkiej pustki? Ważyła najwyżej trzydzieści kilogramów. Zsiniała, zaczęła rządzić. Napędziła im stracha, unosząc w górę rękę w geście, którym dawno temu pozdrawiała foki albo pierwsze promienie wschodzącego słońca.

W ostatnich kilku dniach śmierć odmłodziła jej twarz.

Skóra na czole, powiekach, policzkach i w kącikach ust zrobiła się znowu gładka i odbijała światło. Pete ujął ją za rękę, żeby kciukiem i opuszkami trzech palców zbadać jej puls, ale źródło życia już wyszło.

W kaloryferach coś nagle zadudniło, a „gwiazdy, wyglądające niczym żarówki w oprawkach, śpiewały przez całą noc”.

Żółw Jankes wylazł spod kanapy i wyciągnął swoją węzową szyję. Stał na szeroko rozstawionych łapach niczym czekający na załadunek muł pociągowy albo jak zwierzę, które znajduje się najniżej na słupie totemowym, jest więc skazane na dźwiganie na grzbiecie wszystkich pozostałych stworzeń - albo mójrz zalewających lądy, gdyby przyszło mu żyć w takim świecie. Przyglądał się martwej Deary ze spokojem boga z obsydianu.

Kiedy Deary umarła, Maytree poprosił Pete’a, żeby pomógł mu zgolić brodę, a panią Smither, by owinęła już umyte zwłoki w płótno żaglowe, pod którym Deary sypiała kiedyś na wydmach. Potem pani Smither wróciła do Camden. Była ciemna i dżdżysta noc.

Odpowiednia pora, żeby wynieść Deary na wydymową pustynię Provincetown.

Maytree niósł jutowy worek z kamieniami z zatoki, a Lou, Pete i Jane na zmianę dźwigali ciało Deary niczym torbę podróżną. Cornelius niósł Tandy na rękach, Pete zaś Manny'ego na barana. Jane robiła głupie miny, żeby rozbawić Tandy. Ponadto Marie i Jane targały łopaty i drewnianą skrzynię. Pochowali Deary na skraju lasu, w który już wkraczały wydmy. Deary zawsze miała nadzieję, że po jej śmierci wszystkie kutry i łodzie w zatoce staną w ogniu - ale oni zawinęli jej zwłoki w grotzagiel jak w ciasto francuskie, wcisnęli je do skrzyni i zakopali, usypując na wierzchu stos kamieni.

Maytree powiedział, że nastąpiło „zmęczenie materiału”. On i Lou przesпали prawie cały następny tydzień - Maytree w dawnym pokoju Pete'a, będącym teraz znów pokojem gościnnym z pojedynczym łóżkiem. A Pete wrócił na morze. Spod oszklonych drzwi sutereny zniknęły wszystkie stoliki, poduszki i krzesła Deary. Maytree i Lou z pomocą Corneliusa i Jane wtaszczyli rozebrane na części żelazne łóżko Lou dwa piętra wyżej.

Maytree'emu zdjęto już prawie wszystkie opatrunki. Siedział przy oknie w kuchni i ćwiczył, podnosząc słoje - najpierw puste, następnie pełne wody, a potem piasku - żeby odzyskać siły. Sądził, że rehabilitacja zajmie mu kilka dni, jak w czasach młodości. On i Lou zwrócili znajomym wszystko, co od nich pożyczycy.

Niejako publiczna śmierć Deary („I gdzie ona teraz jest? Czyżby życie jednostki nie miało żadnego znaczenia?”) stanowiła uwłaczające memento dla Maytree'ego, cios zadany rozumowi przez rozum. Wiara w to, że wszyscy jesteśmy częścią kosmicznej całości, wydawała mu się nie tyle myśleniem życzeniowym, ile bezsensownym. Wystarczy na przykład wspomnieć jego matkę. Albo zmarzniętą na kość załogę kutra rybackiego, która pewnego dnia utopiła się na ich oczach pod Peaked Hill Bars, trzydzieści metrów od plaży, gdzie zgromadzili się bezradni mieszkańcy miasteczka. Na przykład.

Był jeszcze małym chłopcem, kiedy matka zabrała go ze sobą na plażę pewnego sztormowego wieczoru, by zobaczyć kuter, który osiadł na mieliźnie pod Peaked Hill Bars. Jako pierwszy zginął Frisch Fragonelle. Toby Maytree rozpoznał go w ciemności po szczupłej sylwetce, bo każdy z obecnych na plaży potrafił rozróżnić sylwetki wszystkich trzymających się takielunku rybaków. Toby zmrużył oczy, próbując przebić się wzrokiem przez wodny pył, i los zrządził, że zobaczył, jak Frisch Fragonelle wypuszcza linę z rąk. Morze rwało się na szeregach piaszczystych łach z przodu i z tyłu statku, a strumienie piany na ułamek sekundy jakby oplotły postać wpadającego do wody Frischa Fragonelle, zanim przykryły go fale. Spadał z podniesioną głową prosto w dół, jak pion murarski.

- Cholera - powiedziała matka małego Toby'ego.

- Cholera jasna.

Całe zmarznięte miasteczko, zebrane na plaży, jęknęło.

Ojciec Maytree'ego i inni funkcjonariusze straży przybrzeżnej z posterunku w Peaked Hill Bars próbowali już wszystkiego - wystrzelili koło ratunkowe, usiłowali wpłynąć na płyciznę, a nawet spuścić na wodę stary kuter wielorybiczny, który kapitan Mayo przyciągnął

z miasta traktorem na plażę. Z początku rybacy, uczepieni lin i masztów, machali do zgromadzonych, jakby pozdrawiali ich w radosnym, nocnym uniesieniu albo jakby pragnęli

zwrócić ich uwagę na swoją sytuację, albo jakby chcieli się rozgrzać, mówiąc:

„ate a volta, adeus, do widzenia”. Woda, pył wodny i deszcz ze śniegiem zamarzały wokół nich, tworząc lodową skorupę. Toby i inni ludzie na brzegu machali rękami, podskakiwali i robili mnóstwo innych niepotrzebnych rzeczy, jak gdyby taka manifestacja wsparcia z ich strony mogła wlać otuchę w serca rybaków - i może faktycznie tak było.

Uwięzieni na mieliźnie marynarze spadali do wody przez całą noc jak żołędzie. Silny wiatr niósł ich słabe jęki. Toby zobaczył nagle, że coś przewala się w przybrzeżnej fali niczym kłęb białizny w pralce, i po chwili następna fala wyrzuciła na brzeg ciało Frischa Fragonelle'a. Ojciec Maytree'ego i jeszcze jeden funkcjonariusz straży przybrzeżnej przynieśli zwłoki i złożyli je bez słowa pod nogami żony Frischa. Wtedy matki z dziećmi zaczęły się zbierać z powrotem do miasta.

- Czy muszę już wracać do domu?

Toby miał osiem lat. Miał nadzieję, że mama odpowie: „Tak, do jasnej anielki, zmykaj stąd. Nie powinieneś patrzeć, jak ludzie z naszej floty rybackiej, przyjaciele twojego ojca, giną niemal na wyciągnięcie ręki od brzegu, a my nie możemy nic zrobić, żeby ich ocalić”.

Matka pochylła się i spojrzała mu w oczy. Miała popękana skórę na twarzy. Głowę osłoniła dwoma wełnianymi szalami, a palce owinęła w ich frędzle.

- Nie - powiedziała. - Nie musisz wracać do domu. To, co widzisz, to część ludzkiego życia.

„Do diabła” - pomyślał. Jednak nie dlatego, że miał oglądać, jak topią się jego bliźni, ale dlatego, że dowiedział się, że śmierć jest częścią życia.

A jeśli matka Maytree'ego, ta utopiona załoga i Deary są dzisiaj zielonymi krzewami albo gazem międzygwiazdowym, to cui bono? Tu rozum nas zawodzi.

To, że śmierć dotyczy wszystkich ludzi, przyniosło pociechę Markowi Aureliuszowi.

Ale czy dla człowieka istnieje coś ważniejszego niż on sam?

Oczywiście wszyscy opiekowali się Deary. Czy ta opiekuńcza miłość była konwencją zdeterminowaną genetycznie czy społecznie? Koncepcja miłości jako nieodpartej namiętności nie chciała zgasnąć w Maytree'em bardzo długo, chociaż od dawna już wiedział, że jest fałszywa. Czy był zakochany w Deary przez te wszystkie lata? Nie, ale nigdy nawet mu się nie śniło, że zepuści swoje zmrożone korzenie gdzie indziej. Co, może miałby odbić i porwać ponętą żonę najlepszemu poecie z Maine? Albo, powiedzmy, jego urzekającej urody córkę?

Miłość Lou do Deary mogła być tylko mniejsza, podobnie jak miłość szlachetnego Pete'a. A zatem co kieruje ludzką wolą? Rozum? Ten ulubieniec dawno umarłych Greków, gwarant nauki, którą Maytree tak ukochał? Z pewnością rozum nigdy nie kupczył ludzkim życiem uczuciowym, a nauka całkowicie zmyła z siebie zapach miłości. Maytree nie znajdował w sobie właściwie innego uczucia niż naturalna chęć, by pomóc Deary, ulżyć jej w cierpieniu. Czy to stałe obecne w nim pragnienie, żeby Deary było jak najlepiej, pragnienie, którym kierował się przez całe lata, a Lou i Pete przez osiem tygodni - czy to jest właśnie miłość?

Chcieć czegoś i robić coś w granicach możliwości oznacza kierować się wolą; więc miłość jest

aktem woli. Nie wymuszonego posłuszeństwa, lecz... Czym?

Oczywistym zewem przyzwoitości? Wewnętrzną znajomością dobra? Czy to rozsądne

- kochać dobro?

I czy dobrze jest kochać rozsądek? To przeraźliwie nudne. A żona malarza była niczym łania...

Maytree kupił w warsztacie trzy nowe opony do swojego auta i zastąpił nimi stare.

Wymienił też wycieraczki przed galerią naprzeciwko domu. Wszedł, umył się, rozwiesił na sznurze koszule nocne Deary, a potem owinał w nie (i w tweedową garsonkę) jej biżuterię.

Zawiniątko zapakował w gazetę, przewiązał sznurkiem i schował w skrzyni razem z nagle już niepotrzebną torebką Deary. Kiedy ją gubiła, zawsze razem zawzięcie jej szukali.

Stał za domem Lou, oparty skrzyżowanymi rękami o poręcz na prowadzących na plażę schodach do domu sąsiada. Rozkołysane morze wznosiło się wśród tak przeraźliwej ciszy, że okoliczne domy przypominały mu uśpione prehistoryczne - świeżo uformowane z przedwiecznej gliny i schnące teraz - dzieci. Mróz zdawał się rozkruszać uszy Toby'ego na cienkie, jakby skamieniałe płatki.

Tęsknił za wielkimi drzewami z Camden. W Maine będzie miał czas, żeby czytać i pisać. W jadalni, gdzie jest stół i kredens, urządzi sobie gabinet, rozłoży ze dwa stoliki karciane, a trzy telewizory wystawi na ulicę. Natomiast w swoim dawnym gabinecie zbuduje półki na książki. Kupi katamaran firmy Hobie Cat i jakiegoś kundla, któremu pozwoli swobodnie biegać po podwórku. W maju na rynku budowlanym Camden znów zacznie się ruch. A jeśli nie, to Maytree przejdzie na emeryturę. Miał już o wiele więcej pieniędzy, niż potrzebował, nawet gdyby przyszło mu umierać w szpitalu. Ale sam proces odchodzenia na emeryturę zajmie Toby'emu dwa albo trzy lata, bo będzie musiał znaleźć i wyszkolić nowych ludzi, żeby interes, który prowadził z Deary, mógł kręcić się dalej bez nich.

Potem Maytree zaczął się jednak zastanawiać: czy ten interes ma nadal jakieś znaczenie? Rozkręcenie go zajęło im długie lata, więc dlaczego miałyby mu ich poświęcać jeszcze więcej? Żeby pamiętano o Tobym

Maytree, kiedy umrze? Jak o piramidach egipskich? Co za bzdury. Może po prostu odejść. To dopiero będzie prawdziwa rewolucja.

Patrzył, jak po oszronionej linii brzegowej człapie mewa. Właściwie od wielu lat miał

pomysł na długi poemat - ale jak dotąd nie wymyślił do niego ani jednego wersu.

Rzadko przyznawał, że umrze jak każdy z nas, chociaż oczywiście straszniejszą śmiercią. Dowiedział się z jakiejś książki, że czterech na pięciu ludzi kona długo, pod opieką rodziny albo obcych bądź wielkodusznych ludzi, jak pani Smither.

Fale zamknęły plażę. Maytree uszczypnął się w nos.

Uschłe trawy z tyłu domu zachwiały się jednocześnie niczym koński ogon.

Czy odkupił swoje winy wobec Lou? Czy jakimś cudem mu się to udało? Choćby dlatego że

sam także wypełniał obowiązki, którymi ją obarczył? Przydałaby mu się znów jej wiedza ogólna i inteligencja.

Jego zdaniem Lou była już za stara, by żyć samotnie.

Ma reumatyzm w kręgosłupie, kolanach i łokciach.

Wiele lat temu w ogrodzie zoologicznym na Bronksie lew i tygrys zostali mlecznymi braćmi. Lwy pochodzą z Afryki, a tygrysy z Azji i gdyby się spotkały na wolności, rzuciłyby się na siebie. Ale w zoo lew i tygrys zostały przyjaciółmi. Żaden z nich nie wiedział, jak sam wygląda, wiedział jednak, jak wygląda ten drugi.

Znali się, odkąd sięgali pamięcią. Lew zatem, ma się rozumieć, myślał, że jest tygrysem, i bał się dorosłych lwów; z kolei tygrys bał się dorosłych tygrysów, więc obaj czuli się bezpiecznie wyłącznie w swoim towarzystwie, we dwóch.

Maytree przyglądał się kotłowaninie na niebie i wyptywającym w morze poławiaczom małży.

Wciąż tkwił na tych trzech stopniach wiodących na plażę. Czy Lou też nie była kiedyś jak łania? Czy nie była pomnikiem niestarzejącego się intelektu i tak dalej? Doskonale pamiętał swoje życie z Lou. „Lecz jeden człowiek miłował duszę wędrowną w tobie”. Czy ona mogłaby pomyśleć coś takiego o nim? A poza tym jak mógłby zainicjować teraz ten związek, skoro było na niego o wiele za wcześnie, a niedługo w ogóle nie będzie możliwy?

Co ich czeka? Film, gazowany napój czekoladowy i dwie słomki, o ile uda im się nie zasnąć przed telewizorem? Z drugiej strony, to chyba naturalne, że mężczyzna adoruje swoją żonę, choć stopień jego pokory zależy od głębokości strumienia, w którym stoi. Maytree i Lou mieli wspólną przeszłość. Ich czternastoletnie małżeństwo było daleko ważniejsze niż trwające dwadzieścia lat rozstanie. Oczywiście

Lou mogłaby się z nim nie zgodzić. Nigdy nie zauważył, żeby miała cokolwiek do roboty. Czy ona w ogóle kiedyś coś robiła?

Lou znalazła Maytree'ego pogrążonego w rozmyślaniach, uwieszonego poręczy schodów prowadzących do domu sąsiadów. Podciągnął spodnie wysoko na wystający brzuch i kręcił na zmianę to jedną, to drugą stopą w wełnianej skarpecie koło, którego piastą była jego pięta. Poznała ten gest, choć już go zapomniała. Uśmiechnęła się i obciągnęła kurtkę.

Czy Maytree zamierza wrócić do Maine, czy może - niech Bóg ma w swojej opiece wszystkich marynarzy! - chce ją zapytać, czy nie mógłby się wprowadzić do niej z powrotem?

Lou zastygła w bezruchu pod tylnymi drzwiami, żeby Toby jej nie usłyszał. Niebo biegło daleko wokół obręczy horyzontu niczym długodystansowiec. Mętna morska kra chwilami wznosiła się łagodnie i opadała, a zmrożona piana na linii brzegowej przypominała osad na zwarzonym polu żyta.

Tej zimy, zanim przyjechali tu Maytree i Deary,

Lou krążyła wokół pewnej galaktyki pomysłów na tyle blisko, na ile tylko pozwalała jej odwaga. Czy człowiek może spamiętać wszystkich ludzi ze swojej przeszłości i teraźniejszości? Zastanawiała się dalej, czy przypadkiem nie o to właśnie chodzi - chociaż nie miała zielonego

pojęcia dlaczego i po co. Poza tym czy w życiu w ogóle musi o coś chodzić?

Zaczęła w końcu skłaniać się ku opinii, że może jednak życie ma jakiś sens.

Jakiś. Jakikolwiek.

Coś musi być na ten temat w książkach. Szukała wszędzie. Największym aktem odwagi byłoby spróbować zapamiętać wszystkich ludzi z przeszłości i teraźniejszości i tak dalej, mieć świadomość ich istnienia...

Albo chociaż mieć świadomość, że... Albo tylko mieć świadomość... Lou starała się zachować ostrożność.

Zgoda na to, że życie może mieć sens, a nawet przyznanie, że taka ewentualność w ogóle istnieje, mogłaby się źle skończyć. Otworzyła się przed nią zarówno przednia, jak i tylna ściana czasu, ale „lepiej w takich myślach wiosłować, niż tylko w domu sprzątać i gotować”.

Obserwowała Maytree'ego przed domem na skraju plaży. Wyglądało na to, że Toby ma zmarznięte uszy.

Lou poczuła, że przez całe życie posunęła się w odpowiedziach na podobne pytania nie dalej niż, powiedzmy, o pół milimetra. Jej przekonanie, że każdy szczegół jest studnią bez dna, z czasem się pogłębiało - a im bardziej się pogłębiało, tym więcej obejmowało pytań.

Cofająca się fala pozostawiała po sobie pierścień osadu, a rybitwy narobiły straszego wrzasku nad zmarszczonym splechciem morza - widocznie odbywa się tam ślodziowy bal.

Czyżby Lou przekuła swoją samotność w postawę moralną? Rozmawiając ostatnio od czasu do czasu, Lou i Maytree wspominali swoją niedawną przeszłość - zwłaszcza jednak przeszłość

Maytree'ego. Czy zostało w nim jeszcze coś z poety?

Nie powiedziała mu, jak bardzo ceni ryzyko swojej własnej wyprawy w prostotę. Od ilu to już lat niczym

Diogenes sporządza spis wszystkich rzeczy, których nie potrzebuje? Jej myśli przyspieszały, zbiegały ze stromej, niekończącej się wydmy, za którą widać było więcej wydym, zawierających cały czas i każde miejsce na świecie - niby królicza nora z pewnej powieści. Jak można sadzić takie wielkie susy i nie upaść?!

Przypomniało jej to stary żart kpiący ze słynnego muzeum i galerii Ripley's Believe It or Not: „ALEŻ KACZKI WCALE NIE POTRAFIĄ LATAĆ! One są po prostu DOSKONAŁYMI SKOCZKAMI!”.

Jeżeli Maytree powróci do swojego życia w Maine,

Lou będzie mogła dalej szukać interesujących ją tematów, wszędzie - w innych kulturach, w myślach obcych ludzi, w paleontologii, w starych klinowych i runowych napisach na kamieniach, w filozofii Wschodu...

- i niejako opukiwać te tematy laską od spodu, czy jak tam Lou pracowała.

Koncentrowała się na gwintowaniu luf, lotkach strzał, na stępce albo skegu - na wszystkim, co mogłoby jej pomóc trafić do celu. Co to za szum? Czy kolejne pokolenia go czynią, czy raczej słyszą? Zapomniała się jak chmura. Było to życie poza zasięgiem słuchu świata, które wykroiliła ze swojej wolności. Ona i Maytree pasowali do siebie jak dwa lotniskowce.

Linia wody rysowała się ostro. Za plecami Maytree'ego fale rozbijały się o brzeg w regularnych konwulsjach - na morzu zerwał się silny sztorm, a chmury pędziły w dwóch albo trzech kierunkach naraz. Co pojawiło się w jej świadomości, kiedy Maytree przywiózł Deary do Provincetown? Ależ nic: wreszcie miała się czym zająć. Kiedy okazywało się, że trzeba coś zrobić, po prostu to robiła, zmoczyła więc ręcznik i od razu podeszła do łóżka Deary.

Co Maytree może poszerzyć w swojej nagiej świadomości? No tak, jest jeszcze jego samochód, samochód Deary i ich łódź. Została też firma i księgi podatkowe. I nowe nabytki, o których jej wspominał: wieże hi-fi, kolumny, magnetofon, radio, telewizory, kamera filmowa 35 mm, odtwarzacz wideo i narty. Nie wspominając już o starszych rzeczach jak narzędzia, notesy, no i o tym, co najważniejsze - o książkach! Każdy zamożny człowiek mógł

zamieszkać w Provincetown i kupić tu duży dom. Lou potrzebowała Toby'ego i tego jego złomu jak piątego koła u wozu - z wyjątkiem chatki na wydmach. Maytree znów nią zawładnie i przeprowadzi w niej niezbędne naprawy. To, że kochała Toby'ego i jego wielkiego ducha, nie miało żadnego praktycznego znaczenia.

Wciąż stał dumnie na plaży, kreśląc w powietrzu stopami koła. Może te ćwiczenia pomagały mu uśmierzyć zarówno bóle reumatyczne, jak i tęsknotę. Owiął ją wiatr, kiedy zbliżała się do niego z tyłu. Toby opierał się o poręcz, jakby jej potrzebował. Co trzymało go z dala od niej przez te dwadzieścia lat? Nie sądziła, żeby to była Deary, która wszystkie życiowe przeszkody pokonywała śpiewająco. Lou miała też nadzieję, że nie był to wstyd -

choć z drugiej strony wiedziała, że

Maytree się wstydził.

Podkradła się bliżej i objęła go w pasie, a on od razu nakrył jej dłoń swoją lewą ręką, której kciuk pozostał nienaruszony. Jak on to zrobił? Dotyk Maytree'ego okazał się delikatny.

Jego ręka zakrywała dłoń Lou całkowicie, ale nie trzymała jej, nie ścisnęła. Ani ona, ani on nie przekraczali granicy serdeczności.

Bardzo lubiła mieć go obok siebie - lubiła jego swobodę, kompetencję i towarzystwo.

Jak to szlachetnie, że pomagał jej opiekować się Deary! (Och, takich facetów już nie ma; cóż, trudno, co robić?)

Fałdy na jego szyi z tyłu sprawiały, że Maytree wyglądał jak człowiek, który przeżył

kilka dekapitacji.

Lou wiedziała, że to ona musi odezwać się pierwsza, choćby miała jedynie zadać pytanie. A była ciekawa jednego: czego sama chce?

IN a kilka dni przed powrotem do Maine Maytree poszedł z Lou na wydmy, żeby sprawdzić, czy w chatce jest wszystko w porządku. Złożył jej tę chatkę i w ogóle całe swoje życie w ofierze

dwadzieścia lat temu. Na rozwidleniu ścieżki Lou skręciła prosto nad morze, by trochę popływać. Zdumiewało go, że niektórzy ludzie mieli tu zwyczaj pływać - pomimo Prądu Labradorskiego! - każdego letniego dnia, a nawet do końca października, albo dopóki wystarczało im sił.

Ale wyglądało na to, że akurat sił nigdy im nie brakuje. Parzyły ich mątwy i portugalscy żeglarze, zwani też aretuzami, a poza tym natykali się czasem na rekiny. Maytree przypomniał sobie Lou w czerwonym kostiumie kąpielowym, machającą do niego z daleka z otwartego morza podczas jakiegoś wiosennego odpływu. Woda sięgała jej zaledwie do połowy piersi, bo stanęła sprytnie na piaszczystej łasze. Kiedy wróciła na brzeg, zapytał:

- Jaka woda?

Już jako dwudziestoparolatka Lou znała trzy języki obce i w każdym z nich milczała.

Maytree wbiegł na górę po schodkach do drzwi chatki i poczuł przez skarpetki, że dwa z czterech stopni się uginają. A niósł na rękach Manny'ego, synka Pete'a.

Sztormowy piasek wypolerował żaluzje na błysk.

Godzinę później Lou znalazła między materacem a ścianą porzuconą wylinkę węża.

Podniosła półprzezroczystą skórę na wysokość skroni Maytree'ego, ale ogon wciąż ciągnął

się po ziemi. Znaleźli też mysie odchody, wyglądające jak posypka, i gniazda z pociętych gazet. (Dlaczego zostawiła na wierzchu poduszki i papier? Czyżby traciła już rozum?) Zauważyli także szparę w podłodze, między deskami.

Można porzucić kobietę, ale - jak się okazało - nie chatkę. Toby miał wrażenie, że harował na nią przez całe życie. Kiedy był mały, jego ojciec, budując ten domek na wydmach, wykorzystywał czasem synka jako imadło czy kłamrę. Maytree obszedł chatkę wokół i zajrzał pod nią, żeby przypatrzeć się szparze w podłodze od spodu. Jego ojciec wsparł całą konstrukcję na wkopanych w piasek balach, czyli pociętych piłą na kawałki pniakach wyrzuconych na brzeg przez morze.

Ciężki ruch wydm z wolna przesunął i przechylał bale, więc Maytree przez czternaście lat wzmacniał je i zabezpieczał. Teraz okazało się, że bale naróżne znów się przechyliły - i że tak źle dotąd jeszcze nie było.

Maytree zobaczył na podłodze stare ślady ołówka.

- Czyja to robota? - krzyknął żartobliwie do Lou niczym jej nowy dentysta. - Przecież to ruina! Powinnaś podać wykonawcę do sądu.

Lou akurat karmiła na górze Manny'ego. Choć łatwo ją było rozbawić, Maytree nigdy nie nudził się prowokowaniem jej do śmiechu.

Obliczył, że nie widział domku przez dwadzieścia jeden lat. Nie, niech to licho porwie, nie - przecież zaledwie pół roku temu spał tu na podłodze. Pół roku temu. Nie zauważył wtedy zbiornika z propanem ani rurki. W ogóle niewiele zauważył tamtej nocy.

Pamiętał, że zmarł na kość, czuł się jak stary dziad i leżąc na podłodze, wściekał się z bólu,

zgięty w pół, jakby dostał kulą w brzuch.

Kiedy Lou otworzyła mu drzwi owego wieczoru, o mało nie upadł - a przecież miał

ręce w gipsie. Ciepło i blask jakby go poraziły. W drzwiach za jej plecami paliło się żółte światło, tworzące aureolę nad jej głową. Zauważył, że z tyłu, na ściennej półce, dymi lampa o czerwonym kloszu - widocznie Lou używała taniego paliwa. Poczuł, że pieką go przekrwione oczy.

A ona od razu tamtego wieczoru powiedziała, że oczywiście, przyjmie jego i Deary pod swój dach i pomoże im, będą mogli zostać w mieście na zimę i na okres jego rekonwalescencji. Była w czerwonej, rozpiętej pod szyją koszuli. Znał tę kobietę - ona się niczemu nie dziwiła.

Bo czym można by zaskoczyć tę starą czarownicę?

„Wejdz” - powiedziała jego własna była żona, Lou, a on zobaczył jej owalną twarz i szeroko otwarte, wciąż pełne czułości oczy, albo znów pełne czułości, albo pełne czułości z przyzwyczajenia.

Gdy tylko zauważył swobodne spojrzenie Lou owego wieczoru, zaczął go morzyć sen, ale musiał się wziąć w garść i zachować większą ostrożność w rozmowie niż kiedykolwiek przedtem. Postanowił napić się tylko wody i wrócić przez wydmy do motelu.

Lou rozpięła mu kurtkę. Pił herbatę z bardzo gorącego i zbyt ciężkiego wtedy dla niego kubka. Przypomnił sobie, że siedzieli nocą przy stole, a jego głównym zmartwieniem były nogi, które dopiero zaczynały mu tajać. Nogi i odpowiedź na pytanie, kto tu zwariował: ona czy on.

W pokoju zrobiło się gorąco od płomieni lamp. Lou powiedziała: „Oczywiście, naturalnie”, jakby omawiali to wszystko od miesiący, śmierć Deary i jego połamane kości, i jakby zgodziła się pomóc już dawno temu.

Albo jakby po jego tragicznym w skutkach wypadku na schodach u doktora Cobo sama zaprosiła jego i Deary do swojego domu w Provincetown, by mogła się opiekować Deary, a on się zgodził, chociaż wyleciało mu to z pamięci. Czyżby więc Maytree przedzierał

się przez dzikie wydmy w ciemności i późnym wieczorem stanął półżywy w jej drzwiach tylko po to, żeby się upewnić co do czegoś, co już wcześniej ustalili? Na samą myśl o tym dostawał gęziej skórki. Pani Smither zawiozła ich na Cape Cod zaledwie dzień po wypadku.

Czy Lou spodziewała się go wtedy? W każdej chwili?

Nawet kiedy już założono mu gips, nie myślał o tym, żeby się jej narzucać, i jeszcze długo nie - co najmniej przez kilka godzin.

O tak, wciąż czuł w kolanach i udach ten niedawny, wężowo przebiegły dzień, kiedy Lou oplótła go z tyłu ramionami. Właściwie już nie pamiętał, dlaczego tak bał się szukać schronienia z Deary u niej. Oczywiście, że Lou była zbyt mądra, by długo mieć do nich żal.

Tamtej zimnej nocy w chatce na wydmach Lou była chłodna, a on wyczerpany. A teraz być może uratowanie tej wiecznie walącej się chatki przed upadkiem i wilgocią znowu stanie się jego obowiązkiem. Może

Lou wiedziała, że tak będzie.

Manny z plecakiem pod główką zasnął na szerokim na cztery deski tarasie. Zanim Lou przyniosła chłopca do domu, obsiadły go gęsto komary, a kiedy się obudził, Maytree wziął malca na ręce i opukał jak beczkę.

- Na pewno nie jest głodny - zwróciła się Lou do

Maytree'ego. - Niedawno jadł!

EPILOG

Poczucia, że żyjemy, nic nie przywraca nam równie dobitnie jak narodziny nieoczekiwanego, znalezienie człowieka, w którym zakochujemy się po uszy, choć wcześniej nawet nie podejrzewaliśmy, że można kogoś tak kochać.

Ralph Harper, On Presence

Czasami budzili się razem z głębokiego snu, jakby właśnie zaczynało się trzęsienie ziemi, czarną nocą, w której gwizdał metalicznie wiatr, i pod naporem gwiazd, szturmujących ich pokój przez okna. Jeżeli powracała namiętność, wybuchali śmiechem.

Czasami w dzień albo w nocy Maytree słyszał, jak ciężko oddychają, starzy niczym oceany i doświadczeni życiowo. Obejmowali się i patrzyli sobie nawzajem przez ramię na wrak świata, na którym wszystko zostało już zniszczone, na pustkę, której się wystrzegali.

Czasem jednak kołysali ten świat między sobą jak śmiertelnie chore dziecko, które kochają i właśnie dlatego nie mówią mu wszystkiego.

Teraz z litości oboje dźwigali swoją samotność, ogromną jak nasza poplątana planeta.

Odkąd się zestarzelili, wszystko wyglądało lepiej.

Rankiem w pościeli pozostawał słodki zapach jej ciała. Jego bliskość z Lou nie miała granic. Sondował ją pół życia i nigdy nie dotknął dna. Deary oraz dziewczęta z jego młodości pozostawały na marginesie, podobnie jak on sam i wszyscy jego znajomi. Lou niczego przed nim nie ukrywała, ale Maytree i tak zdawał sobie sprawę, że nie udało mu się poznać jej do końca.

- Udawajmy, że jesteśmy starzy - Lou przypomniała sobie, że mówili tak, kiedy byli młodzi. Obserwowali huraganowe fale rozdzierające plażę. Wracając, szli noga w nogę tak równo, że wyglądali, jak gdyby razem mieli tylko trzy nogi.

- Wkrótce nadejdą te dni - powiedział Maytree.

Przestraszyła ją jego powaga, a teraz nadeszły te dni.

Lou pamiętała czas, kiedy skóra na czole Toby'ego była napięta niczym skórka jabłka.

Dotknęła palcem swojego czoła i narysowała na nim kółko. Skóra marszczyła się na niej jak na króliku. Wydawało się jej, że łydki ma jak gdyby powiązane w ciasne supły. Chciała przeczytać

książkę - która by jej nie zwała z nóg, ale poruszyła. A kiedy przyjdą dni mądrości?

Przez cały pierwszy tydzień po swoim powrocie

Maytree budował półki na książki.

- Czy powinienem znów zapuścić brodę? - zapytał.

Podobał się jej z brodą, ale nic nie odpowiedziała.

Ostatnia opinia, jaka wyszła z jej ust, dotyczyła wiśniowych mebli Deary.

- Może je sprzedamy albo rozdamy znajomym?

Żałowała tych słów. Od tej pory traktowała jego życie w Maine z Deary jako świętość, której nigdy już nie zbezcześciła.

Wieczorem Maytree chciał pomóc jej siekać cebulę, a po kolacji planował zabrać ją na spacer po plaży w świetle księżyca. Świetna propozycja, ale Lou wolała posiedzieć w domu przy ogniu. Maytree sprawiał wrażenie, jakby cały czas chciał mieć ją w zasięgu głosu.

Domyśliła się, że po raz pierwszy zrozumiał - pewnie dlatego, że widział, jak Deary umiera -

że przez całe życie był wystawiony na ostrzał przeciwnika. Dla niej ten ostrzał nigdy się nie skończył, podobnie jak piękno - nic nie straciła i nic nie zyskała. Być może Toby potrzebował

jej jako falochronu albo lisiej nory, a w najlepszym wypadku jako kompana, który umie gotować. Może powinien sprawić sobie dużego, bardzo dużego psa.

Widziała zza zielonego stołu kuchennego, jak kręci się po plaży; głowa podskakiwała mu niczym marionetce. Lou pobrudziła sobie bluzkę węglem. Pokolorowała swoje życie barwami jego życia, życia tego jednego mężczyzny spośród miliardów innych, w większości nieznanym. Ale teraz w nikim nie szukała życiowego oparcia.

Cóż, taka już jest, raz się zakochuje, a za chwilę, w sytuacji pozornie zupełnie niezwiązanej z miłością, jakiś nieznany jej bliżej maleńki człowieczek próbuje jeździć na wrotkach po domu. Przed przybyciem tego nowego lokatora (a w przyszłości zapewne i innych jemu podobnych) Lou żywiła absurdalne przekonanie, że jej życie jest spełnione.

Kiedy Petie był mały, zakładała, że chłopiec zorganizuje swoje życie wokół niej - bo czyż cudownym sposobem i delirycznie nie stanowili w zasadzie jednej istoty? Ale mija krótka chwila i oto Petie przynosi pokazać jej swoje własne, zaskakująco nowe, dotąd nieobecne na świecie dziecko, jakby

Lou nigdy wcześniej nie widziała nic takiego na oczy.

A kto widział? Miała wrażenie, że przez szparę pod drzwiami wciska się do domu morska woda.

W ostatnich latach życia Lou zastanawiała się nad pięknem - osłabłą falą, wstrzymującą oddech przed powodzią. Nigdy nie wiedziała, jak rozumieć piękno.

Na pewno nie znajdzie na to odpowiedzi u Darwina, w ewolucji chemicznej, w optyce, w psychologii, a nawet w antropologii kognitywnej. Ograniczywszy przedmiot filozofii do pewników, Wittgenstein poniewczasie zdał sobie sprawę, że wprowadzie w dobrej wierze, ale popsuł swoją ulubioną zabawkę - metafizykę, bo w ten sposób zabronił jej wkraczać w jakiegokolwiek interesujące rejony myśli ludzkiej, i chyba niejako dla równowagi przez resztę życia zajmował się religią, co można uznać za zaskakujące. Lou i Cornelius uważali, że filozofia strywializowała samą siebie i dlatego nie znajduje się dziś w centrum zainteresowania. Tymczasem nie pojawiło się nic, czym można wypełnić tę lukę, a co zawierałoby pytanie o - jak to się czasem mówi - „zagadkę bytu” i sprawy najistotniejsze, oczywiście jeśli nie liczyć sztuki. Sztuki pozbawionej zarówno narzędzi epistemologicznych, jak i kryterium sprawdzalności, co zawsze pociągało ludzi niespełna rozumu - choć może to właśnie pod wpływem sztuki pograżali się w szaleństwie.

Dwudziesty czwarty był pierwszym i - jak się później okazało - ostatnim ciepłym dniem czerwca. Lou i Maytree właśnie podcinali sobie włosy na schodkach przed drzwiami.

Poprosiła, by ostrzygł ją na krótko.

Miała tak grubo warkocz, że spinki czasem pękały na nim z trzaskiem, jakby ze strachu.

Na początku czerwca, zanim przenieśli się na lato do chatki na wydmach, pojechali w miejsce, które nazywali Nową Plażą, choć inni używali nazwy Herring Cove. Przywieźli ze sobą książki - Lou swoje, Maytree swoje. Lou wbiegła od razu do wody, a Maytree poszedł na spacer. Było na co popatrzeć. Miejscowi mieszkańcy nieformalnie podzielili plażę. Pół mili na lewo od parkingu, patrząc w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, Toby napotkał mnóstwo kobiet, które leżały na ręcznikach i rozmawiały. Potwierdziły się zasłyszane plotki - plażowiczki nie miały na sobie nic poza kolorowymi plastikowymi osłonkami na oczy. Większość z nich liczyła sobie ponad czterdzieści wiosen, a niektóre były zapewne po siedemdziesiątce. „Pan Bóg i sąsiedzi” - tak jego matka nazywała plenerowe jury, które obradowało zawsze i wszędzie, o czym łatwo było się przekonać, po prostu wychodząc z domu. Maytree nigdy nie widział tylu nagich kobiet naraz - a poza tym on je widział, ale one nie widziały jego. Biorąc pod uwagę, że rozmaite zachowania typowe dla hominidów można oglądać na Ziemi już od trzydziestu milionów lat, zarówno Pan Bóg, jak i ci przysłowiowi sąsiedzi oglądali już na pewno gorsze rzeczy - ale niewiele dziwniejszych. Przez te osłonki na oczy - dwa owalne, lekko wypukłe kawałki plastiku, połączone na nosie jak okulary - wszystkie kobiety wyglądały, jakby miały zeza.

Dalej ciągnął się szereg nagich mężczyzn, opalających się, jak ich Pan Bóg stworzył.

Co jest, na litość boską? Oburzony Maytree pospiesznie wrócił do Lou, leżaków i dwóch książek.

Lou zapytała, czy pamięta Rossa i Milo. Oczywiście, Maytree znał serdecznych przyjaciół ich rodziców, ale nie rozumiał, dlaczego Lou wspomina tych facetów w tym kontekście. Przecież ci ludzie na plaży nie zważają nie tylko na „Pana Boga i sąsiadów”, ale nawet na dzieci! Ross Wye i Milo Matheson mieszkali razem na Pearl Street przez prawie pięćdziesiąt lat. Ross był dobrze wykształconym malarzem impresjonistą, a Milo hodował jamniki.

- Ale oni przynajmniej się nie afiszowali.

Tego wieczoru Lou zaciągnęła go na występy drag queen. Potem wrócili piechotą do domu, przeciskając się pod prąd się w tłumie przechodniów.

- Co mamy o tym myśleć?

- Że to wszystko jeden wielki żart i pretensjonalność. I oczywiście „Co ludzie powiedzą?”, a poza tym, że można umrzeć ze śmiechu. Zresztą i tak pomrzemy.

Pomyślał, że Lou zrobiła się na starość bardziej gadatliwa i w Camden nie znalazłby się ani jeden mężczyzna przebrany za Carol Channing. Niewiele brakowało, żeby jej to powiedział, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Napisze jeszcze jeden tomik: poemat Jutro odbędzie się wielka bitwa morska o dylemacie Arystotelesa. Czy potrafimy ustalić prawdę albo fałsz zdań w sensie logicznym?

Maytree w żadnym wypadku nie skończył jeszcze z morzem - ani ogarniętym bitwą, ani pustym. Prawda i fałsz to istna beczka śmiechu. Na początek przeczyta Willarda Quine'a, a potem po raz kolejny Odyseję i historię blokady morskiej z 1812 roku.

Dlaczego? O tym mieli się przekonać czytelnicy.

Tego pierwszego roku z ich wielu nowych wspólnych lat zostali na wydmach do połowy października, kiedy zaczęły się już pojawiać żurawiny i ludzie z wydm spotykali się w żurawinowych ogródkach.

Byli wśród nich ulubieni młodzi przyjaciele państwa

Maytree, inteligentni i zabawni, dzięki którym długoletnim wysiłkom udało się przekonać urzędników, żeby nie wyburzać domków na plaży. Którejś nocy wczesny mróz ściął lodem pompę w studni, a chmury zaczęły się wycofywać na zimowe wysokości i zrzedły.

Zabili chatkę deskami. Tej jesieni obwiązali wygodkę linami jak zawsze, ale jeszcze mocniej niż zwykle, by oparła się sztormowym wiatrom. Może po zimie będzie nareszcie stała prosto. Wiedzieli jednak, że nie.

Kiedy wrócili do swojego równie wietrznego domu nad zatoką, liście opadły już z drzew. W pnączu glicynii przed domem sąsiadów zauważyli gniazdo. Maytree zdjął je z gałęzi i pokazał Lou. Ptaki, które odleciały tymczasem na zimę, wyścieliły je między innymi jej złotosiwymi i jego rudosiwymi włosami, splatając je w gładką miseczkę wśród gałązek.

Toby wiedział, że swój ostateczny kształt gniazdo zawdzięcza wojnom piskląt, a te z nich, które dały się z niego wypchnąć, zostały pożarte przez mrówki.

Na starość oboje coraz chciwiej pożąдали piękna: królewskiego w ich oczach morza, wygiętych jak sejmitary cieni wydm i nieustannie ginącego nieba. Przechowywali w sobie to wszystko - po co? Po długich latach ślepej martwoty znowu zdumiewały ich fale w zatoce. Bo fale w zatoce przypominały im świat, łącznie z jego nieprzyjemnym zapachem. Dwa razy w miesiącu wiosenne przypływy powiększały morze, nie zmniejszając nieba. Przez trzy dni i trzy noce po pełni i nowiu wody zatoki zalewały plażę, wchodziły ludziom na schody i niosły na swoim grzbiecie płaskie chmury. Lou widziała je, wyglądając z okna kuchni na plażę.

Ludzie gdzieś zniknęli. Morze wzbierało nad ziemią bezszelestnie i niezauważalnie, jak

wędrujące po niebie gwiazdy. Poczwała, że łzy napływają jej do oczu, ale było to złudzenie.

Widziała zdychające ryby, wyrzucone na piasek niczym baloniki, w których sznurki zaplątywały się żółwie morskie, mylnie biorąc je za swoje główne źródło pożywienia -

mątwy.

Sześć godzin później morze cofnęło się w stronę

Europy, pozostawiając za sobą całe hektary brązu.

Ludzie, chłodząc oczy widokiem okolicy, spacerowali po chłonnej nawierzchni, którą można by także nazwać grząskim błockiem. Błąkali się wśród przechylonych na bok łodzi i kutrów, uwiązanych na suchych cumach. Dalej i jeszcze dalej Lou widziała migotliwe postaci wędrujące po piaszczystych łąkach. Stojąc na błotnistej równi, chciała z radości zacząć machać rękami, jak wiele urzeczonych dzieci - dzieci, których nigdy przedtem nie widziała.

Nie było tu żadnych ścieżek ani granic, tylko goła skóra naszej planety. Dzieci mogły biegać wszędzie, więc biegały. Grzęźli jedynie dorośli.

Lou zapamiętała twarze swoich przyjaciół i tych dzieci, twarz Maytree'ego i jego kolana, chmury i swoje ulubione obrazy. Słuchała Pete'a Fountaina. Potrafili spędzić kilka godzin w samochodzie, żeby zobaczyć pokaz ogni sztucznych. Spytała Maytree'ego, czy dzisiaj ludzie boją się ciemności. Bo po co tak wszystko oświetlać? (I tak dalej...) I jeszcze: czy ludzie nie patrzyliby w niebo nieco częściej, gdyby musieli za to płacić?

Kiedyś miał nadzieję zdobyć coś, co posiadał Pico della Mirandola, a co Keats nazywał wiedzą ogromną. Maytree zgodził się jednak na wiedzę skromną.

Manny bawił się, udając ciężarówkę. Co tak konkretnie - albo nawet ogólnie -

powinniśmy robić na ziemi? Albo inaczej: jak najlepiej spożytkować dany nam krótki czas?

W Maine Maytree przez co najmniej dziesięć lat czytał różne dzieła z dziedziny etnografii i prehistorii, pytając ludzi wszystkich wymarłych i istniejących kultur: „Jak organizowaliście sobie czas?”.

Toltekowie, Olmekowie et alia zwykle go irytowali, aż wreszcie przeczytał starą księgę Majów, księgę brzasku życia:

„Pierwsze istoty składały dzięki bogom:

- Dziękujemy, po dwakroć, trzykroć,

Że zostaliśmy stworzeni. Dostaliśmy usta i twarze.

Mówimy, słuchamy, myślimy,

Poruszamy się... Mamy niebo nad głowami”.

Tysiąckrotne dzięki? Majowie sprawiali wrażenie fajnych chłopaków, a w konstelacji Plejad widzieli czterystu chłopców. Czy niebo było kiedyś jaśniejsze?

Grecy widzieli na nim zazwyczaj siedem sióstr, chociaż powinno być dziewięć. Może gdzieś w śródziemnomorskiej mgłę rozplynęło się trzysta dziewięćdziesiąt jeden pozostałych sióstr - czy braci? Podczas silnego północno-zachodniego wiatru Maytree widział teraz już tylko pięć albo sześć Plejad, nawet nie siedem, jak w latach swojej młodości.

Organizując sobie czas w specyficzny sposób, wszystkie ludy w pewnym sensie wypowiadały się na temat tego, co człowiek powinien robić tu, na ziemi. Głównymi zajęciami naszych przodków było wychowywanie dzieci i hazard. Nawet nie zdobywanie pożywienia.

Dopóki nie zaczęto magazynować zboża, zdobycie pożywienia nigdy nie zabierało ludziom zbyt wiele czasu i tylko nieliczni woleli umierać z głodu.

Popularne było także narkotyzowanie się, spożywanie słonych, tłustych i słodkich potraw, zamartwianie się, tkactwo, snucie opowieści, militarne inwazje i uśmierzanie gniewu bogów. Czy ludzie nie widzieli wszystkiego? Jeżeli czegoś nie potrafimy zobaczyć, po co robić z tego wielką tajemnicę?

Wkrótce, choć dla Maytree'ego już za późno, w serii Modern Library miała ukazać się antologia współczesnej poezji amerykańskiej, zawierająca krótkie fragmenty (sam je wybrał, wkładając między odpowiednie strony kilka sosnowych igieł) jego dwóch długich poematów, które najprawdopodobniej zostaną umieszczone w sąsiedztwie Morning Song oj Senlin Conrada Aikena. Maytree dobrze się bawił formą poematu epickiego, dalekonośnym działem dużego kalibru, bez względu na to, czy odnosił literackie sukcesy, czy ponosił dotkliwie porażki. Obecnie jednak to, czy jego dzieło przetrwa próbę czasu, stało się mniej ważne niż to, czy Manny jeszcze przez jakiś czas będzie się wieszał okrakiem na jego nodze.

Jutro jest kolejnym dniem życia tylko do czasu. Pięć lat później Maytree zaczął nieodwołalnie umierać.

Było lato. Pete zawsze mu dokuczał, że czyta tak dużo, jakby za chwilę spodziewał się końca świata, ale wkrótce miał się przekonać, że koniec jest zawsze bliżej, niż się spodziewamy. Maytree zapytał Lou, dlaczego ma mieszkać na piętrze - iw ogóle w domu.

Warunki pokoju, jaki zawarł na owe ostatnie pięć lat z konwencjami społecznymi, nakazywały konwencjom oddać pęk kluczy. Lou przypomniała swojemu synowi, że Maytree przez całe życie lubił zmiany. Raz jeszcze rozebrali więc swoje żelazne łóżko, po czym znieśli materac i ramę piętro niżej, do kuchni, a potem jeszcze niżej, do sutereny, pod drzwi wychodzące na ich pas spartiny, plaży i morza. Przy dobrej pogodzie, nocami, sami wynosili wysokiego, lekkiego Maytree'ego przez te drzwi i układali go na łóżku przed domem.

Miał otwarte oczy.

Arabskie nazwy gwiazd: Enif, Markab, Achernar,

Hamal, Alfirk, Scheat, Rasalhague. Pełzły równo ponad czarną pustynią. Rozdzieliły się, ale zachowywały szyk, niczym przeczesujący teren policjanci. Algenib i Denebola były pierwsze, Fomalhaut trzymała się na uboczu, a Alpheratz i Saiph zniknęły już z pola widzenia.

W oddali Łabędź o długiej szyi wskazywał wodę łebkiem niczym włócznią i przez całą noc bez cienia strachu zachodził na południowym zachodzie. Pierś Łabędzia to Sadir. Deneb, Altair i

Wega utworzyły nad jego głową trójkąt, przez który prześwitywała Droga

Mleczna. Galaktyka jaśniała światłem swoich dalekich brzegów. Zdawała się dzielić na dwa strumienie, płynące obok siebie, nad nimi, z północy na południe.

Spadały meteoryty, średnio sześć na godzinę. Wielka

Niedźwiedzica zakołysała się jak zacumowana w porcie łódź, którą szarpie fala. Ale ktoś gdzieś napisał:

„Namiętność wypełniła moje życie dopiero po osiemdziesiątce”.

Pete rozpostarł nad ojcem płachtę brezentu jak namiot, by chronić go przed wilgocią, pozostawiając jednak dostęp do nieba. Lou spała na dworze, owinięta niczym mumia, obok materaca. Dorośli, którzy przychodzili w odwiedziny i czytali mu na głos, byli mokrzy od rosy. Maytree chciał słuchać opowiadań z dzieciństwa, jak Jabłoń albo Kraina ślepców.

Pragnął trwałych emocji, jakich dostarczyć mogą tylko książki. Gdyby ktoś go zapytał, zapewne przyznałby, że jest raczej mało prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze odzyskał

siły.

Nocami wstawał, by sikać w sympatycznym towarzystwie Jowisza. To śmieszne, ale kiedy przed tygodniem wziął ostatni prysznic pod gołym niebem, nie wiedział, że będzie ostatni. Nic nie znaczyło i nie miało oznaczyć jego ostatniego kawałka placka, kąpieli morskiej, piosenki, bo teraz widział wszystko właśnie w tych kategoriach: oto ostatni dzieciak, ostatni świt, ostatnia łyżka i ostatnia znajoma twarz, o ile nie widział ich wszystkich po raz ostatni już wcześniej. Kiedy zrozumiał, że umrze, najpierw uznał to za niemożliwe, a potem popadł w przygnębienie, bo stał już nieomal na skraju przepaści i musiał pogodzić się z rozdzierającą mu serce utratą kolorowego świata, z którego miał zniknąć. Gdzie byłaby dzisiaj literatura, gdyby człowiek nie znaczył więcej niż pyłek? W całej swojej twórczości Maytree starannie unikał tematów sentymentalnych jak, powiedzmy, miłość czy rozpacz. Ale mimo wszystko i miłość, i rozpacz go nawiedziły, prawda?

Pewnego ranka Lou powiedziała mu, że ich sypanie w pogodną noc pod gołym niebem budzi oburzenie sąsiadów - które zawsze jest ekscytujące. W słoneczne dni osłaniała mu głowę czapką z logo Red Sox - chociaż to wcale nie znaczy, że gracze tej drużyny nosili takie czapki. Miała tomik średniowiecznej poezji prowansalskiej i antologię starych utworów lirycznych

Wschodu i Zachodu. Czytała mu je szeptem. Wszystko zdumiewało tych dawnych poetów, jakby dopiero co się zbudzili w świecie już wzruszającym i pełnym zdumiewających rzeczy, jak wzgórze albo gomółki białego sera. Tandy często siadywała przy jego łóżku, słuchając poezji i gryząc się w kolana. Maytree nie chciał tapioki, którą mu wciskała.

Kiedy Lou zbudziła się pewnego dżdżystego ranka na ich łóżku, które tymczasem wstawili już do środka, zaczęła się przyglądać, jak sina ręka Maytree'ego szuka po omacku mapy nawigacyjnej. Grzbiety jego dłoni sprawiały wrażenie pokrytych skórkami z czarnych jagód. Lou starała się nie dostrzegać, że Toby ma twarz poszarzałą niczym wytarta gumka ołówkowa. Minał miesiąc, odkąd miał jeszcze dość sił, by sam utrzymać książkę, i tydzień, odkąd poprosił ją po raz ostatni, by mu poczytała. Powiedział, że odkąd został przykuty do łóżka, ma nadzieję

nauczyć się rozpoznawać więcej gwiazdozbiorów. Z kolei Lou pomyślała, że te komiksowe słońca, tylko stąd wyglądające na bliskie, też ją pociągają. Ale uczyć się ich dzisiaj? Po co? Czy ta wiedza przyda mu się po śmierci? A teraz z kolei chce studiować mapę? Widziała, jak jego dłoń znajduje zwiniętą mapę na podłodze. Potem spróbował ją rozłożyć i zmusić do uległości. Jak mało mamy czasu - mniej nawet niż ten farfluchte zółw...

Dzisiaj Maytree z pewnością nie chciałby próbować zapamiętać, kiedy, gdzie i jaką mierzwę wyciąga się czasami razem z kotwicą.

Lou pomogła mu wygładzić niebieską płachtę papieru, przedstawiającą wody w północnej części zatoki aż po Stellwagen Bank. Przez kilka następnych dni, jeśli był

przytomny, wsuwała mu tę mapę w dłoń, rysunkiem do góry, a on zaciskał palce na papierze i popadał w otępienie. Było mu wszystko jedno, który fragment trzyma akurat przed sobą.

Zakradł się do nich przytyły, a w wysokich obręczach jego fal odbijało się światło gwiazd, którego smugi zasnuwały plażę jak podświetlone węgorki. Syn Maytree'ego podniósł skrwawioną siatkę do przebierania ryb i rzucił ją w blocko, gdzie jej odór zmiesza się z zapachem słonej wody. Rzadko zwracali na niego uwagę, chociaż go uwielbiali. Potem jego syn wyciągnął się na piasku przy swoich staruszkach i podniósł

wzrok na niebo. On i matka oglądali noc z Maytree'em, dopóki to było możliwe.

„Nie wiedziałem, jak przyjemnie płynie czas, aż do dzisiaj, kiedy przyjrzałem mu się przez teleskop lat”.

Zaledwie miesiąc wcześniej przeczytał to pewnej kobiecie, przeszkadzając jej w lekturze. Czy jemu czas też upłynął przyjemnie? Jako mały chłopiec chodził od domu do domu, sprzedając policzki dorszowe prosto z kubeków.

Diomedes exulans exulans, albatros wędrowny. Słyszał dziewczęta śmiejące się dalej na plaży. Z odległych ognisk wzbijały się w górę pomarańczowe i czarne iskry. Wiatr odchylił rąbek jego koca. Kobieta wstała i opatuliła mu stopy, które - widział je kiedyś, ale już o tym zapomniał - powoli czerniały. Łuk morza był coraz bliżej. Latarnia morska odwróciła się i wszystko rozciągnęło się jak guma. Zrobiło mu się zimno w ręce i ramiona.

Zaczął przewracać oczami. Carina to kil.

Nad jego głową Herkules biegł niczym koń, którego przed startem natarto terpentyną.

Dalej jest Cefeusz, ten domek wariatów.

„...twarz twoja, którą przechowuję w duszy... dni września, świtające w moich snach...

o czymkolwiek mówię, cokolwiek wypowiadam”. Te wersy Kawafisa powracały do niego, kiedy zapadał w sen i budził się na plaży. Uwielbiająca Maytree'ego babcia, zawsze pożyteczna w sytuacjach podbramkowych, zjawiała się teraz co chwila, by dodać mu otuchy.

Ktoś w radio powiedział: „Cóż za uderzenie!”. Każdego ranka jakiś ptak powtarzał:

„Uderzyłeś mnie i powiem mamie!

Uderzyłeś mnie i powiem mamie!". Toby uświadomił sobie, że słyszał zawroźenie tego ptaka przez całe życie i stanie się ono jego pieśnią pogrzebową.

Wiedział, że załoga pochowała jego dziadka na morzu. Marynarze zaszyli płótno, w które go zawinęli, a bosman używał dłoniaka - specjalnego skózanego krążka - by przepchnąć zakrzywioną igłę przez wszystkie warstwy tkaniny po obu stronach nosa trupa, a potem przez chrząstkę nosową.

Za dnia otaczali go, coraz bardziej zlewający się w ciemną plamę, ludzie. Cornelius przyprował

Tandy. Pewnego dnia spojrział Maytree'emu w oczy.

Poruszając długimi wąsiskami, powiedział:

- Lekarz mówi do pacjenta: „Zostały panu trzy minuty życia”. - „Może pan coś dla mnie zrobić, doktorze?” - „Mogę ugotować panu jajko na miękko...” Gdy Maytree zbudził się w nocy, zobaczył Altaira w konstelacji Orła, Koronę Północy i dzikiego Łabędzia, taplającego się po Drodze Mlecznej. Mały Wóz przypominał wózek z supermarketu. Powinni mu zmienić nazwę.

Lou leżała obok niego, milcząca jak mumia, a jej olbrzymia samotność dostojnie obróciła się bokiem do fali - mógłby się tak wyrazić, bo kto ośmieliłby się poprawiać wypowiedzi umierającego człowieka?

„Więdnę powoli w twoich ramionach, tu, na cichym krańcu świata”. Wstała w swej długiej sukience, żeby się przeciągnąć, a jego ciało osunęło się w niewielkie, ciepłe zagłębienie, które pozostawiła po sobie na łóżku. Co on próbuje sobie przypomnieć? Czy Alterf rzeczywiście znaczy „spojrzenie”? Sądził, że kiedyś już widział istotę rzeczy i widzi ją w tej chwili. Czy pomógł zrozumieć ją innym? „Nie wiedziałem, jak przyjemnie płynie czas”.

Miał w życiu fart, jak mawiają

Brytyjczycy. Widział mięciutkie piórka na ptasich jajach. Widział jutrenkę na wydmach. A raz widział nawet kulę ognistą.

Przybierające morze bez najmniejszego wysiłku załało błotnistą równinę. Niebo zsunęło się niżej. Czy wyciągnięcie łóżka przed dom było pomysłem Lou?

Powędruje do nieba jak chmurka albo grom dźwiękowy. Addio terra, addio cielo.

Może podobnie jak Lou nie zdawał sobie sprawy, że jest ironistą. Wokół niego ona, nadmorska roślinność, śmieci, morze i niebo zmieniały się i wirowały, i ustępowały miejsca ciemności. Bogowie mieszały się nocą z dzikimi bestiami, krążącymi wśród narzędzi, tronów i maszyn. Boskie nogi splatały się w boskich rydwanach. Łopot skrzydeł przeszkadzał

kochankom. Ostre rogi wbijają się im w oczy. To straszne.

Dopiero teraz Maytree uznał, że piękno jest najważniejsze. Uważał jednak, że należy to jeszcze przemyśleć, jak sądzi większość ludzi doznających olśnienia na łożu śmierci.

Lou zmieniała pościel, nie zmuszając Toby'ego, by wstawał, jak swoich podopiecznych w domu opieki

Manor. Kiedy kładła go na bok, pomyślała, że waży nie więcej niż jego kości i zęby.

Żebra Maytree'ego, które wyczuwała pod koszulą, przypominały jej film dokumentujący katastrofę Hindenburga. Już dwa dni później rzadko otwierał oczy. Mimo to ciągle wynosili go na plażę i wnosili do domu - teraz leżał właśnie na plaży. Nawet w czasie mgły chciał

leżeć w łóżku na piasku. Szybująca mewa opuściła łebek, wyciągnęła szyję i niemal zgięła się w pół, żeby nie stracić go z oczu, jak gdyby obserwowała wypadek samochodowy.

Kiedy marszczył brwi, wyglądał, jakby chciał zobaczyć tył swojej głowy, przypominającej teraz ścianę skalnej jaskini. Ona i Pete bardzo nie lubili mu przeszkadzać, dręczyć go i zmuszać do przyjmowania płynów. Był zajęty czym innym. Spadał. Szale zaczęły się przechylać.

Lou zastanawiała się, co po śmierci Maytree'ego stanie się z jego wiedzą. Czy ziemię oplecie deseń włókienek jego uczoneości? Czy jego umysł podąży za opadającym na dno planktonem stąd aż do Stellwagen

Bank? Jej mózg też w końcu zgnije, lecz najpierw zapomni wszystko, czego się ostatnio nauczyła. Lou uważała jednak, że po pierwsze, nie nauczyła się wiele, a po drugie, jeszcze nie rozgryzła tego, czego się nauczyła.

Bakterie rozłączą jej starannie połączone neurony, zarzucą je sobie na plecy i poniosą do domu, by nakarmić nimi swoje straszliwe młode.

Patrzyła, jak fala obmywa pływającą brzuchem do góry raję, która z otwartym pyszczkiem unosiła się w wodzie na grzbiecie przez godzinę.

W kuble przy drzwiach kłębiły się małże, które

Pete wykopał podczas odpływu. Teraz morze przechyliło się z wysiłkiem, by ziarnko po ziarnku zalać całą

Amerykę Północną. Lou siedziała z Petem przy łóżku, na którym Maytree przeleżał

dwa dni w domu, nieprzytomny albo śmiertelnie znudzony. Nie jadł, nie pił, nie wydalął kału ani uryny, nie otwierał oczu i nie odwracał się. Lou przyglądała się jego obojczykowi.

Promień jasności odnalazł twarz Toby'ego przez oszklone drzwi i spowił ją w zmiennokształtne, trapezoidalne figury, podczas gdy w górze przepływały chmury. Pokój i szklane drzwi wychodziły na południe. Jankes, żółt pudełkowy, wyciągnął się jak padalec, żeby grzać szyję w słońcu.

Powiedziała Pete'owi, że Maytree dożyje następnego odpływu.

- Od kiedy to zrobiłaś się przesądna? - zapytał

Pete. Przemoczył swój niebieski sweter, łowiąc małże.

- Na dwoje babka wróżyła.

Nie odpowiedziała.

Maytree zacisnął pięść. Kobieta miała na sobie długą, czerwoną koszulę. Poglaskała go - Ałgieba, czyli brew. Tak mało jej zostało, ale zarazem wszystko, co może jeszcze przemyśleć w pozostałym jej czasie. Wymienialność mew. Skąd mogła wiedzieć, że nie widuje ciągle tych samych ptaków?

Wzięła w rozcapierzone palce kilka cienkich kosmyków jego włosów i po chwili pozwoliła im wysunąć się ze swojej ręki. Kiedyś zasypiał, gdy strzygła mu włosy. Skropiła kącik ust Maytree'ego wodą, wyciśniętą z rąbka czystej ściereczki, a potem posmarowała mu wargi smalcem.

Czy przynajmniej na początku będzie pamiętał, by wypatrywać z góry tych niebieskich mórz, obmywających Ziemię?

Table of Contents



